

102

ció*
zyja

Data
zwrotu

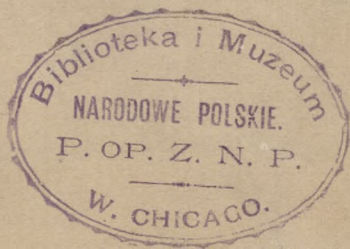
C1007

1107

OK

— C

~~© 735~~



1107

ZBIÓR POWIEŚCI

J. I. Kraszewskiego.

Wydanie nowe, przejrzane, poprawione i uporządkowane przez Autora.

Ogólnego zbioru tom dziewięćdziesiąty pierwszy.



1825

TOwarzystwo Kosciuszki



1107

IMPROWIZACJE

DLA

Moich Przyjaciół.

~~~~~ C. 324

KSIĄŻECZKA

DO ZAPALANIA FAJEK.

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego



L W Ó W.

W księgarni Gubrynowicza i Schmidta  
przy placu św. Ducha 1. 10

1875.

W A R S Z A W A.

W księgarni Michała Glucka



---

Nakładem Pillera i Gubrynowicza i Schmidta.  
Drukiem Kornela Pillera.

Akademicka jeszcze elukubracja — w chwili jakiegoś rozpasania duchowego rzucona na papier, do którego na nieszczęście przyłgnęła. Jeśli się nie mylę, pochodzi ona z r. 1834 — i po raz pierwszy na bibule musiała wyjść u Manesa Romma lub t. p. Nosi też na sobie pochodzenia wybitne znamiona.

Wstęp — to historia własna autora. Ten Baron to istotnie Baron von R . . . e, którego autor miał jakiś czas na usługach, a który w lat kilka oddał mu wizytę w mundurze i już bardzo szczęśliwie uplacowany. Ze dziś w hierarchii zajmuje nieskończenie wyższe stanowisko od piszącego, to nieulega najmniejszej wątpliwości.

Wiktor we wstępie to przyjaciel autora, znakomity muzyk, zmarły dziś Wiktor Każyński, z którym razem deklamowali Fredra, grali Meyerbeera i gadali po całych nocach, o sztuce i świecie i t. d.

W wielu szpargałach czuć wpływy czytania, rozmów, — i tego co krążyło w powietrzu.

Artykuł o żydach, niestety, czerpany był pono ze stosunków z faktorem, wielce osobliwą figurą, która młodość akademika doskonale wyzyskiwała — oświadczając mu się z niezłomnem przywiązaniem. . .

Cały tomik przesiałkł życiem brukowem medyka i literata — więc jako jedną z pierwszych prób młodzięńczych, przyjąć to zechcecie z pobłażaniem.

Lat czterdzieści cięży na grobie tego świstka!!

*Drezno, dnia 5. grudnia 1874.*

Faint, illegible text, possibly bleed-through from the reverse side of the page. The text is mirrored and difficult to decipher. Some words are partially visible, such as "The", "of", "the", "and", "in", "to", "for", "of", "the", "and", "in", "to", "for", "of", "the", "and", "in", "to", "for".

## Szpargał Pierwszy.

### PORANEK.

Właśnie się był obudził, przecierałem oczy, ziewałem, przez zęby pytałem: która godzina? nie chcąc wierzyć, gdy mi odpowiadano:

— Już po dziewiątej!

Niewyspany, zmęczony, bo wczoraj siedziałem bardzo długo, przepisując swoje, a czytając cudze szpargały, chciałem się jeszcze na drugi bok przewrócić, wtem słyszę ktoś wszedł, zbliża się i wrzeszczy mi nad uchem:

— Dzień dobry! dzień dobry!

A wrzeszczał tak, jak gdyby jego życzenie dnia dobrego, mogło w istocie dzień dobrym uczynić.

Musiałem mimo woli i ochoty rozbudzić się i ziewając, podałem rękę przybyszowi, który, jako serdecznie kwalifikujący się na przyjaciela, zaraz mi z łaski swojej udzielił szczerze wszelkich plotek, chodzących po mieście.

— O tobie, rzekł wreszcie, wysypawszy wszystko — mówią wiele, szkoda tylko, że niedobrze.

— Naprzykład, coż tam? Baronie Hieronimie! dawaj herbatę.

— Powszechnie głoszą, żeś się rozbałamucił.

— Jakto? cóż to znaczy rozbałamucił? Baronie nałóż mi fajkę.

— Znaczy, że się włóczysz po kawiarniach, po spacerach, próżnujesz i bąki strzelasz.

— Radbym wiedział, co to komu szkodzi! Baronie! zapal łuczynkę.

— No, zapewne; ale zawsze źle kiedy o tem mówią.

— W mojejże mocy temu zaradzić? sam wyznaj, Wiktorze! Język ludzi, młyn skrzydlaty, który zawsze mleć musi, a gdy nie ma co, sam się ściera i miele. Skrzydeł jego nie utrzymasz porwawszy za rogi, chyba ze środka z wewnętrznem przekonaniem o niedorzeczności plotek. Bądźże mądry i dokaż tego. Tego, ani całkowicie, ani częściowo, względem siebie nikt nie dokaże. Przekonasz dziesięciu, stu zostanie, którzy się rozkochawszy w płótcie, nie opuszczą jej nigdy. — Czarną będziesz pił herbatę? Wierz mi, o tem i myśleć nie warto. A cóż? przeglądałeś Meyerbeera?

— Mistrz! mistrz całą gębą!

Wszedł drugi quasi przyjaciel.

— Dzień dobry! Cóż tam słyhać?

— At, nic. Słyszałem tylko od N., którego tu spotkałem niedaleko na ulicy, że PP. Ewangelicy XIX. wieku pogniwiali się na ciebie za PP. Ewangelików XVII., wystawionych w kościele św. Michalskim, i piszą jakąś prośbę, w której dowodzić mają, że nikomu prawdy mówić nie można, póki się nie przekona, czy jest smaczna czy nie.

— Chcieliby, żeby wszystko cukrować! Powiedz mi: co im szkodzi, żem tak pisał, jak widziałem?

— Nie wypadło tak źle ich wystawiać. Obraz bez światła.

— Alboż to może szkodzić ich sławie? Alboż wady nieboszczyków ich ojców mogą co mówić przeciw nim? Będą wszyscy katolicy odpowiadać za Aleksandra VI., wszyscy Ewangelicy za jednego rektora, cała Anglja za Cromwella, cała Francja za Robespiera i Marata, potomkowie dawnych Rzymian za Nerona i Heliogabala? Cóż u licha! to zbytek już pretensji, żeby prać przeszłość ze wszystkich jej brudów; a zresztą, to nie w mocy naszej.

Wszedł trzeci.

— Dzień dobry. Co tam słyhać?

— Same głupstwa.

— To, widzę, jak zawsze i jak wszędzie.

— Spotkałem pana B., mówiliśmy o tobie. Wielce ci ma za złe, żeś w twoim Zygmuncie tak brzydko wystawił Jezuitów.

— Doprawdy? Wiktorze! zagraj nam uwerturę z *Fra-Diavolo*, albo co z *Niemej*, albo co chcesz.

— Doktorowie także gniewają się.

— A! więc i oni?

— I oni. Akademicy za swoich braci z 1639 r. w kościele św. Michalskim wystawionych.

— O! i ci nawet!

— Protestanci-Ewangelicy mówią, żeś fanatyk.

— (Dodaj, że wielce obrażeni nazwaniem *Kalwinów*. Spytaj ich, co ten gniew znaczy?)

— Księża mówią, żeś niedowiarek — libertyn.

— Jakże to pogodzić?

— Alboż ja wiem?

— Najlepiej wcale na to wszystko nie uważać i robić swoje.

— Jako najlepsze lekarstwo, poradziłbym ci przeczytać bajkę o młynarzu, starą jak świat, ale prawdziwą, jak wszystko bardzo stare i bardzo pospolite. Dobrze jest czasem słuchać ludzi, najczęściej jednak można się od tego dyspensować. Cóż ich sądami kieruje? próżność, chęć popisania się z dowcipem, żądza pokazania się ekscentrycznemi. Często sami nie wiedzą, i na oślep bredzą co im ślina do ust przyniesie; a gdy raz przypadkiem zdanie jakie wyrzucą, chwytają go się potem przez upor i trzymają przez dumę jak pijany płotu.

— Ale! ale! wszyscy krzyczą na twój styl, na niewypracowanie; przebaczą ci resztę, ale stylu darować nie mogą! Koniecznie się potrzeba poprawić.

— O! co z tego, to podobno nic nie będzie.

— A więc spodziewaj się nieustannych narzekań i krzyków.

— Tych nie bronie. Kupując książkę, kupują sobie prawo narzekania, że w niej tego nie znaleźli, czego się spodziewali. Ażeby dogodzić o ile możności wszelkiego rodzaju smakom starym i młodym, ludziom wszelkich wyznań i humorów, wzrostu i cery, złożę z moich bredni wieczornych, którem wam nieraz o zmroku powiadał, książeczkę rozmaitej treści — wielce rozmaitej treści. Będzie to *Olla podrida*. Starać się będę, aby na styl i na przedmiot jak najmocniej krzyczeń i narzekać mogli.

— I tym sposobem im myślisz dogodzić?

— Gdy dam wyśmienity tekst do wrzasku i rekreminacyj.

— Ciekawiśmy!

— O! niema czego, wiercie mi! Będzie to marmelada z jabłek, ogórków, wiśni, poziomek, szczawiu, pasternaku, sałaty, dębowej kory, szyszek sosnowych, gruszek, marchwi, winogron, trocin, otrębów i ananasów — *C'est tout ce qu'il y a de mieux*, jak powiadają francuzkie kupczyki, chwając przeszłoroczny i wyszły z mody towar.

---



## Szpargał Drugi.

### O DJABŁACH.

—  
Nie tak czarny djabeł, jak go malują.  
(to jest, daleko czarniejszy jeszcze, niż  
go malują).

*Przysłowie.*

Djabeł jest ślicznym wymysłem na zapchanie dziur w próżnych głowach fantastycznych. Gdzie tylko brak przyczyn, gdzie pojąć nie można, strawić trudno, wmięsza się tylko trochę djabła lub djabelstw, a ogon szatana służy za przyczynę, za węzeł, za tłumaczenie, za digestivum umysłowe, za literacki wytrych. Rozmaitości djabła malowano i malują; będę się starał opisać go wam jak najrozmaiciej, ażebyście nawet przebranego poznać mogli jedynym rzutem oka. Na wielkich historycznych obrazach, djabeł koloru palonej sienny i asfaltu, z uszami dużemi, mopsią twarzą, (niepochlebnie dla mopsów) wykrzywioną szatańskim śmiechem, z ogonem (*sine qua non*), pazurami (*longiusculis*), kociemi nogami najczęściej widywany bywa. Jest to djabeł tradycyjny, klassyczny, rodzaj satyra starożytności, któremu nowożytni wspaniale *et munificentissime* dodali ogon przydłuższy i złośliwie zakrzywiony, (niekiedy z główką węzową), pazury ostrzejsze. Rogi z głowy satyra, w całej ich naiwnej pierwiastkowej piękności, przeniesiono na czaszkę djabelską. — Są jednak malarze

nowi, co satana malują wcale przyzwoitym, pięknym, trochę tylko bladym i po hiszpańsku strojnym mężczyzną. Całe jego sataństwo w uśmiechu i wejrzeniu! Istny Don Juan!

Prosty djabeł niemiecki całe znowu inaczej wygląda: niby Bursz, niby asesor sądu niższego (dawnego autoramentu), niby to i djabeł; mieszają się w nim różne pierwiastki. Różni się od starożytnego tradycyjnego diabła, że jest prawie zawsze kulawym, (udaje przez dumę potomka owego sławnego diabła kulawego); ubrany przyzwoicie, czysto, porządnie, jak na człowieka niezłego przystało, *a la vieille mode allemande*: frak niebieski, spodnie żółte, bóty ze sztylpami i kutasami, czerwona kamizelka, chustka szeroko zagmatwana, szpicrut w rękę, kapelusz spiczasty. Trochę przypomina nieszczęśliwej pamięci Wertera — *Que l'oubli lui soit léger!*

Zaczawszy od satyra starożytności, całe potomstwo satana lubi jak lubiło wszystkie rzeczy pokusliwe a niebezpieczne: wino, dziewczęta, hulankę. Lecz czego satyrowie nie znali a późniejsi domyślili się, to: podwozić ludzi na różne złe uczynki. Tak to powszechnie jest uznanem, że byle kto co zrobił, nie on, mówią, winien, ale zły duch, co go podszczuł, i na to dla osobistej swej korzyści doprowadził. Dawniejsi diabli, Mości Dobrodzieju, w początkach chrześcijaństwa w wiekach średnich, siedzieli jeszcze po większej części pod ziemią, w folwarku swoim dziedzicznym, nadanym im od czasów niepamiętnych, *vulgo* piekle; potem ambicja ich porwała, chęć dorabiania się fortuny, honorów (trafia się to i z ludźmi), i nuż wylazić, czupurzyć się, dokazywać, już taki na ziemi, na własnej naszej ziemi: bo któż nie wie, że ziemia jest nasza własna, dla tego, że my do niej należym i pokorni słudzy jej własności jesteśmy? Dowód niezbity.

Ale bo też i w piekle, *in inferno* — świadkiem *Dante in Comedia Divina passim* — wcale było niewygodnie, gorąco, duszno, siarczyste, płomieniste, pełno smoly, dziegciu, obcęgów, rożnów, łańcuchów i t. d.

i t. d., a do tego nic do roboty, a ciągła męka. Praca zaś, jak wiadomo, *delectat*, rozrywa. Djabli się wynieśli pracować na ziemię. Teraz też i w piekle wcale inaczej. Oświata XIX. wieku wszystko ztamtąd wymiotła, wyrzuciła co było nieprzyzwoitego i trywjalnego, a piekło reformowane wygląda teraz jak wielki kraj bardzo czysty, pachnący, bogaty, przerznięty kolejami żelaznymi bez liku, ale trochę dla podróżnych niewygodny, z powodu rzadkich austeryj, a gęstych rozbójników, jak, nieprzymierzając, w Hiszpanji. — Nie stałoby wszystkiego Jeziorniańskiego papieru na opisanie historii i czynów djabła w wiekach średnich, w złotych wiekach satanerji (*confer: Terra bianca*). Co też to oni wyrabiali! dziśby tego czterech Akademików nie dokazało. Płatali figle, brali cyrografy podstępnie na dusze ludzkie, udzielali cudownych łopat i cudownych leków, mioteł latających, pieniędzy, (rzecz, której i djabli dziś rawet najlepszemu przyjacielowi nie dają), rozumu, szczęścia (*qualité inferieure, garantie pour une heure*), wszystkiego na niewielki procent — na wieczność. Duszę brali w zastaw. Za to wszystkiego u nich można było dostać, jak w norymberskim sklepie. Jakie to oni podprowadzali dziewczęta, (czytaj u Götthego w Fauście gdzie nawet Helena Trojańska djabłu służy), jakie trunki wyborne robili (tamże); u Aura, tak sławnego w Wilnie, dziesiątej części tych win niemasz; nakoniec, cóż to u nich było złota, pieniędzy, precjozów, Rotschildowie niech się schowają!! A wszystkie te skarby na posługę ludziom oddawali z uśmiechem, z bezinteresownością nadzwyczajną. Teraz niema innego sposobu od nich dostać grosza, chyba siędziesz grać w karty. Co dawniej dawał djabeł, dziś daje djabełek. Z nazwania widać, że datek trochę zmniejszony.

Jak się rozgościli djabli po ziemi, Mości Dobrodzieju, podobały się im ładne czarnobrewy, (do łzawych i sentymentalnych blondynek, nigdy się nie podsuwali), zaczęli się umizgać, kłaść rękawiczki, trzewiki na kopytka, kapelusze i czuby na rogi, i frak z ogonem

wynaleziony przez nich został dla pokrycia ogona, którym ich obdarzyła zbyt szczodra natura.

Dziwże się tu, że my szalejem, kiedy oni, *des êtres si positifs*, warjowali za dziewczętami, czytaj w *Magji*, czytaj o *Inkubach*. Włosy na głowie powstają, Mości Dobrodzieju, słuchając, co oni dokazywali z dziewczętami. Były tam różne brudne awantury. W ogólności o ożenieniach nie było słyhać; bałamucili, jak zwyczajnie starzy kawalerowie.

Podziwienia godna rzecz, że się obojej płci djabli nie lubili: djabeł *generis masculini*, *vulgo* samiec, szukał naszych buziaczków, djabeł *generis feminini* *vulgo* djablica, chłopców zwodziła. Ale nie opisałem jeszcze djablicy; zaraz. Potrzebuję jednak uprzedzić, że egzystencja nawet djablicy wielce jest wątpliwa, i Linneusz nie zadeterminował jej dokładnie. (*Foe-mina de*).

Djabeł-samica bywa jednak i dziś jeszcze widywany na świecie pod rozmaitemi postaciami, nawet o południu, przy blasku słońca; naprzykład: ukazuje się w postaci wdowy bogatej, lubieżnej, brylantami i złotem osypanej, wygorsowanej, tłuściuchnej, uśmiechającej się mile, dającej wieczory, ubierającej się w suknię aksamitną z koronkami, w beret z piórami, w zausznicę brylantową *et sic porro*. Nóżka jej maleńka, usta malinowe (znak skrofulów, bo wszyscy w piekle są bardzo skrofuliczni), oczy zabijające wejrzeniem na śmierć.

Czasem djabeł *generis feminini*, przybiera postać szesnastoletniej dziewczeczki, czarnookiej, wesolej, polotnej, zapalnej, trzpiotowatej, gadatliwej, dowcipnej, w kąciku dającej się uścisnąć, gorącej po wierzchu, zimnej we środku.

Zwodząc poważnych mężów i słabe kobiety, pan djabeł starał się usilnie o jak najwięcej ofiar swej dumy. Niczem przy nim jego naśladowca Don Juan, ten bohater tak wielki dzisiaj w oczach cywilizowanego świata. Bywały, Mości Dobrodzieju, przykłady dziewcząt umierających nagle, gdy się dowiedziały, że ich kochanek był prostym djablem, nic więcej; by-

wały przykłady młodzieńców, którzy sobie łby roztrzaskiwali, przekonawszy się, że mieli do czynienia z szatanem w niewieściej skórze.

Straszne to były awantury i gdyby nie inkwizycja, która (jak wiadomo, zapobiegając ruinie narodowości hiszpańskiej), w kluby djabłów wzięła, śledzić postęпки ich kazała, kuć w dybki i ciupasem do piekła pod dozór policji odsyłać — kto wie coby byli i jak długo broili.

Tymczasem i piekło, Mości Dobrodzieju, organizowało się; byli już tam dawniej książęta i dygnitarze, zaczęli przybywać urzędnicy, sądownictwa, nawet filantropiczne zakłady, słowem, piekło uorganizowało się do tego stopnia, że je systematycznie poznać i rozumowanie opisać dziś można. W Paryżu wydano w tym przedmiocie bardzo wiele dzieł ciekawych; tam przeczytać się można, Mości Dobrodzieju, szczegółów w które się wdawać nie chcę.

Niemieccy diabli, to dobre byli chłopaki: usłużni, zwinni, figlarni prawda trochę, ale od czegoż djabeł djabeł? Mości dobrodzieju! W Niemczech diabli pili najlepiej. My w Polsce, jak wiele innych rzeczy, tak i djabłów wzięliśmy od Niemców sąsiadów. Nie mamy narodowych djabłów w żupanach i kontuszach; wszyscy diabli polscy, są Niemcy, którzy indigenat otrzymali u nas. Kto nie wierzy, niech się popyta chłopa, dziewczyny, baby czarownicy (*autoritas* ważna); każdy powie, że djabeł chodzi po niemiecku i jest Niemiec, a przybył do Polski bardzo dawno, daleko dawniej od Sasów, za Sasów dopiero rozgościł się i popuścił pasa. Mieliliśmy jednak polskiego generała *en chef* gwardji djabelskiej, Twardowskiego, przyjaciela Fausta i podobno z nim spokrewnionego; po nim diabli rozprzęgli się, poszli jak Lisowczycy w rozsypkę, nie chcieli mieć naczelnika, naśladując republiki starożytne, dla których zawsze w wielkiej byli admiracji. Osobliwie urządzenie stanów i niewolnictwo diabli niezmiernie pochwalali.

Przyszło u nas do tego, panie, że napisano Lipsko-Warszawskiego djabła, dzieło stronniczo pojęte, w któ-

rem, z żalem bezstronnych sędziów, odmalowano piekło i jego instytucje w zupełnie fałszywym świetle.

Nadszedł wiek XIX., z nim rewolucje, magnetyzm, para, romanse, koleje żelazne, litografia, Byron, Lacaenaire, towarzystwo akejonarjuszów, spółki literackie i t. d. (nie będę dobrodziejstw cywilizacji wyliczał); djabli tandem wzięli w skórę ze wszystkim, bo znaleźli się na ziemi bez nich ludzie im podobni i ich rolę odgrywający doskonale, tak że rozpoznać od prawdziwych satanów tych aktorów niepodobna. Wszyscy tedy djabli wrócili nazad do piekła, Mości Dobrodzieju, a mała garstka zrujnowanych, pozostałych, ubogich, tuła się pomiędzy żydami, pospółstwem, w ciemnych kątach Hiszpanji, Niemiec, w rozwalinach starych zamków, sklepach, w czarnych oczach dziewcząt, etc. etc.

Trudno dziś ich opisać, tak się przebrali; dziwno, że się jeszcze do młodych po staremu, jak przywykli, czepiają, w nadziei uwiedzenia! Ale od czegoż wiek oświaty?

Pan Regent mój przyjaciel serdeczny, (pali u mnie fajkę codzien), upewniał mnie, klnąc się honorem, że jego żona jest żywym djabłem *generis feminini*; czemu ja, dla jej skromnej przy gościach postawy i uśmiechu słodkiego, wierzyć nie chcę. Medycy nawet upewniają, że przeciwnie sam Regent, mający wyrostki na głowie nakształt rogów, przypomina djabła, a żona jego, anioł w ludzkim ciele; dodając, że dzieci się z tego połączenia anormalnego spodziewać nie można. — Dzieci — mówi przyjaciel mój Medyk, który często bywa u Regenta — dzieci nie będzie: przywiązania do siebie nie mają, a Regentowa lęka się utracić kibić wysmukłą, którą wyżej ceni, nad wszystko, nawet nad pociechy macierzyństwa — (*vulgo kłopoty.*) \*)

---

\*) System amerykański; nota z r. 1874.

## Szpargał Trzeci.

### O GRYCZANEJ KASZY.

I w Paryżu  
Z gryki nie robią ryżu!!

Musi to być istotnie prawda, co mówi przysłowie, że Paryż nawet nie przemieni Żmudzina na oświeconego człowieka. Znałem jednego Terepajłło, który był w Londynie, Paryżu, Petersburgu, jeździł wachać ucywilizowanego świata, otworzyć gębę na cuda przemysłu, i wrócił tak głupi, jak wyjechał, z tą tylko różnicą, że przywiózł z sobą dwanaście par butów paryzkich, cztery tuziny koszul batystowych, lornetkę, kaszel, kilka franków, migrenę, kaprysy i pejcz w srebro oprawny, mydło neapolitańskie i spazmy.

Ten pan Terepajłło lubił bardzo kaszę gryczaną, ale to tak namiętnie, iż jadał ją zwykle rano, w południe i wieczorem. Przy tym pokarmie humor jego rozweselał się nieco: zaczynał opowiadania o zamorskich krajach, które zwiedził, i kończył zawsze ubolewaniem, że nigdzie nie jadł lepszej gryczanej kaszy, jak na Żmudzi. Zkąd wnioszek robił, że nad księstwo żmudzkie nie ma piękniejszego i ucywilizowanego kraju.

Długo pan Terepajłło, jak bąk puszczonej ręką dziecięcia na nierównej podłodze, wurczał lecąc po drodze życia, aż nareszcie rozmyślił się ożenić. Był to bardzo chwalebny zamiar; jakoż nie zwlekał z skutecznieniem onego i wziął ślub z Pimpinellą Pandajłłówną.

W pierwszych miesiącach, płynęło mu życie tak gładko, jak masło po gryczanej kaszy; aliści, kiedy raz opychał się ulubionym swoim pokarmem, przyszło mu na myśl, że jego żona siedzi sama jedna w salonie z kuzynkiem Deredajłłą. Zazdrość zapuściła szpony w serce, różne myśli gorzkie wpiły mu się w duszę — porywa talerz z sobą i leci do salonu; tu niema nikogo — do gabinetu — zamknięto; patrzy przez dziurkę od klucza, widzi falbanę sukni żony, bót mężki, słyszy wzdychania, jęki — ciska talerzem o drzwi, tłucze łyżką o klamkę — otwierają się podwoje — o zgrozo! Prawda! kuzynek sam na sam z Jejmością. I byłoby do pojedynku lub tragicznych przyszło awantur, gdyby Jejmość nie postąpiła z najzimniejszą krwią ku niemu i nie zapytała go: czego żąda?

Terepajłło tak był rozgniewany, iż mówić nie mógł; wreszcie zapytał ze swojej strony: co tu robiła z kuzynkiem, sama jedna, zamknięta?

— Jedliśmy kaszę gryczaną! — odpowiedziała z westchnieniem Pimpinella, wskazując na próżny talerz i ocierając usta.

— A czegożeście się zamykali?

— Baliśmy się, żebyś nam nie odebrał.

— A! to co innego!! — mruknął Terepajłło i poszedł kończyć śniadanie, najmocniej przekonany o niewinności żony i głupstwie swoim, za które wprzód najuniżeniej przeprosił.

Lecz nie dość na tem. Napisano było, że kto jakim orężem wojuje, od niego ginie. Terepajłło przegrał trzy procesa, z powodu, iż najadłszy się kaszy, chorował, i sam w czasie na Kadencję przybyć nie mógł. Zasiewając dwa poletki samą gryką, w kilka lat stracił przez to wiele na gospodarstwie.

Nakoniec zakrztusił się kaszą, i umarł.

Drugi przypadek, którego przyczyną była kasza gryczana, zdarzył się także u nas w sąsiedztwie. U pana Le był wieczór: sproszone tłum gości, oczekiwano pańien, mężczyzn, wszystko to dla jedynaczki córki państwa Le, niewinnej jak baranek, ładnej jak brylant



pierwszej wody, żywej jak koza, figlarnej jak szpic mojej ciotki

Już się goście zjeżdżali, wszystko było gotowe. Panna wychodzi z sali, mama pyta: po co? ona mówi, że na kaszkę, i poszła. Goście się zjechali, czekają — niema panny. Kaszka musi być gorąca, mówi mama; niebo-żatko czeka, aż ostygnie. Mija kwadrans — jej niema; nareszcie miarkują wszyscy, że jużby nietylko kaszkę, ale cały obiad zjeść było można; idą, ale i panna i kaszka zniknęły.

Odkryło się później, że jeden młody kuzynek przypadkiem zobaczył, że jadła kaszkę; a że sam był jej amatorem, prosił, by mu pozwoliła skosztować. Ona odmówiła, on się rozjątrzył, „niepomny na wszystko, porwał talerz z kaszką i począł uciekać; ona za nim, i tak aż do jego majątku o mil siedm oddalonego dobiegli. Tu opatrzywszy się co uczynili, unikając skandalu i przeprosiwszy się, uściskawszy, zaprzysięgwszy poprawę, musieli się pobrać. Widziano ich potem bardzo szczęśliwych, a przy nich bardzo także szczęśliwego przyjaciela domu, wielkiego amatora kaszy gryczanej.

Oczewista rzecz jest, iż kasza gryczana wiele wpływa na losy ludzi. Mógłbym tego dowieść przykładami, ale nie chcąc darmo zapisywać papieru, przestaję na tem co wyżej powiedziałem. Ten rozdział przeznaczam dla gospodarzy; a chociaż wiem, że z niego i sam Salomon kropli sensu nie wyciągnie, nie mię to jednak nie obchodzi. Dla was, panowie gospodarze, to i tak za nadto dobre; pożywacie ją całe życie; siejecie i nie umiecie myśleć o czem innem, jak o kaszy. Jak wam Bóg da rozum do czytania, to i mnie go do pisania dla was użyczy.

## Szpargał Czwarty.

### O ŚMIECIACH.

Niema rzeczy, któraby zastanowienia  
człowieka godną nie była.

*Sentencja kury grzebiącej w śmieciisku,  
w odpowiedzi na pytanie drugiej ku-  
ry siedzącej na płocie.*

O! okropne to życie, życie wymiatacza ulic, tego króla błota, pana śmieci, władzcy wszelkiego plugastwa. Ja byłem takim! ja przecierpiałem to życie, podobne życiu robaka, na którego nikt nie patrzy, chyba zgmiotłszy go. Ubrany w połataną siermięgę, brudny, z miotłą w rękę, z rozpaczą w sercu, stałem, patrząc nieraz, jak karetą pozłocista przelatywała mimo nosa mego, i oko moje wyrywało się z głowy, za piękną twarzą, za ujmującym uśmiechem dziewczyny, którą gdzieś tam ciągnęły zabawy, rozkosze, całe niebo świata tego, którego wrota złoty klucz tylko otwiera.

Mnie odpychali wszyscy. Brudny, garbaty, śmierdzący, obrzydliwy, zbryzgany błotem, mieszkaniec świata niepołączony z nikim żadnym węzłem uprzyjemniającym to życie, nawykłem powoli do patrzenia bez zazdrości na cudze szczęście, z rozkoszą wystawiałem sobie cierpienia tych istot szczęśliwych, które ozłoczone i umyte, miały się za stokroć wyższe ode mnie zabłoconego nędznika.

A jam był wyższy od nich — ja, do połowy whity w ziemię, spodlony, jak robak podnosząc głowę, kiedy go depce przechodzeń, urągałem wszystkiemu, byłem chodzącym kamieniem; byłem wyższy od nich, bom nimi gardził. Cieszyłem się, widząc cierpiących; śmiałem się z tych, którzy mnie popychali: bom był nieczuły; ciało moje i dusza zahartowały się w ogniu nieszczęść. Powiew wiatru czy obelga, uderzenie czy promień słońca padający na twarz szpetną, równe mi były.

Karmiłem się, czem napadłem: plugawem ścierwem, kośćmi przez psy ogryzionemi; piłem pomyje lub wodę rynsztoków; nie dbałem o nic. Raz widziałem śmierć o dwa kroki, nieraz otarła się o mnie, jam nie dbał o to. Jak ranek zaświta, szedłem z miotłą na ulicę, najmowałem się wymiatać za kilka groszy, za kawał chleba; potem szedłem pod kościół z żebrakami rozmawiać. Potrzebowałem ludzi, usiłowałem przywiązać do siebie kogokolwiek, nie dla pomocy, ale tylko dla tego, bym mógł powiedzieć w mojej duszy, że jest człowiek, co mię zna, co mię kocha. Wówczas okryty łachmanami, z miotłą na plecach, zbliżałem się do nich, jak oni do panów, ze strachem, z pokorą. Jam był wyższy nad nich moją pracą, ale oni mną gardzili, bom był uboższy od żebraka. Tu to przypatrzyłem się tym śmieciom rodzaju ludzkiego; poznałem, że w ustach wzywających litości, pod łachmanami tak podłe kryły się dusze, jak i gdzieindziej. Cołem ich życia był grosz i pokarm; za nie oddaliby wszystko. Głód, zimno, dokuczliwe cierpienia, robiły ich zaciętymi, złemi, okrutnymi. Nieraz słyszałem przekleństwo na tego, który się ich modłom niegodnym polecał. Widziałem w kruchcie kościołów toż samo, co inni widują w pałacach — ludzi, ludzi z tą miłością własną, z tym uporem, nieczułością przyklejoną od urodzenia do ich serca — widziałem matki odpychające dzieci od siebie i wyrwyjące im zgłodniałym kawał rzuconego chleba — widziałem drobne dzieci, w wieku niewinności, a już zepsute, z sercem tak fałszywym i brudnym, jak ich łachmany.

Patrzyłem i śmiałem się gorzko w duszy. Ilużby było cnotliwych, gdyby im nędza nie stała na zawadzie do cnoty?!

Tak myślałem i chciałem być bogatym; ale jakże nim zostać?

Zabić!! — chciałem zabić bogacza — życie tych półbożków ziemi niewarte było w moich oczach garści błota...

Im się bardziej nadymali, tem ja nimi więcej gardziłem, i serce mi pękało, myśląc, że ich kawał kruźcu wynosi tak dalece nade mnie, że dla ocalenia życia ulubionego charta, nie wahaliby się ani chwili kazać mnie posiekać żywcem na kawałki.

Raz, było to rano, stałem przed kościołem nad kupą śmieci, patrzyłem na rozbitki talerzy, na sznurki, siana ostatki, plugastwa różne, tarzające się pod memi nogami, w tem zaszleściło coś z tyłu — ujrzałem młode dziewczę idące do kościoła.

Pierwszy raz może w życiu dwa razy spojrzałem na kobietę; ta warta była, aby na nią patrzeć wieki: była tak ładna, a z oczu, z twarzy, sama dobroć, anielska słodycz oddychała!

Ona poszła, ja stałem, i serce mi krwią zabiegło — dla mnie niema kobiet! niema aniołów ziemia! Te, które los równo ze mną postawił w śmieciach i błocie, są to bezduszne, pogardy godne zwierzęta. Spojrzałem na śmiecie, i westchnąłem, myśląc, że z niem całe życie przepędzić muszę.

Jam równy jej człowiek, myślałem, czemużbym jej nie mógł posiadać.

Dumną myśl moję zabiła myśl druga: wspomniałem na twarz moję oszpeconą, spojrzałem na ręce, na garb, na bosc i pokaleczone nogi, i wyznałem, że w moich objęciach ten anioł byłby jak brylant w błocie; rzuciłem miotłę, uderzyłem głową o mur kościoła. chciałem się zabić, skaleczyłem się tylko; krew polatała się z rany, muchy osiadły spiekle skronie, słońce paliło czoło, w usta płynęła krew własna — cały byłem we krwi i serce we krwi pływało. Dziewczyna przeszła

mimo, nie spojrzała nawet na mnie, i śmiejąc się, rozmawiając z jakimś młodym mężczyzną, znikła mi z oczu. Ja rzuciłem się na kupę śmieci i błota, tarzając się w niej bez pamięci, patrzyłem czy nie znajdę czem życia odebrać, ale nic nie było, nawet skorupki, którąbym mógł poderznąć sobie gardło; musiałem żyć i cierpieć.

Po południu deszcz lać zaczął, obmył mi skrwawione skronie, orzeźwił nieco — usnąłem.

Okropne uderzenie obudziło mnie; ujrzałem koło siebie posługacza kościelnego z kijem w rękę; krzyczał na mnie, że śmiecia nie wymiółł; jam milczał i warczałem tylko ze złości: ta mumja kościelna przewalała mi sen tak drogi w życiu nędznika! Potem spędził mnie z kupy śmiecia, żebym mn zamiatać samemu nie przeszkadzał. Stoczyłem się z niej i położyłem się na środku ulicy, a on krzyczał ciągle, że pijak, łajdak, złodziej; gniewał się, że musiał sam pracować. Ja leżałem jak kamień, jak kawał bruku na drodze. Zciemniało się, karetą jechała na bał, konie roztratowały, koła przesunęły się po mnie; jedno przedartszy mi głowę, ztrzaskało zęby i wargi rozgniotło, drugie nogi połamało. Ja leżałem i nie jęknąłem nawet; myślałem, że umrę przecie.

Któż prosił tych bezdusznych mędrków, aby leczyli ludzi?? oni mnie wzywającego śmierci odratowali; nie z litości: bo widziałem, jak obrzynali mi wargi rozprawiając o pomarańczach, ale dla wprawy, aby nauczywszy nóż swój biegać po cielsku nędzarza, śmiało go na bogaczu użyli i zarobili trochę złota, potrzebnego im, na co? nie wiem; wątpię, żeby na dobry uczynek. Bóg dał im w ręce śmierć i życie; oni nie rozdają, ale sprzedają to, co się im dostało jak najdroższy dar na ziemi. W ich oczach człowiek jest bryłą gliny; cierpienie jego wówczas tylko porusza, kiedy każdy jęk oszczędzony złoto im sprowadza. Na co oni mi dali życie drugi raz i puścili z obciętemi wargami, na chwiałających się nogach, nie pytając co z sobą zrobię, nie troszcząc się czem utrzymam dane mi życie?

Zmrok był, deszcz lał jak z rynny, w rynsztokach wrzała woda ulewą wezbrana, ja leżałem w kącie ulicy i patrzyłem na niebo, a deszcz lał mi po głębie roztwartej, obmywał mi twarz zbrudzoną i płynął po obnażonych piersiach.

W tem widzę dziewczę, to samo dziewczę z przedkościola; jedną ręką utrzymuje nad sobą parasol, drugą podnosi suknię, stoi nad rynsztokiem i przejść nie może, bo woda wezbrana nie dozwala. Ja patrzę, wstaje i zbliżam się ku niej; ona spojrzała na mnie i cofnęła się krokiem na widok poczwarnej twarzy, garbu i łachmanów; chciałem ją rzucić w wodę, rozbić jej ładną głowę o kamienie — tak byłem zły — krew wrzała we mnie; ale drugie jej spojrzenie ułagodziło wszystko; skrzywiłem tylko usta, którym warg brakło, jakbym się chciał rozśmiać, i cicho odezwałem się, że ją przez rynsztok przeniosę.

Ona nie chciała, bała się, bym mojem dotknięciem nie skalał jej sukienki; byłem zły, znowu chciałem ją zabić, lecz wstrzymałem się, spojrzałem na jej oczy i padłem w szerz rynsztoka, z ciała mego robiąc jej kładkę do przejścia. Myślałem, że ten anioł nie zechce tknąć nogą nędznika, wyciągniętego jak bryła głazu pod jej stopami; lecz jakem się zdziwił, uczuwszy na plecach moich i głowie lekką jej stopę! Przeszła — wstałem; rzuciła mi pieniądz i śmiała się szalona. Ach! jakem żałował, że mi się położył pod stopy posągu bez duszy! Nie tknąłem pieniądza, rzuciłem się w rynsztok i leżałem rozpaczający i gniewny.

Zanurzyłem twarz w wodę, chciałem się zalać — nie mogłem.

Takiem to życiem przeżyłem długie lata cierpień, a w każdym roku była cała wieczność męczarni; potem pod kupą śmieci znalazłem skarb rzucony tam przed kilką wiekami, w gruzach rozbitego domu, i przy tej bryle złota stałem się inszym człowiekiem.

Bogacz z żebraka, poznałem ludzi, umiałem ich cenić, jak narzędzia potrzebne mi do rozkoszy, i gardziłem niemi potem, jak łupiną zjedzonego owocu.

Raz leżałem niedbale, w około mnie stali słudzy na skinienia gotowi, chciałem rozkoszy — chciałem kobiety, rzuciłem garść złota, i w mgnieniu oka, zjawił się posłaniec rozkoszy, młode dziewczę — patrzę, to ta sama! — I ona spojrzała. Skrzywiłem się umyślnie, jak szatan; myślałem, że ją tem odstreczę; myślałem, że ona takiej jak ja poczwarze nie przeda wdzięków swoich; ale nie! złoto zagładziło obcięte wargi! wyjaśniło twarz szpetną jak dno piekiel—dziewczyna była w moich objęciach. Poznałem, że niema aniołów na ziemi, poznałem, że wszystko śmiecie, prócz złota!...

P. S. Ta autobiografia dosyć nierozsądna (wyznajemy to najnaiwniej) mogłaby wybornie spłonąć na kominku autora; ale mielibyśmy na sumieniu, odrywając jedną kartkę z książki, która i tak na ogień jest przeznaczoną, i wyróżniając ten szpargał innym rodzajem śmierci, byłoby to w pewien sposób dawać mu pierwszeństwo, na które nie zasługuje.

---

## Szpargał Piąty.

---

### O OSŁACH I INNYCH ZWIERZĘTACH.

Trudno bywa zrozumieć, kiedy nie jak młotem,  
Bo wszystko, krom rozumu, ciągnie się za złotem.  
*Fredro.*

Czemuż za godło głupstwa nie obrano żadnego innego zwierzęcia, tylko długouchego osła? Wszak wszystkie równo są głupie, a udzielony im instynkt w miarę potrzeb tylko, nie dowodzi wcale, żeby małpa od osła rozumniejszą być miała. Ale małpa da się nauczyć, da się przekonać, pudel służyć ci będzie, sokoł przyzwyczai się do łowów — osła naucz czegokolwiek, bądź łaskaw! Nie brak więc rozumu, ale upor i twarde stanie przy swoim, charakteryzuje osła. Iluż to znam ludzi, którzy przy całej ograniczonej głowie osłami nazwać się nie mogą! bo dają się przekonać; zmieniając na lepsze fałszywe wyobrażenia, pozwalają do głowy przystępu radom i naukom.

Prawdziwy osieł jest to kamień, z którego ani prośbą, ani groźbą, ani skutecznieniem groźby, to jest, batogiem nic nie zrobisz. Nieszczęściem takich osłów na świecie jak maku; gdzie się obrócisz, wszędzie się o takiego otrzesz; gdzie spojrzysz, musisz go zobaczyć. Człek-osieł nosi głowę w górę, świszcząc chodząc, ręce w kieszenie chowa, ma siebie za najrozumniejszego,



śmieje się z drugich, całe życie próżnuje, roznosi plotki, i tak uporczywie stoi przy swoim zdaniu, że gdyby szło o zbawienie duszy, pewnoby go nie zmienił. Oto cecha, po której go poznasz. Łatwo temu naznaczyć przyczynę.

Osieł chwytą jakieś zdanie nie rozbierając, trzyma się go nierozumiejąc, a nie pojmując dla czegooby drugie od tego lepszem być miało, obstaje zajadle przy swoim, dając za przyczynę: ja tak uważam, mnie się tak daje!!

Dla takich ludzi niema szczęścia ani piękności; nieczuli podrzeźniacze tych, których za przykład wzięli; chwałą z tej samej przyczyny, dla której cieleta w bajce biegają. Nie czując nic a nic, śmieją się ze wszystkiego, jak gdyby wszystkim gardzili — słowem, biada temu, komu się z nimi żyć dostanie!!

Podobni do nich, lecz nierównie lepsi i dogodniejsi w towarzystwie są ludzie-cieleta. Ci dla ograniczonego umysłu, przeciwnie zupełnie sobie postępują, jak osły.

Nic nie rozumiejąc, na wszystko się zgadzają, dają z sobą zrobić co się podoba, o nic nie dbają i żyją sobie spokojnie, nikomu nie zawadzając. Człowiek-ciele ubiera się zwykle niechlujnie, patrzy i nie widzi, chodzi z otwartą gębą, chustkę zawiazuje koło szyi jak postronek, frak plami i je całe życie co popadnie; na każdą rzecz mówi — *tak* — bo nie widzi przyczyny, dla czegooby miał mówić — *nie!* Chodzi sobie na spacer i gawroni się, nie dba o nic, spi smaczno, żonie ulega, dziwuje się każdej rzeczy i umiera zazwyczaj z reputacją bardzo godnego obywatela, z fajką w gębie, z cukierkami w kieszeni, z uśmiechem na ustach. Zreszta człowiek-cieleł niezmiernie jest potrzebny w towarzystwie; nikomu nie zawadza, nie przeczy, nie gniewa się i wszystko chwali, lubi nade wszystko spokojność.

Są ludzie-osły, są ludzie lisy, wilki, lwy, papugi, ludzie-świnie, konie, psy, ale tych opisywać nie trzeba: każdy łatwo pozna, łatwo zadeterminuje; w każdym szynku nauczą cię, kogo masz psem nazywać, a kogo lisem. Zresztą czytaj Lafontain'a objaśnionego przez pana Grandville, a reszty się dowiesz.

---

## Szpargał Szósty.

---

### O NIEBIESKICH MIGDAŁACH.

I o niebieskich marzyć migdałach.

*Chodźko.*

Cóż warte to rzeczywiste życie nasze, utkane z zawiedzionych nadziei, szczęścia widzianego zawsze w przeszłości, z utrapień, łez, smutków i rozkosznych chwil odurzenia, milion razy krótszych od cierpień?

Rozważywszy życie, chętnie się zgodzim na to, że szczęście jest marą, jest myśli tylko naszych wyskokiem, że można być szczęśliwym w każdej prawie doli i położeniu. Rozkosz i cierpienie zależą po większej części od tego, jak je sobie wyobrażamy, a tak dusza sama tylko i myśl szczęścia prawdziwego jest zasadą.

Niech sobie ludzie co chcą gadają, jam jest szczęśliwy, bo umiem marzyć o niebieskich migdałach, a to marzenie stanowi główną tkankę mojego szczęścia, do której przyczepiają się na cieniuchnych niteczkach rzeczywiste życia wypadki i w przeszłości tak się plotą z sobą, że nieraz pewnym być nie mogę, czy to a to było ze mną w istocie, czym tylko sobie wyobrażał, marząc o niebieskich migdałach. Bodaj to marzyć życie całe! bodaj to przespać je i prześnić od młodości do śmierci! — małoby brakło do zupełnego szczęścia. W marzeniu znika człowiek, czas, miejsce —

przyszłość i przeszłość mieszają się i ucierają — rzeczywistość i urojenie zlewają się jak jednorodne pierwiastki. Cały świat, wszystkie rozkosze, są na moje rozkazy, gdy marzę o niebieskich migdałach.

Chceszli ty, co to czytasz, nauczyć się odemnie tej sztuki? — posłuchaj; lecz jak młody, niecierpliwy uczeń, nie gardź, choćby ci się próba kilkakroć nie udała. Tu, i w całym życiu, potrzeba jest wytrwałość. Jeśli nie uwierzysz w to, co mówię, także się dobrego skutku próby nie spodziewaj. Wiara, ślepa wiara, jest główną zasadą szczęśliwych marzeń o niebieskich migdałach. Moja sztuka, jak magnetyzm do sceptyków się nie czepia! Łatwo się śmiać z marzeń i powtarzać: cóż marzenia dowodzą? łatwo do rzeczywistości się uciekać po wszystko, ale rzeczywistość kruchsza jeszcze od marzenia, i częściej pewnie ona, niż niebieskie migdały, się naprzykrzy.

Chcąc marzyć jak się należy, trzeba się naprzód uzbroić w cierpliwość niepokonaną, trzeba umieć znosić wszystko, nawet upokorzenia, tak zimno, jakby nie się nas wymierzone były; powtóre, trzeba umieć kłaść się na łożku lub kanapie, tak, aby nam nic a nic nie dolegało, aby żadne przykre wrażenie wewnętrzne nie odwodziło nas od marzeń; po trzecie, trzeba nasycić się wszystkim, przed chwilą marzenia, aby żadna potrzeba fizyczna nie wstrzymała nam cugli na drodze do nieba, trzeba kazać pozamykać drzwi, uprosić najpowszechniejsze milczenie, słowem, przygotować się jak do snu; ale położywszy się, broń Boże nie zasypiać!!

Sen w takim razie okazałby zupełną do migdałowego szczęścia niesposobność — marzenie wymaga zupełnej przytomności, natężenia wszystkich władz, skupienia wszystkich sił i zupełnej trzeźwości myśli!!

Wierzcie mi, Panowie! nie ma szczęścia jak w niebieskich migdałach — urojenia tak są rozkoszne, tak rozmaite, tyle blasku użyczają rzeczywistemu życiu naszemu!

Dowodem tego ja sam jestem; ja, co żyjąc lat niewiele na świecie, marzeniem przebiegłem wieki, byłem,

jak mi się zachciało, dzieckiem, starcem, kobietą, monarchą, węglarzem, stawilem się w najrozmaitszych położeniach, zmyślałem sobie coraz dziksze rozkosze i cierpienia, aby onych doświadczyć i zbadać je w samym sobie. Byłem jeszcze mały i głupszy jeszcze trochę jak teraz, a już uczyłem się marzyć o niebieskich migdałach. Pamiętam, jak raz w szkołach, klęcząc za karę pod piecem w czapce z osłemi uszami, wystawilem sobie, że jestem arcybiskupem i namaszczam króla. To urojenie tak było silne, że umoczywszy palec w blisko stojącym kałamarzu, posmarowałem nim po głowie jednego z moich towarzyszków, który się zapewne ani spodziewał, że mu tak wielką cześć wyrządzał, walając go atramentem.

Któż się nie kochał? — i ja się kochałem. Wówczas to trzeba objąć myślą te miliony szczęść, któremi każde moje zbliżenie się do niej, każde jej słowo i ruszenie osadzałem. I byłem też tak szczęśliwy, jak tylko być można, kochając kobietę; byłem szczęśliwy póty, póki każdego urojonego szczęścia nie urzeczywistałem. Wyczerpawszy skarb urojeń do kropli, przekonawszy się, że to samo, co jest rozkosznem w marzeniu, na jawie słabem jest tylko odbiciem snu wyobraźni, powróciłem do prozy, obejrzawszy wprzód od stóp do głowy siebie i kochankę, czy nie można jeszcze wymyśleć czego i spróbować? a potem — bądź zdrowa!! I zimne było to *bądź zdrowa*, jak rzeczywistość, a po niem następujące *witaj marzenie!* gorące, jak marzenie.

W niebieskich migdałach rozmaitość najwięcej uszczęśliwia. Trudno powtórzyć jedno dwa razy z równym skutkiem, z równym zapalem. Druga próba jest zimniejsza, trzecia usta do ziewania otwiera, o czwartej ani myśleć! (Trafia się to i na jawie).

Jest jednak w tych snach jedna rzecz okropna — przebudzenie, kiedy ci leżącemu do nieba spadnie z rzeczywistego świata na nos półczocho Jana Pawła Rychtera\*), kiedy marzącemu, żeś panną lub półbóstwem,

\*) Siebenkäs v. Jean Paul Richter.

przyjdzie golić brodę cyrulik, lub zawieszzonego na planetach i oddychającego sfer harmonją swąd z pieca obudzi!!

Gdzież więcej, jak w małżeńskim stanie, potrzebne są niebieskie migdały?

Jak tylko sytość nastąpi po głodzie, jak tylko przelecą nieodwołane pierwszych rozkoszy miesiące, na desser tej ucztie, sobie i żonie musisz stawić niebieskie migdały. Bo cóż za rzeczywistość?

Spojrż w przyszłość; ona przed tobą wyciąga się długa, ciemna, nudna, jednostajna; w oddaleniu spozstrzegasz bóstwo twoje zwiędnięte, kilkoro dzieci wrzaskliwych i każdego roku, ten sam dom, te same osoby, to samo życie pokrajane na drobne jednostajne kawałeczki.

Tu ani wyżyć bez niebieskich migdałów; nie nakarmią cię pieśszoty, które ciągle jedna ręka, jedno usta, jedno łono udzielać będzie.

Za każdym razem spadnie z nich po odrobinie szczęścia, w końcu staną się tylko formą rozkoszy, a nie rozkoszą.

Napróżno będziesz się starał powrócić im wdzięk nowości i świeżość dawniejszą — będziecie ziewać całując się, będziecie się nudzić kochając; ty będziesz musiał szukać szczęścia dorywczego i brudnego za kulisami domowego życia w praczkarni lub kawiarni, ona w księżce lub u ołtarzy. Tak się to kończy zawsze błyszczący dzień życia małżonków, któremu przy poranku przyświeca słońce tak świetne!! I miłość, ta miłość z musu zaprzysiężona i kontraktem zaarederowana, wzajemnie zmieni się w zimny nąłóg i nudę. Szczęśliwy jeszcze, jeśli twa żona przeniesieniem się do nieba stworzy ci nowe życie, nowe nadzieje i marzenia!

Reczę, że żal najszczęszy po jej zgonie milszym ci będzie nad miljon razy powtarzane jej pieśszoty. Nie wyznasz tego przed światem, zawstydzisz się przed samym sobą, a jednak jest to istotna prawda! smutna prawda!

Kto się urodził z duszą gorącą, z wyobraźnią żywą, działającą, będącą jak młyn wietrzny w ciągłym ruchu, potrzebującą coraz nowych materiałów na mlewo, kto przy tem wszystkiem przykuty został jak koń na postrońku i zmuszony do obiegania ciągle jednego kółka, temu niebieskie migdały są koniecznie potrzebne. Bez nich, własne siły go spalą, lub zasną, nie mając roboty, i tego pięknego ognistego człowieka zamienią w kawał ruchawego głazu. Siedząc na jednym miejscu, zakopany na wsi z ludźmi, w których głowach stoją browary i szynki, z jakąż roskoszą wystawisz sobie stolice świetne Europy, dalekie szczęśliwe kraje, ludzi, samą naturę tak czarującą, tak różnaitą, tak odmienną od twego lasku za stodołą, sadzawki pod folwarkiem i pagórka w ogrodzie!

Cóżbym ja poradził z sobą, gdybym nie miał na ratunek niebieskich migdałów, gdybym musiał ciągle żyć tylko z temi, których mi los za towarzyszków nudnych nudnego życia narzucił, gdybym na rozkazy nie miał tłumu osób różnej płci i wieku, charakterów i skłonności, gdyby ta zgraja nie uwijała się ciągle koło mnie?

Jest u mnie trupia głowa; ta głowa zwykłym jest tematem moich marzeń o niebieskich migdałach. Ileż to ja stworzyłem baśni, patrząc na ten czerep bez duszy, świadek tylu wypadków, który mi o sobie nic więcej powiedzieć nie umiał, tylko że w szczękach były zęby, w dziurach oczy, a na tych oczach tyle łez!!

W tych to marzeniach doszedłem, przekonałem się, wbiłem sobie, że ta głowa jest głową kobiety. Byłbym dał miliony, gdybym je miał, żebym mógł wiedzieć choć jedną myśl, która przeleciała przez ten czerep, w który ja teraz puszczam dym z fajki i patrzę jak się przez oczy i gębę wiję kłębamii. Czasem też gorzko zasmucam sam siebie, myśląc, że to głowa jakiej *donny* kucharki, która za życia tak była pusta, jak teraz. Lubię jednak marzyć sobie, że w tych dziurach siedziały śliczne oczy niebieskie, na tej kości wyklejone były różane usteczka; lubię unosić się nad

szczeńciem, którego doznawał pan kochanek, kiedy ten kawał spróchniałej kości leżał na jego łonie! Jakżeby teraz odskoczył, gdybym mu dał główkę jego kochanki, zimną, zapyloną, jak pustą klatkę po zdechłym ptaszku! Ta, którą on tak cenił, u mnie dziś leży pod stołem; w tym tronie myśli biegają pająki; w oczach, z których płomienie latały, dziś często w braku lichtarza stawiam świecę, w usta zatykam pióra, a jednak za życia pewniebym tej pięknej trupiej główce starał się szalenie przypodobać, jeśli tylko była ładna. Otóż co mogą marzenia o niebieskich migdałach: one czerp bezduszny ubarwiają i przemieniają w piękną głowę szesnastoletniej dziewczyny, zapalają dwoje oczu, rumienia lice, tworzą z kawałka kości cały poemat, tchuący życiem, roskoszą i świeżością!!

P. S. Poemat, o którym tu mowa, zapewne nie wydany. Autor w lat więcej niż dziesięć, przeglądając te szpargały, które pisał za młodu, niezmiernie się nad sobą lituje, strasznie rusza ramionami i niewymownie się cieszy, że dał tej książce tytuł — *do zapalania fajek*. Było to trafne uznanie jej wartości i przeznaczenia.



## Szpargał Siódmy.

### O BABIE KOŚCIELNEJ.

Jakaż mię przyszłość czeka, jakaż mieć nadzieję?  
Ze biedna opuszczona — ach! cała truchleję!  
Mąż i Żona.

#### I.

- Ts!
- Cicho!
- Chodź ztąd, bo ktokolwiek nas usłyszy.
- Ach! ja się boję!
- I czego się boisz?
- Ja nie wiem sama!
- Chodź, chodź tylko — tu ciemno, gołe ściany,  
wiatr przewiewa — ja cię zawiozę do siebie.
- Ale pani...
- Pani twoja musi się już z tobą pożegnać; jesteś  
moją.
- Tak! pańską!
- Nie nazywajże mnie panem!
- A jakże ja pana będę nazywać? — ja jestem bie-  
dna dziewczyna!
- Chodź, Marysiu!
- Doprawdy, ja się znowu boję; drzę cała, jakbym  
zrobiła co złego!
- Ach! nie bądźże dzieckiem!

— Idę, panie!

— Znowu panie! Mówię ci, nazywaj mnie Antosiem!

— Dobrze, panie! ach! powoli! tak ciemno! nie trafim na wschody. Pani czasem posłyszysz, wyjdzie — ja się spalę ze wstydu.

— Chodźże tylko prędko — chodź — chodź.

— Nie mogę trafić na wschody, boję się stuknąć, pani wyjdzie.

— Ts! cicho! co ci się tam marzy? Twoja pani śpi może — już po dziesiątej!

— O! ona nie śpi! ona myśli, że ja mówię pacierz! Powoli! aj! omało nie upadłam, a biedna ja sierota! powoli! poręcza chwycić się nie mogę!

Tak wołając, szli w ciemności po wschodach. Pan Antoni prowadził młodą Marysię, która otulając się salopką, szła za nim, potykając ze strachem co chwila. W połowie wschodów i prowadzącemu i prowadzonej pośliznęły się nogi — padli z krzykiem oboje.

Nim mieli czas powstać i uciekać, w górze otworzyło się kilkoro drzwi, błysnęły światła, tłum różnych osób stanął nad wschodami, spoglądając w dół ciekawie na pana Antoniego i Marysię. Pierwszy trzymał się za bok, druga zatuliła oczy i kryła się za niego, ciągnąc go za połę, aby schodził prędzej.

— Kto tam? odezwała się jejmość jakaś w narzuconej salopie na koszulę, wznosząc stoczek zielony po nad głową. A! tfu! dali Pan! czy nie pan Antoni? a to! czy to ty, błaznico!

— Nie! to nie ona! — zawołał pełnym gniewu tonem pan Antoni.

Jejmość w salopie ze stoczkiem pobiegła na dół i ukrywającej się dziewczynie zajrzała w oczy.

— A to ty! ha! zawołała, chwytając drżącą Marysię za rękę. Poczekaj-no, skromnisio! takie to twoje pacierze? niewiniątko!

Marysia tuliła oczy w salopę, pan Antoni się zzywał, widzowie nad wschodami śmieli się i szeptali, jejmość w salopce lajała okropnie.

Pan Antoni nie mógł ścierpieć i odezwał się narzeczcie:

— Proszę zaprzestać tych krzyków. Ja jej bronie!

— Ty, oszuście! bezbożniku! libertynie! wybuchła jejmość w salopie. Czy wiesz ty, co nieboszczyk mój mąż mówił, jaka kara na tych w statucie co dziewczęta uwodzą? Ha! a udałeś skromnego! niewinny jak baranek! Sto różek dziewczynie! a wasan pamiętaj, żeby tu twoja noga nie postać a! Wiesz, co w statucie napisano: nos, uszy, ręce i nogi obcinają! Chodź-że no wasanna!

Wzięła ją za rękę, ona się opierała, pan Antoni stanął groźnie i odezwał się do jejmości:

— Wasani nie masz żadnego prawa do tej dziewczyny, ja jestem jej opiekunem przez ojca naznaczonym, ona tu dłużej być nie może. Chodź, Marysiu! — I wziął ją ra rękę, a jejmość w salopie krzyczała:

— Dobra! opiekuna! Kot myszy pilnuje! Dobrze spełniasz opiekę, bezbożniku! Ja ciebie nauczę! Jutro dam znać do kwartału, do policji, jutro tę dziewczynę wsadzę na chleb i wodę na rekolekcje! Śliczny mi opiekun! po nocy swoją pupillę wykrada! Opiekun i opiekun! Tyś złodziej nie opiekun!

Gdy ona to mówiła, oni już byli za bramą. Pan Antoni milczał, Marysia płakała. Po chwili on ją pocieszał; była już spokojniejszą, przyszli do domu, i Marysia ścisnęła opiekuna tak czule, że zapomniał o wschoinach, o jejmości w salopce, i o tem, co tam napisano w statucie na uwodzących dziewczęta.

## II.

Wiatr wył okropnie, dzwony jęczały, i zdawało się, że nie ręka ludzka ale ręka burzy niemi miota.

Kondukt pogrzebowy szedł ulicą; pieli księży, grała muzyka, ale wiatr pogasił wszystkie światła — ciemno było i straszno. Dziewczyna szła za trumną i rzewnie płakała, w rękę trzymała zgasłą od wiatru świecę i chu-

stkę mokrą od łez i deszczu; ona nie miała siły spojrzeć na trumnę; szła tylko nie patrząc przed siebie, jak gdyby ją jaki instykt prowadził, szła aż do kościoła, tam stanęła i znów płakała, a wszyscy patrzali na nią i nikt cieszyć nie myślał. Księża skończyli śpiewać, wszyscy wyszli, ona stała, dziad ją za drzwi kościelne wyprowadził, zatrzasnął rygle i poszedł mrużąc *Wieczne odpocznienie*. Wiatr wył, deszcz lał, ona stała jak wryta i płakała, oparłszy głowę o mur kościelny, ale nikt jęków nie słuchał, nikt na łyzy nie patrzył, bo była noc, noc głucha, a na smętarczy po nocy nikt nie chodzi, chyba duch.

Marysia płakała długo i siadła płakać na kamieniu, i zasnęła biedna.

Obudziła się rano, żeby spojrzeć jak trumnę wynoszą, znowu pobiegła za trumną na smętarczy, pobiegła nad jamę, spojrzała w nią, a ten dół przez łyzy błyszczące w oku wydał jej się tak okropny! Usłyszała szmer sunącej się po powrozach trumny, chciała się rzucić za nią, ludzie wstrzymali, potem sypała się ziemia, ona słyszała, ujrzała nad nim mogiłę ze świeżego piasku, w głowie jej przewróciło się, zaczęła śpiewać i tańcować na jego grobie! Ludzie poszli ruszając ramionami, Marysia została na grobie, i tańcowała jak młoda topol wiatrem uginana, śpiewała wesoło, śmiała się okropnie, a jak zmrok przyszedł, położyła się obok mogiły, mówiąc sama do siebie: — Antoś przyjdzie niedługo, on zawsze ze mną śpi razem! — usnęła.

W północ obudziła się; koło jej głowy stała latarka, koło niej obok leżał trup kochanka, dalej stało dwóch jakichś ludzi, a trzeci równał mogiłę łopatą, mówiąc:

— E! panie doktorze! ani znaku nie będzie!

Trup jego był odarty do naga, ona się rzuciła na zimne ciało Antosia i krzyknęła, doktorowie skoczyli ku niej, grabarz cofnął się, jakby kto strzelił do niego.

— Kto to?

— Kto?.

— W Imię Ojca!

A ona odezwała się: — Cha! cha! to ty panie do-

ktorze! przyszedłeś leczyć Antosia! o! on zdrów! ja go wyleczyłam; on spał dziś ze mną; my pana nie potrzebujemy. On zdrów, zupełnie zdrów, tylko śpi.

Potem ścisnęła i całowała trupa.

Doktorowie osłupieli, grabarz stał drżący, jeden szeptał drugiemu:

— To ta dziewczyna, co była u niego, pamiętasz? musiała zwarjować! Nie traćmy czasu, bierzmy trupa i w nogi; no! na plecy go! — Dał znak grabarzowi; ten się zbliżył, chciał wziąć trupa, ale dziewczyna nie puszczała kochanka i groziła, okropnie zgrzytając zębami grabarzowi. Doktorowie stali i patrzali na to, jakby kto inny przyglądał się marjonetkom. Dziewczyna ciągnęła sobie trupa, grabarz sobie; nie było ratunku. Stary uderzył ją silnie łopata, żeby się jej pozbyć mrużąc pod nosem:

— Będzie dwa zamiast jednego!

Dziewczyna krzyknęła boleśnie, młodszy doktor pokroczył, zgromił starego grabarza, wziął dziewczynę gwałtem za rękę, i wodząc latarką koło jej twarzy, zawołał:

— Wcale niczego! gdyby nie ten szal, jabym ją gotów wziąć z sobą.

— I! porzuciłbyś te głupstwa! — przerwał drugi — blada jak upiór, chuda jak trzaska; weźmiem chyba na dyssekcję, lub dla spróbowania na niej mocy nowego preparatu naszego.

Marysia patrzyła na nich, usiłowała wyrwać rękę swoją z rąk doktora, a nie mogąc tego dokazać, ugryzła go za palec i krzyknęła:

— Ty nie Antoś! oddaj mi Antosia!

Pan konsyljarz krzyknął, ale trzymał dziewczę; grabarz naprzód szedł i niósł trupa.

Marysia gwałtem prawie wleczona dociągnęła się do mieszkania doktora. Trupa położyli na stole, grabarz poszedł, doktor zamknął dziewczynę w osobnym pokoju, dał jej wina i chleba, a sam poszedł na dyssekcję.

Marysia nie jadła ani piła, chciała iść gwałtem do

stołu gdzie leżał Antoś, ale drzwi były zamknięte, ryczała prawie z bóleści, a doktor palił cygaro i machał bisturem.

Ona przyłożyła oko do dziurki od klucza, widziała jak jej kochankowi odcięli głowę, jak mu poobrzynali ręce i nogi, i płakała, i padła na ziemię bez przytomności. Los sprawdził choć po śmierci wyrocznią statutu! Nie darmo statut napisany!

Doktor poszedł z rękami obluźganymi krwią oschlą trupą, do Marysi i gładził ją, ciesząc, pod brodę; ona szalona uśmiechała się do niego, a jak świeca zagasła, poszła spać spokojnie i tuliła się do doktora, wołając na swego Antosia, i macała mu głowę i ręce, pytając, czy ten kat doprawdy ich nie poobcinał??

### III.

Mróz dochodził do dwudziestu stopni, biedna, w obdartych łachmanach Marysia, stała przeziębła u drzwi lichego domku.

W piersiach jej brakło głosu do wzywania litości; dwie łzy do połowy zmarzłe toczyły się po jej twarzy; te łzy mróz wycisnął; boleść na jej sercu nie już działać nie mogła, bo to serce było przesiękłe, rozdarte cierpieniem.

Piersi jej, śliczne niegdyś, piersi były obnażone, płachta podarta okrywała je do połowy, ręce miała stulone i przymarzłe prawie jedna do drugiej, nogi bosa i czarne, na jednej z nich trzewik, na drugiej resztki wełnianej pończochy.

Jęczała tylko, a w tym jęku nie było słowa, lecz była prośba; ten jęk obijał się o serce jak konającego modlitwa do Boga; ludzie chodzili, ludzie jęki słyszeli, a jednak nikt jej nie puścił do domu; stała biedna pod drzwiami, a mróz był okropny! nieśmiało, powoli, otworzyła drzwiczki domku i jęknęła; z izby wyleciał głos:

— A czego tam łazisz i izbę studzisz? Do dobroczynności! Zamykaj! zamykaj!

Marysia jęknęła raz jeszcze; stary, czerwony mężczyzna w brudnym szlafroku wyleciał naprzeciw niej, chciał łajać, spojrział na piękną niegdyś twarz i stanął; ona jęczała, on słuchał; drzwi były odemknięte.

— No! no! ogrzej się — chodź! a drzwi zamknij! izbę studzisz! drwa kosztują drogo. Co ty za jedna?

Marysia weszła, stanęła u drzwi i tupiała nóżkami; łzy jej płynęły. Czerwony jegomość stał i patrzył, potem założył pióro za ucho i kręcąc głową zawołał:

— Co ty za jedna?

Prócz jęku nie było odpowiedzi, a jegomość nie rozumiał jęków i mruczał pod nosem: — Musiała być ładna! i jeszcze taki nieszpeta!

Był to ostatni może tryumf biednej Marysi. Pozwolono jej się ogrzać, nie że była biedna, ale że była ładna. Ona siedziała przy piecu. Czerwony jegomość zamknął drzwi na klucz. Milczała i oddychała ciężko. Ciepło przejmowało jej ciało od dwóch dni skościące; język jej odmarzł; prosiła jeść. Czerwony jegomość dał jej wódki i chleba z solą, ciągle mrucząc pod nosem: — Musiała być ładna.

W kilka tygodni Marysia gospodarowała u tego jegomości, a on chodził z piórem za uchem, pisał pozwy, ruszał ramionami i dziwował się, że ona była ładna, a taka biedna! Było się czemu dziwować! Marysia nie zawsze była tak biedna, i tego domyślał się czerwony jegomość, ale o tem nie mówił.

Potem czerwony jegomość został przeniesiony do innego miasta, a Marysia marzyła znowu na ulicy.

#### IV.

— Na miłość Boga! jeden groszyk panie!

— Jeden grosz biednej ubogiej!

— Jeden grosz ślepemu kalece!

— Niech was Panna Marja Ostrobramska pocieszy!

— Zlitujcie się nade mną!

Tak odzywali się żebracy i żebraczki pod kościołem w niedzielę, siedząc rzędem w kruchcie i wyciągając ręce ku przechodniom...

Między ubogimi siedziała jedna młoda, blada, z twarzą pokaleczoną ranami, okryta łachmanami obrzydliwymi, i ona wyciągniętą miała rękę, ale nie mówiła ani słowa, tylko drżała od zimna i z bóleści. Kilku przechodniów dawało jałmużnę, lecz tłuste baby zawsze ją pochwyciły; na wychudłej dłoni Marysi ani grosz nie pozostał; odpychali ją żebracy od siebie, cisnąc się po grosz jałmużny, tak, że się ledwie na szczupłym siedzeniu pomieścić i usiedzieć mogła. Szły dwie osoby na mszę; Marysia wlepiała w każdego czarne oczy łzami zeszecone, wpadłe i nieruchome, lecz nikt nie uważał. Ten dawał jałmużnę bliżej siedzącym, ów rzucał ją dla oka trafem, dla pocieszenia się przyjemnym widokiem bitwy żebraków o grosz, inny mijał ich, ruszając ramionami, inny łajał jeszcze. Ku południowi, przy końcu sumy, szedł jakiś tłusty jegomość do kościoła; żebraczka spojrzała na niego i boleśnie jęknęła; on obrócił głowę, spojrzał, zdawał się coś przypominać, potem dobył dziesiątkę z kieszeni rzucił ją na wyciągniętą dłoń żebraczki, oddalając się spiesźnie.

Ona westchnęła i patrzyła długo za nim, a tymczasem obok siedząca stara kwoka porwała jej dziesiątkę i spiesźnie ją schowała pod fartuch. Marysia nic nie uważała, nic nie widziała, z oczu jej łzy się toczyły, usta miała skrzywione, patrzyła przed siebie i drżała coraz mocniej.

Tłum ludu wracał z sumy, Marysia patrzyła jeszcze, ale jegomość wymknął się tak, że go nie widziała, tylko jakiś bogobojny staruszek dał jej pięciórkę, polecając, aby za duszę Anieli zmówiła trzy Zdrowaś Marja.

---



## Szpargał Ósmy.

---

### O POEZJI ŻYDOWSKIEJ.

Z piasku bicza nie ukręcisz.

Wieczną będą dla nas żydzi zagadką, bo się nad nimi nikt zastanawiać nie chce: każdego odstręcza zapach cebuli, brudy i trudności, które się spotykają na tej drodze zalanej pomyjami, najeżonej brodami, zalanej komentarzami talmudu.

U nas to osobliwie zasługują oni na uwagę, gdyż uporeczywie stojąc przy dawnych zwyczajach i ciemności, zostawili w sobie nam ślady stanu swego w wiekach przeszłych.

Żyd dzisiejszy, śmiało mówić można, jest ten sam, jaki był w Polsce przed dwiestą laty; z tą tylko różnicą, że dawniej trochę więcej jeszcze jak dziś nim pogardzano i srożej ciemiono.

Przenieśli oni z dawnych wieków wszystkie dzikie swoje przesady, i strój nawet ten sam zachowali; ubiór ich dzisiejszy jest z małą tylko odmianą dawnym strojem polskim i czarność jego nawet nie ma w sobie nic odrębnego, gdyż to był kolor nie tylko u nas, lecz i w całej Europie, przez dość długi czas przeciąg upowszechniony.

Lud ten po dziś dzień w dzieciństwie zostający, nietknięty cywilizacją, zdaje się, jak wszystkie ludy, powinienby mieć swoją poezję, tę cechę dzieciństwa;

lecz ściślejsze badanie przekona łatwo, że cały ich skarb poetycki zamknięty jest w Biblii Starego Zakonu i komentarzuszach na nią, znanych pod licznymi nazwaniami. Oni, jak jabłko niedojrzałe, zgnili, nim dorosli; całe życie ich brudne, nudne i jednostajne, jest czystą prozą; nie mają pieśni; podania ich są dzikie lub z pospolitych źródeł czerpane; nie zastanawiają ani nowością pomysłów, ani nawet zatrudnić mogą badacza, bo każdy łatwo dojdzie, zkąd, jak i kiedy bajka urosła.

Życie żyda jest istnem nieszczęściem; rodzi się popolicie w brudach i nędzy, z kolebki przechodzi w ręce szpektora, który jedną tylko książkę czytać umie, potem puszcza się na szachrajstwa; żenią go, dostaje dom osobny, dwa brudne łóżka z piernatami, kilka mis cynowych, kociołek do wody, łapserdak codzienny i odświętny, które sprzęt jego cały składają. Żyje z żoną niezmiernie prozaicznie i kończy karierę na wzbogaceniu się lub wpadnięciu w straszną nędzę. Panującą w nim namietnością jest chęć zysku; przywiązanie do osób jest tylko prostą formą, a nie żadną miłością.

Przykuty do ziemi, jeżeli się myślą wyżej unieść zechce, co rzadko bywa, wystawia sobie niebo synagogą oświeconą milionem świeczek łojowych, sadi tam Szarobora, Lewiatana, mierzy wielkość bóstwa łokciem, duszę karmi kuglem i łokszynem. Zabobonny i lękliwy, podły i nieszczęsny, ciągły niewolnik własnego położenia, tai się ze wszystkim, modli się gorliwie, oszukuje każdego, przysięgając przekręca głoski, aby nie dotrzymać przysięgi, kłaniając się nisko, stuka pantoflami i przeklina. Można szukać poezji u takiego ludu? Bez wątpienia, ma on swoją oddzielną, całę oryginalną, napiętnowaną ekscentrycyzmem poezją; i chociaż jej nie śpiewa, nie pisze, zmyślenia te z ust do ust lecą i przebiegają wieki, coraz bogatsze, ubarwione w nowe wymysły i dodatki.

W złe duchy wierzą oni najuroczyściej, pozwalają im zaludniać podziemne lochy; bywały nawet przykłady, że żydzi toczyli sprawę z duchami, że w szkole

stawał przed sąd zapozwany żyd z jednej, a z drugiej strony za przepierzeniem lub przewieszonym płótnem, duch. Żyd może pożyczać nawet od niego pieniędzy, ale kiedy na termin nie odda, bądź mi zdrów! Są duchy złe ze wszystkim i miernie złe; rodzą się one różnemi sposobami: rzucony obcięty paznokieć na ziemię rodzi zaraz djabła; dla tego też żydzi obcięte paznokcie w ogień rzucają \*).

Uczony żyd boi się djabła nadzwyczajnym sposobem; jak tylko się zmierzchnie, za próg sam jeden się nie ruszy. Dają temu za przyczynę, że szatan nie tak czyha na głupiego żyda, bo mniej ma ztąd chluby, jeżeli go podbije; szuka on większej sławy, zasadza się na rabinów i tych przemądrych, co całe życie ślepią nad komentarzami, nie jedzą, nie piją, i najczęściej warjują nakoniec, co u nich nazywa się najwyższym stopniem uczoności.

Zapomniałem powiedzieć, jak żydzi tłumaczą warjacja, czyli pomieszanie zmysłów. Utrzymują oni, iż kiedy druga jaka, cudza, wędrująca dusza zajdzie do jakiego ciała, w którym już wprzód inna obrała mieszkanie, wówczas człowiek traci przytomność i warjuje.

Niema nic dziwnego, że z dawnych zasad żydzi zatrzymali w części wiarę w metempsychozę; przekonani są, że kto nie dożył przeznaczonych sobie lat na świecie, ten musi drugi raz na ten świat fatygować się i dokończyć swojej miarki. Zdarza się, iż dusza za karę do zwierzęcia się jakiego przenosi.

Istnie poetyczne są wyobrażenia o mocy uczonych, o ich władzy nad światem umysłowym i krainą duchów; ten, który doszedł do pewnego stopnia doskonałości, może, według nich, cudów dokazywać. Światby się nie ostał, mówią oni, gdyby na nim nie było ciągle siedmdziesiąt dwóch bardzo mądrych żydów; jak tylko z nich który nogi zadrze, drugi rodzić się musi, aby go zastąpić.

---

\*) Rodzą się także złe duchy z rozbitych czerepów i wszelkich naczyń; bieda, kto co stłucze!!

Mądry doskonale żyd ma na swoje usługi kopami aniołów i duchów.

Jeśli mu się podoba, lepi sobie bałwana z gliny, pisze jedno słówko na kartce, przylepia mu ją na czole, każe chodzić, robić co mu się podoba, a bałwan gliniany słucha go jak najdoskonalej, póki tylko ma kartkę na czole; jak się tylko odlepi, pada i żyć przestaje, póki znowu ruszyć mu się nie każą.

O krainie duchów dziwy plotą, jak oni tam żyją, jakie mają pałace, jak się starają zwabić sobie ludzi płci obojej, jak u nich człowiek jest drogi, jak dostawszy się tam przypadkiem, chcąc być uwolnionym, broń Boże, nic jeść nie trzeba, choćby nawet gotowaną rybą lub innym jakim przysmakiem traktowali.

W takich to bajkach cała poezja żydów, nosząca na sobie cechy pochodzenia wschodniego i wpływu krajów, w których przemieszkiwała. Nie znajdziesz w niej nic nowego; każdej baśni można naznaczyć początek, można inne podobne innych ludów zacytować; po ściślejszym rozbiorze, mało by się im pono zostało własnych utworów, a i te niewiele by warte były. Pamiętają dotąd Esterkę, wspominają z westchnieniem jej czasy i mają nadzieję, że się kiedyś z procentem powrócą, a syn Izraela całą ziemią władać będzie i srodze uciemiezać Goimów. Tymczasem w oczekiwaniu Messjasza i panowania nad światem, pocieszają się w ucisku, wyduszając z ludzi ostatni grosz i krwawą ich pracę.

---

## Szpargał Dziewiąty.

### IL FANATICO PER LA MUSICA.

Zdaje mi się, że widzę; gdzie? przed  
oczyma duszy mojej!

*Szekspir.*

Z czwartą pieśnią pielgrzymki Child Harolda przybyłem do Rzymu, pożerany ciekawością, trawiony nią wewnątrznie. Chciałem oddychać powietrzem tej krainy, która tak długo przetrzymawszy świat w dłoni, dziś, jak rozwalona świątynia, która tysiące ludu mieściła w sobie, stoi pusta i bez duszy. Namiętny wielbiciel muzyki, jechałem do Włoch, płakać nad zgonem jej w tej krainie, nad oniemiałemi stolicą jej murami. Bo nie prawdaż, że muzyka we Włoszech umarła? że Niemcy leżące na ziemi berło harmonji pochwycili, i przyczepiwszy do niego trochę dzwonków, brzęczą nim nad zdumionym światem? Byłem młody, krew wrzała jeszcze we mnie. Kiedym raz pierwszy stąpił na te pagórki uwieńczone wspomnieniami wieków, kiedym odetchnął powietrzem tyle sławionem Italji, kiedym ujrzał krainę opiewaną, wynoszoną, niegdyś świata monarchinią, serce moje zadrżało; było to to samo uczucie, którego doznawałem nad grobem wielkiego bohatera. Dzisiejszy Rzym jest popiołem dawnego Rzymu. W stolicy muzyki dziś głucho; dzwony tylko, przeciągły głos organów, niezgrabne pieśni wynędzniałego ludu, niesforne orkiestry i chóry kościelne, oto muzyka włoska

w Rzymie. A ja, com jechał rzuciwszy czarujące opery Niemiec, stanąłem jak nad rozbitą lutnią Orfeja, nastawiałem ucho, czekałem — we Włoszech nie było muzyki, trzeba było pragnącą dźwięków duszę poić tylko wspomnieniem. Duch wielkich mistrzów starej poważnej muzyki kościelnej odleciał stąd na wieki. Lazzaroni śpiewali w niezrozumiałym dialekcie śpiewki zwiędłe i skoszlawione.

Zwiedzałem sławne galerje obrazów, tonąłem w pustych gmachach, jak dziecię w sukniach szytych na olbrzyma; oko moje pochłonęło Watykan; przypomniałem Michała Anioła, dziwiłem się, rozpływałem, ale nie byłem szczęśliwy, bo nie było muzyki.

A dusza moja pragnęła jej tak silnie. żądała jeśli nie nią, rozmową przynajmniej o niej się pocieszyć; lecz napróżno — zdawało się, że w całym Rzymie ja jeden tylko o muzyce myślałem, bo kiedy głosem entuzjasty, akcentem cudzoziemca, ozwałem się do jakiego muzyka z profesji, ten mierzył mię od stóp do głowy, kłaniał się, śmiał i odchodził.

Już miałem wyjeżdżać i pożegnać na wieki ten kawał płótna, na którym niegdyś tak piękny był obraz, gdy jednego ranku udałem się do mego bankiera, mieszkającego na Strada del Popolo. Znano mię tam z ciężkich nudnych wyrzekań o muzyce, za zapalonego wielbiciela tej sztuki; po krótkiej więc rozmowie szepnął mi gospodarz, że jeśli chcę o tym przedmiocie dowoli się nagadać, mogę się udać do tego jegomości.

To mówiąc, wskazał mi małe stworzenie suche, blade, żółte, łyse, całe czarno ubrane, siedzące na boku samotnie i zdające się być głęboko w myślach pogrążone.

Zacząłem rozmowę; mała figurka sucha prowadziła ją oziębłe; lecz gdym o muzyce zaczął mówić z takim zapalem, z takim ogniem, na jaki tylko prawdziwy artysta zdobyć się może, ten mały jegomość powstał, wlepił we mnie oczy pełne ognia, westchnął silnie, porwał za rękę i wyprowadził z sobą tak nagle, że mi się nie miał czasu z bankierem pożegnać.

Lecieliśmy nic z sobą nie mówiąc przez ulicę; on mię prowadził długo, długo, ażeśmy na Strada del Corso weszli, tu zatrzymał się przed małym domkiem, lichym z powierzchowności, stuknął, i stara baba drzwi nam otworzyła.

W ciąglem milczeniu, mała figurka zaprowadziła mię aż do pokoiku na górę. Tu odetchnęliśmy oba, a ja się obejrzałem: w około nas na stolikach, krzesłach powywracanych, na ziemi, po kątach, leżały partytury, nóty, skrzypce, flety i tysiące ułamków najrozmaitszych instrumentów; koło okna stał mały fortepianik. Mały spojrział na mnie, na izbę, westchnął, ścisnął mię za rękę, i zobaczyłem dwie łzy błyszczące w jego oczach. Potem posadził mię na krzesło, i tak mówić zaczął:

— Jeślim się nie omylił, jesteś muzykiem. Znalazłem przecie trzecią duszę tak czułą, jak nas dwoje, jak ja i Rosa moja. Czy nie będziesz mnie miał za szaleńca, jeśli przed tobą mówić zacznę z takim ogniem, jaki od dzieciństwa płonie w duszy mojej?

Ja nic mówić nie mogłem, kiwnąłem tylko głową, on mówił dalej:

— Nie uwierzysz co ucierpiałem za to, żeś się urodził z duszą z samych tonów złożoną, pragnącą pokarmu, harmonji, wyrywającą się za muzyką.

Walczyłem z nędzą, z obojętnością ludzi, z ich głupstwem; musiałem dla kawałka chleba przekształcać boskie tony tak, aby przecie uczuli je długimi uszami swemi! Ach! co ja ucierpiałem! i dziś dopiero los zesłał mi w tobie pociechę. Chwilkę przeżyjem razem. Ty nastrojony jesteś do mojej duszy: będziemy mogli grać razem i razem się unosić. Gdzież Rosa?

I pobiegł, a jam pytał sam siebie, kto Rosa? może żona? może siostra? może synowica? może córka?

Wszedł; za nim szła kobieta, Włoszka prawdziwa. z oczyma jak dwa ogniska, z lubieżnem spojrzeniem. z ciałem ulanem dla samej rozkoszy. Spojrzawszy na

nią, nie pytałem kto była; dość na tem, że była zachwycającą!

Nie wiem jakem nie konał z rozkoszy, kiedym jej śpiew usłyszał, kiedy mały mój towarzysz patrzył na mnie i Rosę swą pokazywał z tryumfem, jak boginię harmonji. Złączyłem się z niemi. Cały dzień przeszedł nam, jak mgnienie oka; nasyciłem się muzyką, graliśmy i śpiewali, a Rosa ku wieczorowi więcej mię jeszcze od muzyki zajęła. Rosa była jego żoną. Byli ubodzy, bardzo ubodzy oboje; on żył z muzyki, ona z jego pracy; byli biedni, byli smutni, a moje przybycie, moje postępowanie z niemi tak ich uszczęśliwiło, żeśmy się ledwie późno w noc rozstali, z przyrzeczeniem jak najczęstszych odwiedzin.

Ten tylko pojmie rozkosze moje w tych chwilach pamiętnych, kto pożerany jakimkolwiek uczuciem, nie mógł się z niem wylać długo i znalazł nareszcie duszę podzielić je gotową! Ach! niema męczarni sroższych nad odosobnienie uczuć, nad różnicę tak wielką w zdaniach i myślach z ludźmi, iż się z niemi porozumieć, zgodzić nie możemy! niema rozkoszy nad znalezienie serca i duszy, mogących zdanie nasze, uczucia dzielać!

Jakżeśmy byli szczęśliwi w tych godzinach zachwycenia, kiedy zapominając o całym świecie, wzniesieni nad wszystko co nas otaczało, dni całe boskiej poświęcaliśmy muzyce. Trzebaż było ziemskiemu uczuciu wmieścić się w tę sprawę! Głos Rosy, ten głos, któremu równego nigdy nie słyszałem, który mię przenosił w nieznane kraje marzeń, który mi przypominał harmonją nieba słyszana wprzódy, niżej się urodził, głos ten, dla którego mały muzyk poślubił Rosę, równie go jak ja ceniąc, pozbawił mię rozumu i uczucia — zakochałem się w niej, ale nie tak, jakbym kochał dziewczę, któreby mię zwiodło wzdetą piersią wpół rozwiniętą, mdlejącem okiem, uśmiechem, wejrzeniem — w Rosie kochałem głos tylko. Gdybym mógł głos jej tylko słyszeć zawsze, mieć przy sobie,



gdyby jej głos dochodził mego ucha na każde żądanie, resztę wdzięków pięknej Włoszki: usta, pierś, rączkę i wszystkie rozkosze, których udzielić mogła, oddałbym najchętniej. Ten głos opętał mię; słyszałem go wszędzie; dręczył mię, stał mi w uszach, śnił mi się nocy całe — nie mogłem wytrzymać, i biednemu, ubogiemu starcowi wyrwałem ostatni jego, ostatni skarb, jedyną pociechę — uwiozłem Rosę.

Myślicieź, żem był szczęśliwy, odebrawszy szczęście drugiemu? sam go użyć nie mogłem! Rosa chciała rozkoszy we mnie i uciekła od starego męża — dla rozkoszy, ja szukałem w niej tylko głosu, tego niebieskiego głosu, który ją wyższą czynił nad pospolite kobiety; ona chciała, bym się z nią pieścił bez ustanku, ja, by mi ciągle śpiewała! innej od niej rozkoszy nie żądałem! czciłem ją jak bóstwo, szanowałem jak arcydzieło, jak instrument w chwili szczęsnej ręką biegłego sztukmistrza zdziałany — byliśmy nieszczęśliwi! Jam nie mógł udzielić jej pieszczot, bom się lękał jednym uściśnieniem niezgrabnem zepsuć jej głos; chowałem ją, obwijałem, pieściłem jak cacko, ale kochać, jak kochają dla wdzięków, nie mogłem!

Rosa płakała z rozpacz, ja wzdychałem; zgodziliśmy się nareszcie, namiętnie pragnąc rozkoszy oboje, ażebym ja ją pół dnia pieścił, ona mi pół dnia śpiewała. Ach! krótkie szczęście. W dni kilka jam zasłabł, ona ochrzypła! Tak miotani oboje smutkiem i rozkoszą, odlecieliśmy daleko od Włoch; przyjechaliśmy do mojej rodzinnej ziemi, do Niemiec. Podróż nasza długo trwała nim się skończyła. Oboje wyplakaliśmy oczy. Ja wielbiłem jej głos, ale ona śpiewać nie chciała; ona mnie kochała, ale się na oziębłość skarżyła.

Przybyliśmy do Berlina. Jedną późną nocą wracałem z koncertu do gospody; noc była ciemna; słyszę, że ktoś idzie za mną; nic dziwnego! tyle ludzi chodzi! Ja się zawracam, ten ktoś się zawraca, pilnuje mnie oczywiście; którą stroną ulicy idę, on za mną krok w krok; stanę, stoi; zwalням kroku, on powoli; przy-

śpieszę, leci! To mnie zdziwiło. Gdyby to jeszcze we Włoszech, gdyby w Rzymie, Neapolu lub Wenecji, lękałbym się sztyletu; tu obdartym tylko zostać się bałem; nie przyszło mi na myśl, że starzec nieszczęśliwy, któremu wydarł skarb drogi, będzie mię szukał z zemstą w drugim końcu Europy.

Stałem wreszcie na odludnej uliczce, oparłem się o mur pod rewerberem i czekałem; mała jakaś postać zbliżała się; o dwa kroki poznałem, że to był żebrak; chciałem się śmiać z siebie i iść dalej, ale chwycił mię za rękę; sztylet błysnął; nie miałem czasu się bronić, i zabił mnie.

— Jako zabił? chyba ranił?

— Ale nie! zabił, zabił, mówię, w samo serce ugodził!

— Hm! i Waćpan żyjesz? — cha! cha! cha!

— Nie żyję!

— Hm! ts! to dalipan! a cóż było dalej?

— Albo ja wiem? czyż mogę wiedzieć co było po śmierci?

— Więc..... hm! ale to śmieszne! więc umarłeś? —

— Tak! jęknąłem tylko kilka razy boleśnie i wyzionąłem duszę.

— A taż dusza, Mości Dobrodzieju, gdzie się podziała?

— Ta dusza, Panie, przeniosła się do skrzypców Paganiniego!

— A WPan Dobrodziej sam?

— Jak to ja sam?

— Tak, WPan, który to mówisz, kto jesteś?

— Ja — jestem — ja — nazywam się — *Nemo*.

— Za pozwoleniem. Czy WPan Dobrodziej dawno zostałeś wypuszczony od Bonifratrów?

— Przed godziną się ztamtąd wymknąłem.

— A! to co inszego! Do nóg upadam!

— Czekażże!

- Upadam do nóg! radbym służyć, ale — ale —  
— Może się mnie boisz?  
— Nie — tylko, że od Bonifratrów! — Upadam  
do nóg!  
— Chwilkę! chwilkę! mam jeszcze powiastkę ciekawą.  
— Nie! nie — upadam do nóg! upadam do nóg!  
— Słówko!  
— Najniższy sługa!! najniższy!! —
-

## Szpargał Dziesiąty.

---

### O PANNIE CHORAŻANCE.

— Przyjdzie czas, kiedy figlarz kupidynek  
Przerwie dziewiczej duszy niewinny spoczynek.  
*Fredro.*

Nie miał świat panny nad pannę Eufrozyne Pulcherją Maślankównę, Chorażankę Upitską! Powiat Upistki wydał dwie wielkie i sławne osoby: Sicińskiego i pannę Eufrozyne. Ten co zdziałał, wie świat cały; co ona zrobiła, to ja opowiem.

Razu jednego, był wieczór, słońce zachodziło, żaby skrzeczały, pędzili bydło z pola, panna Eufrozyna siedziała w oknie i wzdychała; musiała się nieboraczka wywzdychać, bo tyle uczuć nabrała ze starego francuzkiego romansu, że gdyby ich z westchnieniami w świat nie puściła, od tego serceby pęknać mogło lub przynajmniej ogromnie spuchnąć.

Siedziała, mówię, w oknie i patrzyła na lud prosty, na pastuchów i bydło, myśląc sobie: jak są szczęśliwi, że miłości zdradliwej nie znają!

Aż oto szum, trzask, wrzask, jakichś dwóch konnych zajeżdża przed ganek, panna Eufrozyna od okna odskoczyła, psy zaczęły szczekać, drzwiami trzaskali, aż się okna trzęsły, Jegomość pan Choraży wybiegł aż na ganek.

Z tego wszystkiego domyślać się wypadało, że ten ktoś był pożądanym gościem i ważną figurą. I panna Eufrozyna poszła włożyć nowy szlafrok i przypiąć loki, a potem pobiegła do salonu, do tego gościa, cała zajęta sobą i domysłami, ktoby to mógł być taki? Już się zbliżała ku drzwiom, już słyszała głos ojca, perorujący w sali, otwiera drzwi, wchodzi, lecz jakże się zdziwiła...

— *Papieru mi nie stało.*

Robiąc to drugie wydanie, szczerze chciałem dokończyć powiastkę o pannie Chorażance; ale na ten raz znowu, jak wprzód papieru, nie stało conceptu, a co gorzej daleko, (bo concept byłbym łatwo pożyczyl), nie stało atramentu. Ostatkiem czarnych tych łez kałamarza ledwie kilka słów dopisać mogłem. O losie! było napisano w księdze przeznaczeń, aby historia panny Chorażanki na wieki niedokończoną została. Umiejmy się zgodzić z wolą przeznaczenia i — bywajcie zdrowi. Życzę wam wiele conceptów, niewyczerpanego zapasu papieru i atramentu. *Dixi.*

K O N I E C.

The first part of the report deals with the general situation of the country and the progress of the work. It is followed by a detailed account of the various expeditions and the results obtained. The report concludes with a summary of the work done and the prospects for the future.

The first part of the report deals with the general situation of the country and the progress of the work. It is followed by a detailed account of the various expeditions and the results obtained. The report concludes with a summary of the work done and the prospects for the future.

The first part of the report deals with the general situation of the country and the progress of the work. It is followed by a detailed account of the various expeditions and the results obtained. The report concludes with a summary of the work done and the prospects for the future.

The first part of the report deals with the general situation of the country and the progress of the work. It is followed by a detailed account of the various expeditions and the results obtained. The report concludes with a summary of the work done and the prospects for the future.

The first part of the report deals with the general situation of the country and the progress of the work. It is followed by a detailed account of the various expeditions and the results obtained. The report concludes with a summary of the work done and the prospects for the future.

1875

ZBIÓR POWIEŚCI

J. I. Kraszewskiego.

---

Wydanie nowe, przejrzone, poprawione i uporządkowane przez Autora.

---

Ogólnego zbioru tom dziewięćdziesiąty drugi.

THE UNIVERSITY OF CHICAGO  
PRESS



# TRAPEZOLOGJON.

HISTORYJKA

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

---

L W Ó W.

W księgarni Gubrynowicza i Schmidta  
przy placu św. Ducha l. 10.

1875.

W A R S Z A W A.

W księgarni Michała Glücksberga

TRAMENSOLOGION.

ANALYTICA

PHILOSOPHICA.

---

Nakładem Pillera i Gubrynowicza i Schmidta.  
Drukiem Kornela Pillera.

Jedna z powieści, które przeszły jakoś cicho po bożym świecie, nie uczyniwszy wielkiego wrażenia — choć nie jest gorszą od innych. Ale habent fata libelli.

My ją z ojcowskim sercem, od wielu innych wolimy — ale, cóż to dowodzi. Rodzice do słabych i ułomnych dziełek czasem się najwięcej przywiązują.

Przepowiednia Nieklaszewicza tycząca się autora, po dwudziestoletniej próbie trwałości i rzetelności, dziś się nam jeszcze trafniejszą wydaje niż była. — Lecz o tem pomówimy innym razem.

Trapezologjon napisany był w r. 1851.

*Drezno, dnia 7. grudnia 1874.*

Faint, illegible text, possibly bleed-through from the reverse side of the page. The text is mirrored and difficult to decipher.

THE UNIVERSITY OF CHICAGO

Jeśli by kto był bardzo ciekawy wiedzieć dlaczego to opowiadanko, tak straszliwą grecką czapką przykryliśmy; aby mu oszczędzić szukania w słowniku lub domysłów pracowitych, tłumaczym z przeproszeniem, że *Τραπεζα* po grecku *stół* znaczy, a *Δογιον* wyrocznia (*oraculum, responsum*). Boję się by przepolszczając ten tytuł, nie przyszło go zmienić na **Stołowe nogi**, które u nas tak złą mają sławę, i dlatego zostawiam *Trapezologjon*, wprawdzie niezrozumiały ale za to niezmiernie poważny!

---



## I.

Czuła się w obowiązku Ameryka czemkolwiek wywdziękzyć staruszce Europie za troskliwość z jaką ją ona wyposażyla na nowe gospodarstwo, i jak to czasem wnuczki przynoszą babuni nadgryzioną gruszkę, lub oblamany sucharek, z uśmiechem zadowolenia, przysłała nam, — a ba! zgadujcie kochani czytelnicy!! zgadujcie: nie mówię ani o wyrobach z kauczuku, ani o gutta perce, ani o olbrzymich fotografiach, ani o mięsnych konserwach..... tylko o gadających stołach. Nieprawda że podarunek ładny?? Utrzymuje ktoś tam bardzo uczony, że u Ammiana Marcellina mowa już jest o stołach gadających za czasów Rzymian, ale w Ammianie Marcellinie znajduje się co kto zechce, i stoły amerykańskie daleko za sobą zostawiły rzymskie. Stoły Ammiana była to jakaś lichota, coś z różeg i prętów sklejonego, a ów miliony kosztujący stół z drzewa cytrynowego, któren jak grzech wyrzucano na oczy Cyceronowi, pewnie gadać nie umiał. Za naszych zaś czasów, wszelki stół i stołowe nogi gadają, rozumniej nawet daleko od tych, których mowa zdała się być dotąd wyłącznym udziałem, i amerykański wynalazek dał życie istotom, które go nigdy nie miały. Jeszcze chwila, a jak rozruszawszy się poczną paplać i sprząty wszelkie i cała nas otaczająca natura.... o to dopiero gwar będzie.... choć uciekaj.

Wróćmy tymczasem do stołów gadających.... Któż nie pamięta tego szalu który był opanował nagle sto-

liki jak stoliki, ale co gorzej ludzi, i tej chwili dziwnej, kiedy, gdzieś się obrócił wszędzie się doświadczanie ze stolikami spotykało. Kręciły się naprzód stoły, potem kręcili ludzie, aż z tej krętaniny głowy się pozawracały, i dziwolągi pleść zaczęto. Widziałem ludzi co nie wierzyli w nic na świecie i po za światem, co się śmieli ze wszystkich świętości, a kłaniali się stołom i rozumowi nóg stołowych. — Nie wiem co tu było dziwniejszego czy rozum kawałka drzewa, czy głupstwo człowieka.; ale koniec końcem zdaje mi się, że nigdy ludzkość bardziej upokorzona nie została, nigdy srożej ukarana za wiek niedowiarstwa i swawoli; nigdy z piersi zbolącej, nie wyrwał się też mimowolnie silniejszy dowód potrzeby wiary i nadziemskiego świata. Niedawno zaprzeczaliśmy egzystencji duszy, a przyszło nam uznać duchy i do licha! mieszkające w nogach stołowych!!

o samym fenomeńie kręcenia, kręcielstwa i gawędy, nic nie powiem, wierzę bardzo, że człowiek gdy co zapragnie zrobić, to potrafi: będą mu się kręcić nie tylko stoły, ale światy, będą mu mówić kamienie. Przyjmujemy więc fenomen za istotny, tem chętniej, żeśmy go nigdy oczyma własnymi sprawdzić nie mogli, prócz zdarzenia, które wam właśnie opowiem.

Było to w roku stołowej manji (poszukajcie w pamiętnikach miasta Warszawy daty, bo ja jej już nie pamiętam), jechałem o kilkadziesiąt mil z domu gnany gwałtowną potrzebą, dość smutny, stroskany i zaprzątiony, do miasta, w którym żywej duszy nie miałem znajomej. Najmilszą w drodze rozrywką, przypatrywać się krajowi który przebywamy i robić zapasy obrazów, zapasy wspomnień na przyszłość; pomimo smutku i zaprzątnienia owarłszy się w głąb powozu, śledziłem okiem coraz nowe widoki przesuwane się przed oczyma.

Wołyń nasz prześliczny... dla malarza, rysownika, poety, ile tu wdzięcznych przedmiotów! opromienić je tylko pyłkiem ideału, którego każdy, zapas powinien mieć w sobie, a cuda się z tego urodzą! Z góry na-



gle rozwija ci się przestrzeń kilkomilowa a po niej rozsiane sioła, lasy, rzeki, stawy, aż serce bije do tej panoramy na pozór jednostajnej i monotonnej, a w istocie pełnej różnorodności i wdzięków niedostrzeżonych pospolitemu oku. Spójrz-że bliżej siebie, co krok to obrazek niedorównany, tam stary młynek w słomianej czapie, na kulach podparty, wśród wierzb mimo poobciosywania kształtnych jeszcze i naprawujących co popsuł nielitościwy człowiek, owdzie chatka lepiona, sztukowana, dołatywana z malowniczymi płoty i bramką; dalej kuzienka z dachem porośniętym zielenią, i dwór biały w starych lipach u brzegu stawu i karczemka ze swą galerją słupów i mostek jakby go Ruyzdael komponował do swojej wody umyślnie, i gliniasty obryw pokryty powojami i rozchodnikiem, i cerkiewka czarna, ozieleniona mchami, z potrzaskanymi gontami na pochyłej kopułce... i... ale kto to policzy. Często stanie za obraz cały, jeden wyprućnięty pień dębu, otoczony gawiedzią zielską co z niego wyrosło, z obmytymi korzeniami, z wypaloną dziuplą, ze mchami i porostami które się go poczepiały; często kawał kamienia i trochę piasku tworzą ci Całam'owską całość prześlicznego efektu, to natura dopiero, cóż ludzie.... Każdy spotkany niesie ci na plecach dramat, na twarzy powieść, w oku długą historję; zgadujesz te chodzące zagadki i marzysz rozkosznie....

Ale to miłe zajęcie próżniacze, dla mnie nagle dnia tego zatrute zostało....

Burza może być rzeczą niesłychanie wspaniałą, niedorównanie w swoim rodzaju piękną, przecież ja jej wcale nie lubię; a w drodze wolałbym monotonię pogody, niżeli piorun zawieszony nad głowami. — Wrazie nawet grożącej nawałnicy, jakkolwiek nie mam zwyczaju wstępować po drodze, używam przywileju szlacheckiego i gdzie mi komin zabieleje gotówem zjechać, byle czuć dach nad sobą..

Kiedy tak zatopiony w rozważaniu piękności natury siedzę sobie najspokojniej i dumam o niebieskich migdałach. jak gdyby w czterdziestym roku życia jeszcze

o nich marzyć było wolno, nagle blaski słoneczne przyćmiły się, i coś w oddaleniu zahuczało. Oglądam się!... wystawcie sobie państwo przestrach mój i zdumienie gdy ujrzał po za sobą doganiającą mnie chmurę... I nie była to sobie owa wiosenna chmurka która przeleci, zahuczy, zabłyśnie, lunie i poszła dalej, ale *nimbus*, paskudny *nimbus*, czarny, siny, płowy, plamisty, którego nie widać było końca.... Ciarki po mnie przeszły gdy to straszidło zobaczył, oko w oko się z nim spotkawszy... A to już grzmi na dobre, i niedalej jak o werstę widać siwe smugi deszczu przerzynane wężykowatemi piorunami; a chmura jakby ją kto pędził leci, leci, nabiega na nas na skrzydłach wiatru...

W zbliżaniu się burzy jest coś może straszniejszego nad nią samą... w około jeszcze cisza przerażająca, jakiegoś oczekiwania, przełknięcia, upadku, żaden liść nie zadrży, powietrzem odetchnąć nie można, a na niebiosach... Konie lecą, szaleją, grają, pędzą już, i tylko chwilami świeńcie ci wiatr przodowy goniec, w twarz uderzy i poszedł dalej. Czujesz że tuż, tuż, ot zerwie się uragan, że to co stoi spokojnie, strzaska się może pod jego ramienia ciężarem... a to przed tą potęgą ani się skryć, ani z nią walczyć!! Radbyś żeby ta chwila zbliżyła się już, przyszła i przeszła, widzisz jak pędzi ku tobie i doczekać jej nie możesz....

Takie było właśnie położenie moje, a najpierwszą myślą szukać gościnnego dachu, któryby mnie przyjął póki burza nie przeminie; znaleźć choćby karczmę, choćby chatkę, ale w koluteńko nie mogłem dopatrzeć żadnej.. wsi nie było! naostatku pomyślałem o dworze, bo najmniej chętnie zajeżdża się tam, gdzie opłacić się potem nie można, a zawadzać się musi, — i ujrzałem nieopodal od drogi w prawo, ponad trzećmiarozrosłym stawkiem, którego drugi brzeg otaczał lasek brzozy, małeńki dworek z białemi dwoma kominami, ukryty wśród drzew rozłożystych... Nie było ani wsi ani gospody, tylko z jednej strony prosty młynek nad grobelką, z drugiej ów dworek przyczajony wśród krza-

ków i zarośli. Ale z powierzchowności wnosiłem, że do wielkiego pana nie należał, i kto wie, mógł nawet tylko ekonoma ukrywać, nie wahając się, naglony grzmotami, kazałem zwrócić drogą ku niemu.

Jakkolwiek jużem się był zebrał na tę determinację, a huk oddalonych grzmotów odwagi do popasu na spokojny dworek dodawał, pilnie wszakże poglądałem na wszystko, by odgadnąć jaki mnie tu los mógł czekać. Drożyna wiodąca do dworu była zupełnie zarosła... miało to swoje znaczenie; w ulicy, w dziedzińcu nawet pełno chwastów.... płoty porozwalane... oficynka przy domu licha i w ziemię wklekła, ściany jego z tynku poopadały, jeden komin był wyszczerbiony, na dachu stare gąty z niebardzo młodą kłóciły się słomą... Dojrzałem zbliżywszy się po jednej stronie powybijane szyby zalepione papierem... i ogół tych nieporządków uspokoił mnie trochę, bo wolę zająć zawsze do ubogiego... a tu ubóstwo każdą dziurą wyglądało. Nie jestem wcale panofobem, ale pan jest jak cukierek, doskonały na zakąskę, nic nie wart gdy człowiek głodny. Nie wiem czyby mnie jaka burza potrafiła zapędzić do pałacu... bo służby jaśnie wielmożnych i przedpokojów arystokracji, gorzej się boję, niż grzmotów.

Jużem miał odetchnąć, zajeżdżając przed skromny na dwóch słupkach oparty ganeczek, będąc pewien, że znajdę pod tą strzechą jakiegoś starego gracjalistę lub ekonoma; gdy pustka dziedzińca, brak na nim ptactwa i naczyń, bielących się płócien, koryt i korytek do napajania trzody, brak sprzętów wiejskie gospodarstwo otaczających, dały mi nieprzyjemnie do myślenia znówu. Gdzieżby to eks-oficjalista lub czynny oficjalista wytrwał bez tych akcesorjów i gospodarki na własną rękę? Któryżby z nich nie hodował gęsi, kaczek, kur, indyków, koni, bydła, świń, owiec i gołębi korzystając z pośladów, okładów i rozmaitych nie liczących się za nic, zwłaszcza na Wołyniu, śmieci stodołowych. A tu ani tego, ani sztuczki płótna, na

któraby gospodyni naprzęda, ani motków bielących się, ani nic... a nic...

Zagrzmiało ogromnie, wyskoczyłem w ganku i jużem się odwrócił, spodziewając ujrzeć przed sobą dziewczkę, lub chłopaka w najprostszym stroju złożonym z koszuli i spodni płóciennych, gdy na progu sieni zetknąłem się z olbrzymim hajdukiem... wyobraźcie sobie państwo!! w popielatym surducie.... to nic... w butach i szarawarach... to fraszka.... w czerwonej kamizelce... bagatel... ale z herbowemi guzikami!! Był to drugi piorun... struchlałem na widok pleczystego służalca i już ust nie umiałem otworzyć.... Wtem błysnęło ogromnie, szeroko grad sypnął jak kule i piorun rozstrzaskał wierzbę o kilkaset kroków od dworku na grobli przy stawie. Nie było sposobu zawrócić nazad.

— Jest pan w domu? — spytałem.

— Pan podkomorzy? a w domu — rzekł hajduk — i panna Celestyna przyjechała, i pan Henryk jest, i stara jejmość...

Na te słowa struchlałem łamiąc ręce, ale uherbowany służący drzwi mi otworzył, musiałem wejść... wystawcie sobie państwo położenie moje!...

---

## II.

Jużem miał rozpocząć mowę, do której wstęp patetyczny układałem w głowie przez całą szerokość sieni, gdy w pierwszym zaraz pokoju dziwny widok uderzył oczy moje, i ust nie dał mi otworzyć...

Dziwny — bo niespodziewany zupełnie. Pomimo herbowego służalca, nie sądziłem, żebym w lichym tym i opuszczonym dworku zastał wykwintniejsze towarzystwo; nie myślałem go też napaść na uczynku niezwykłym i dla mnie zrazu całkiem niezrozumiałym.

Tymczasem oczy moje spotkały obraz osobliwszy, dla którego nawet o burzy zapomnieć było potrzeba.

W pierwszym dość obszernym pokoiku, opuszczonym jak domek cały, z brudną u okna firanką, z chwiejącą się posadzką dość dawno nie mytą, z kominkiem niepobielanym na wielkanocne święta, — w pokoju w którym kilka krzesel ze strzałami w poręczach, kanapa w tymże rodzaju i para konsolek w stylu XVIII-go wieku stały po kątach, cztery osoby siedziały w głębokim milczeniu, z nateżoną uwagą nad stoliczkiem o trzech nogach, nie śmiejąc się ruszyć, tchuąc, podnieść oczów, tak zajęte były, w pierwszej chwili niepojętymi jakimiś dla mnie czarami. — Nikt nie spojrział nawet gdy wchodziłem, nikt głowy nie odwrócił, nikt mnie nie spostrzegł, stanąłem nie wiedząc co począć wielce zaambarasowany... ale ta chwila posłużyła mi do rozpatrzenia się w towarzystwie.

Domyśliłem się odrazu, że najstarszy mężczyzna, który przysiadł na kanapie, musiał być panem podkomorzym; był to szpakowaty, żylasty, dobrze zbudowany jegomość, w lekkim paltocie, w chustce na szyi związanej *a la Colin*, z którego czuba zadartego do góry, faworytów utrzymanych starannie znać było, że się nie pozbył pretensji do młodości, daleko już, daleko na drodze życia zgubionej.. Rysy jego twarzy były wyraziste, ale pospolite, czoło wielkie, cera blada, a piętnem charakterystycznym w fizjonomji, zrażenie zarazem i zwierzęcy jakiś wyraz siły. Ubiór kusy, opięty, ale dość staranny, zdaleka dozwalał go wziąć za młokosa; bo się trzymał po żołniersku.

Pani nazwana jejmością, jakiem się domyślił podkomorzyna, dość otyła, biało-różowa i przed laty zapewne piękna, z drobniuchnymi rysami przystojnej i świeżej suberetki, które starzejąc dziwnie na szerokiej twarzy się rozlokowały, z niebieskimi oczyma; ubrana w białą suknie, wstążki niebieskie jako blondynka, miała wyraz dobroci miękkiej, nieudolnej, obojętnej... Znać było, że żyła więcej roślinnym żywotem niżeli duszą i myślą, która w niej spała nieprzebudzona.

Trzecią osobą był pan Henryk, w króciutenieczkim tużureczku elegant, z ogromną szpilką, na której rycerz zabijał smoka, wpiętą w chustkę jasnego koloru buchasto zawiązaną na szyi, w spodniach w kraty nadzwyczajnych rozmiarów, ze wszystkimi przyborami lwa odznaczającymi, z cygarnicą wyglądającą z kieszeni jednej, z łańcuchem od zegarka wiszącym na brzuchu, z trzcina w gałce oksydowanej i t. d., i t. d. Włosy jego długie, wąs i broda, dawały mu fizjonomję żurnala mód, najgłupszą jaką mieć można, przesadną a popolitą, bijącą w oczy a niesmaczną.

Nareszcie obok siedziała jeszcze panna Celestyna, jakby to grzecznie powiedzieć?? stara panna! Tak jest, niestety, panna dobrze już nie młoda, chociaż bardzo jeszcze ładna, słusznego wzrostu, giętkiej i dobrze wciętej w pasie postawy, wystrojona z najwytworniejszym gustem i elegancją dobrego tonu. Prześliczne jej orzechowe włosy, gładko uczesane, niczem nie przybrane, spadały na szyję białą jak kość słoniowa, ramiona kształt miały utoczony, spływającą linią schodząc zwolna ku rękom na pół odkrytym z pod szerokich rękawów koronką obszytych. — Profil, który dostrzegłem czysty był, proporcjonalny, jak rysunek Overbec'ka aniołów; ale na całej tej postaci lata i smutek zostawiły piętno swe nie znazane; a uczucie, prawie żadnego nie wyryło na niej śladu!

Zajechać do dworku w czasie burzy, potrzebując gościnnego przyjęcia i wpaść na takie cztery twarze, z których żadna nie obiecywała nic, nie pociągała ku sobie, na to potrzeba było mojego szczęścia! a w dodatku przybyć w chwili, gdy ci państwo tak byli zajęci, tak zaprzątynieni, że z konieczności musiałem im być natrętnym!... prawdziwa fatalność!

Stałem nie wiedząc co począć, poznawszy już nareszcie o co chodziło im, że stolik którego dotykali rękami miał się kręcić, czy gadać — gdy pierwszy pan podkomorzy ziewnął, podniósł głowę i zobaczył mnie jak słup w milczeniu wpatrującego się w nich z miną zafrasowaną.

— A! — wyrwało się z ust jego — myślałem że Michałek.

I z kolei trzy jeszcze A! różnemi wymówione głosami zabrzmiały mi w uszach, nieukontentowaniem, zapytaniem, wymówką. Nikt jednak rąk od stolika nie odjął, nikt nie wstał, a ja z ukłonem unizonym począłem tłumaczenie moje... dość nieforemne niestety!

Bo jak się tu proszę logicznie wytłumaczyć grzmotami z napaści niesłychanej, niepojętej ludziom, którzy się grzmotów nie obawiali nigdy i nie pojmują, żeby ktoś niezaprezentowany śmiał do ich domu zajechać!

Podkomorzy jednak, gospodarz domu jak widać, niezbyt nie rad gościowi, prosił mnie siedzieć gościnnie i zawołał nie wstając od stolika na Michałka, ażeby koniom kazał odejść do stajni.

— Widzisz pan — rzekł, gdym usiadł tchórzliwie w kątku — zajmujemy się tu ciekawem doświadczeniem obrotu stolików. Ja i moja żona nie wierzymy w to wcale, ale pan Henryk dowodzi...

— Ale proszę papy, to już dowiedzione dla całej Europy... — dorzucił elegant z wyższością.

-- Tysiąc razyśmy próbowali — dodała panna Celestyna nieukontentowana, że ktoś obcy zastał ich nad taką niewdzięczną robotą.

— Ja nie uwierzę, aż zobaczę! — szepnęła matka — ale to coś długo, a tu tak gorąco!

Mówili jeszcze, gdy stół zadrgał od strony pana Henryka, zatoczył się jak pijany, pan Henryk kominować zaczął pospiesznie, wszyscy z miejsc powstali i ożywiony sprzęt okręcił się, raz, drugi, trzeci, wzdając za sobą posłusznych magnetyzerów. Podkomorzy zaciął usta, sama poczęła się śmiać pokrywając niepokój widoczny, pan Henryk przybrał minę człowieka, który dopełnia niezmiernie ważnej czynności, a panna Celestyna szukała lustra oczyma wskazując, że już ją to znużyło. Obrót stolika poprowadził go ku kominowi, do progu, pod okno, nareszcie zachwiał się wędrownik, zakolysał i mimo usiłowania podtrzymujących, upadł na ziemię... Doświadczenie skończyło się na tem, Mi-

chalek, który wcale tego nie rozumiał, dźwignął stolik ruszając ramionami, i postawił go na miejscu, a że deszcz lunął jak z cebra, wszyscy zasiedli na miejscach, na przemiany mnie i deszczowi się przypatrując...

Za gościnę musiałem płacić językiem, a chwytając gotowy przedmiot, począłem zaraz o stołach, usiłując sobie przypomnieć na pamięć co tytkom gdzie o nich słyszał. Przyznam się państwu, że mnie to bardzo mało obchodziło od początku do końca, i żem na te cuda patrzył obojętnem okiem, żałując ludzi, co swe siły marnowali na obracanie kawałka drzewa, gdy użyć ich mogli lepiej; ale na ten raz trzeba było dobyć z kieszeni całej erudycji i uśmiechając się, zdawałem im sprawę z wszystkiego co pisma publiczne ogłosiły były o tej mistyfikacji amerykańskiej.

Znać było po twarzach, że przekonawszy się z mowy, z kim mieli do czynienia, to jest, żem nie był ani kupczykiem, ani kancelarzystą z bliższego miasteczka, lepszem na mnie spojrzeli okiem. Pan Henryk mocno mi dopomagał, cuda nad cudami prawiąc o stołach, o których mówił jak człowiek, co ani fizyki, ani żadnej z nauk przyrodzonych dobrze nie zna, a śmiało i stanowczo wyrokuje, przywykły będąc, że mu nikt nie zaprzeczy. A mnie też (póki trwały grzmoty), przeczyć wcale nie wypadało, choć doprawdy takie prawil androny, żem słupiał z podziwu nad zuchwalstwem jego. Podkomorzy uśmiechał się rokosznie słuchając dźwięków tej mądrości drogo opłaconej w Berlinie i Götyndze... którą brał za dobrą monetę... Pani Podkomorzyna ziewała, poddrzymując jak zwykle osoby otyłe przed deszczem a panna Celestyna siedziała zamysłona o czem innem.

Pan Henryk widząc, że przy mnie wszystko mówić można i wysondowawszy, że mu zaprzeczać nie myślę, posunął się w stolikowym szale do krańców ostateczności. Na trzech nogach biednego sprzętu budował całą teorię jakąś najosobliwszą duszy, ducha, duchów, związku materji ze światem niewidzialnym, związku



żywych z umarłymi i t. d., i t. d. Bałamucił i tuma-  
nił, ale gdy kuso było bardzo, rzucił wyrazem niezro-  
zumiałym jak piaskiem w oczy i znowu dalej...

Tymczasem deszcz lał, a jam siedział i słuchał.

Podkomorzy to ruszył brwią, to zażył tabaki ze  
złotej tabakiereczki, to nogę za nogę założył, to chrzą-  
knął i przez te sygnały zostawał w związku sympat-  
ycznym z bredniami pana Henryka.

Ja miałem czas powoli zbadać trochę towarzystwo,  
wśród którego się znalazłem i napracowawszy się do-  
brze myślami, dopierom sobie przypomniał, że osoby  
te nie były mi całkiem nieznanne. Nigdy ich wpraw-  
dzie w życiu nie widział, ale któż u nas na dwadzieścia  
kilka mil wkoło nie zna, nie wie otaczającego go świata?  
Byle uszy, można się o nim nasłuchać; byle pamięć,  
można przy każdym nazwisku znaleźć w zapasie całą  
jego historję... Tytuł podkomorzego, pan Henryk, panna  
Celestyna, sama pani, nagle mi się przypomnieli jako  
typy o których nasłuchałem się od mego przyjaciela  
p. Brażewskiego, znającego cały Wołyń w szerz i wzdłuż,  
jakby miał to tylko posłannictwo na świecie, skupienia  
w swojej głowie w jedność rozpierchłych rysów obrazu  
naszej prowincji.

Przypadek zaprowadził mnie pod dach pana podko-  
morzowego, ale któżby się był po tym dachu, wielkiego  
pana podupadłego własną winą domyślił? Ten dworek,  
wioszcza mała przy nim, ekscypowana z dóbr obszer-  
nych były jedyną pozostałością starca, który nadtrwo-  
niwszy majątku na hulankę długą, oddał nareszcie dzie-  
ciom niedobitki fortuny, sam z kilką faworytami usu-  
wając się na ustronie, pod nie wiem jakim pozorem.

Podkomorzyna z córką mieszkały w pałacu w Ber-  
beciach, o milkę od podkomorskiego dworku w Mon-  
plaisir; pan Henryk w Ciopkowie, gdzie sobie dom go-  
tycki pobudował tymczasowo. Ten Monplaisir dziś za-  
rosły, zrujnowany, zachwaszczony, zdziczały, dawniej  
był parkiem i miejscem przejażdżki, balów, wieczo-  
rów... Któżby go poznał słomą pokrytym, bez płotów...

bez bram i mostków, bez karuzelów i huśtawek, których tu tyle być miało!

Słyszałem wiele o podkomorzym dawniej i z tak różnych stron, że rad byłem poznać go bliżej i sam osądzić. Jedni mi mówili, że to był rozpustnik, babilarz i utracjusz, drudzy żalowali go, iż się ze wszystkiego wyzuł posłuszny kapryswi żony i dzieci, z największego przepychu schodząc na ubogie życie szlachcica o kilkunastu chatach. Ale w rodzinie tej nie widać było nic, coby znamionowało, że w niej zgoda zachwiana została na chwilę, ani wielkiej czułości, ani też kwasu nie dostrzegałem, podkomorzy wcale nie wyglądał na ofiarę, żona niepodobna była do tyrana, a dzieci — były sobie jak wszystkie terażniejsze dzieci, co to dorosłszy do wąsa, papę biorą pod rękę i traktują po przyjacielsku, a bez ceremonji.

Pan Henryk mówił jeszcze, ja jeszcze słuchałem, gdy drzwi się otworzyły i weszło coś suchego, długiego, w szaraczkowej kapocie, z rękami w tył założonemi, w których ogromna chustka niebieska i czarna tabakierka rodzaj trofeu formowały. Błady ten z zaciętemi usty jegomość, pochylony na prawo nałogowo, skłonił się i zasiadł przy drzwiach.

---

### III.

Na przybyłego nie wiele kto zważał, a po obejściu z nim poznać było można, że się liczył za domowego, za coś nakształt rezydenta. — Mnie wyraz jego twarzy uderzył więcej niż innych. Głowę miał mocno spiczastą i łysą, twarz niezmiernie długą, wybladłą, oczy dziwnie wypukłe na wierzchu siedzące, żabie; usta wykrzywione w tę samą stronę co ramiona; a w ogóle był jak mara jaka. Wzrost jego, przygarbienie i pochylenie, przymrużanie jednego z tych oczów wypu-

kłych naprzeciw skrzywionego ust kąta, odpowiadające zgięciu ramion, a szczególnie pełen niespokoju charakter fizjonomji, wielkie na mnie zrobił wrażenie; poczułem wstręt nieopisany do niego. Musiał i on doznać tegoż samego uczucia na widok natręta, gdyż jednym okiem swoim wyszczerzonym, a drugim powieką nawpół pokrytem pilno mi się przypatrywał, jakby chciał odgadnąć kto byłem, i po com przyjechał.

Pan Henryk rozprawiał tymczasem, szczególnie za słuchaczy obrawszy ojca i matkę, a mnie za konfirmatora.

— Tak, kończył z głową podniesioną i tonem doktora mówiącego z katedry, przyszły czasy potężnych odkryć, przyszła era ducha i jego rozwoju... Duch tryska zewsząd by się zlać w ognisku duszy ludzkiej, do jedności. Obrót stołów jak zawsze drobnostka, poczyna epokę nową i wielką, od kropli z lodów alpejskich rodzą się rzeki ogromne... Zaledwie się poczęły obracać: jużci mówią, zgadują, prorokują.

— A toż co? przerwał ojciec... niechże kręcą się to jeszcze, przyczyna być może fizyczna, ale żeby mówić miały...

— A kiedy mówią! i co gorsza wróżą, zgadują, opowiadają i rozumują.

— Co? oszalałeś? ruszając ramionami rzekł podkomorzy.

— Ale tak jest! widziałeś papa jedno, możesz zobaczyć i drugie...

— Nie żartujże ze mnie! dodał po cichu.

— Ale to najprawdziwsza prawda... Stoły gadają...

— Jakimże sposobem?

— Nogami! zawołał pan Henryk.

— A toż być trzeba głupim jak stołowe nogi, by temu uwierzyć! krzyknął podkomorzy.

— Ojcie kochany, przerwał uczony pneumatolog, w rzeczach ducha nie ma niepodobieństwa. Siadajmy i probujmy...

— Mnie jeszcze od pierwszego doświadczenia ręce drgają, niechętnie odezwał się podkomorzy, dziękuję,

dziękuję! do gawędy ze stołem należeć nie będę...  
macie na miejsce moje Nieklaszewicza...

Błądy jegomość skłonił się tylko wstawszy trochę z krzesła i przysiadł, ale usta jego wykrzywił uśmiech tak tajemniczo szyderski, że mi się aż straszno zrobiło. Gdy się to dzieje, podkomorzyna przywoławszy uśmiech na usta, drzemie i przebudza się co chwila, panna Celestyna bawi się pasem sukni, a ja przestraszony oczekuję ażali mnie nie przywołają do stolika, czegom się niezmiernie obawiał.

Szczęściem pan Henryk który się zajął urządzeniem gadającego stolika, pociągnął siostrę i matkę, przywołał Nieklaszewisza, pospiesznego na zawołanie, a ja prostym tylko widzem zostałem z podkomorzym.

Na dworze tymczasem wtórem do czarnoksiężkiej owej roboty odzywały się pioruny, huczało niebo, błyski co chwila stawały się gęstsze i ciemność przeraźliwsza po nich, a deszcz nieustając lał jak z wiadra.

Nim ręce związane w ów tajemniczej władzy łańcuch, który miał mową obdarzyć stolik niemy, pan Henryk zajął się obszernym wykładem teorii języka stołów, rozpowiedział jak nogą stukać będzie na litery i t. d.

Nieklaszewicz który milczał do tej pory, wzruszył ramieniem z tej strony z której był nieskrzywiony, bo uważałem, że część upośledzona u niego do niczego się nie wdawała, i odezwał się zachrypłym głosem nadzwyczaj ciekim, tak że mnie głos ów niemniej od postaci jego przejął.

— Proszę pana grafa, już kiedy może stukać nogą, to mógłby i gadać, poprostu jak my.

— A kiedy gęby nie ma! odpowiedziała bardzo nawiśnie podkomorzyna tłumiąc ziewanie.

— Tak to jest, że gęby nie ma, ani słowa, że nie ma, rzekł spuszczać głowę Nieklaszewicz, ale ba! kiedy ludzie magnetyzowani brzuchem widzą, stolik mógłby gadać nogami.

— ŚmieJCie się państwo, przerwał pan Henryk gorąco, ale na honor, Nieklaszewicz ma racją, zupełną ma racją... stolik mógłby i powinienby gadać.

Podkomorzy splunął i ruszył ramionami, ja grzeźcznie milczałem, a towarzystwo złączyło się końcami palców i objęło nieszczęśliwy stolik. Nieklaszewicz zabrał się do tej czynności, z takim, jeżeli tego wyrazu użyć wolno, namaszczeniem, z takim woli napięciem, że podwójnie stał się straszny. Oko jego jedno wyszło zupełnie na wierzch, drugie zaciągnęło się powieką, usta przechyliły i zacięły skrzywione poczwarnie, policzki ściągnęły w jedną stronę a blade wielkopalczaste ręce z góry wpięły się w stół, jak szpony jastrzębia w nieszczęśliwe kurczę....

Nic mu nie brakło do fizjonomji czarownika.

Głuche milczenie przerywane tylko szumem wichru i wyciem burzy panowało w pokoju, przez którego jedyne okienko przelatowały błyskawice to żółte, to czerwone, to sine... Scena poczynala nabierać fantastyczności.. a ja nie mając co robić i chcąc oczy odwrócić od Nieklaszewicza, którego fizys mnie męczyła jak zmora nocna, począłem przyglądać się stolikowi męczennikowi, będącemu właśnie pod władzą magnetyzujących.

Sprzęty które nas otaczają mają wszystkie fizjonomie jakaś nadaną im przez myśl ludzką co ich dokonała, lub przez długie ich użycie. Stoły, kanapy, krzesła nasze byle im się przypatrzeć uważnie, każdy z właściwym przedstawiają się nam charakterem; znam między niemi arystokratów, znam birbantów, widziałem indywidua łagodne i burzliwej dyspozycji. Są sprzęty do których przywyknąć niepodobna tak są nietowarzyskie, są inne przylepki z którymi odrazu jesteś jak stary znajomy. Toż co z ludźmi.

Stoliczek o którym mowa, znać przeniesiony do Monplaisir z dawnej rezydencji podkomorstwa, ze starego ich palacu, nie był już wcale mlody, a budowano go w czasach gdy wszystko robiło się na greckim smaku. Miał też coś niby trójnogowego, jakieś ornamentacje w stylu grecko-rzymskim, i choć odarty, odrapany,

poklejony, z poodskakiwanym miejscami foraiem, pachniał jeszcze pałacem.

Nie wiem z jakiego drzewa zrobiono go pierwiastkowo, ale po wierzchu okryty był mahoniem, trochę bronzu, a u spodu ponad trzema jego nóżkami związanymi w pośrodku, artysta przyklepił trzy główki sfinksów z twarzami niewieściami, koloru zielonego bronzu... Te trzy główki na których zielona masa połuszczyła się tu i owdzie i biały gips z pod spodu jej wyglądał, miały wyraz spokojnej powagi i tę piękność pospolitą, zimną, jaka zwykle cechuje naśladowania sztuki greckiej.

Siedzieli dość długo czarnoksiężnicy nad biednym stoliczkiem, który się w początku ani ruszył, po kilkunastu jednak minutach zadrgnął konwulsyjnie jak gdyby się chciał wyrwać z ich rąk, zakołysał, poruszył... Nieklaszewicz przycisnął go lepiej jeszcze i usta zacisnął mocniej, a oko przymrużył..

— Kto jesteś ducha? spytał pan Henryk...

Jakos i burza trochę ustała na chwilę, a podkomorzy usłyszawszy pytanie, odwrócił się od okna w które patrzył.

— Kto jesteś? powtórzył pytanie magnetyzujący.

Patrzałem w tej chwili na twarz Nieklaszewicza, usta mu zadrgały jakby intencją uśmiechu.

— Kto jesteś? po raz trzeci ozwał się pytający.

Stolik co miał stukać nogą, czy rady Nieklaszewicza posłuchał, czy licho go tam wie co mu się zamarzyło, zdawało się jakby doprawdy zeicha mruczeć coś począł.

Wszyscy nastawili uszy, podkomorzyna zbladła, panna Celestyna drgnęła, pan Henryk osłupiał.

Wyraźnie z pod stoliczka szmer, jakby zdaleka pomieszczanemi głosy kilka razem osób mówiły, dawał się słyszeć ku nam zbliżając...

Obracający stolik patrzali po sobie, jeden Nieklaszewicz ani mrugnął.

— Kto jesteś? spytał przyjmując na siebie obowiązek pana Henryka, który zaniemiał.

— Źle pytacie! źle pytacie! dał się słyszeć głos cichy ale wyraźny...

Podkomorzy i ja, jakbyśmy uszom wierzyć nie chcieli, zbliżyć się poczęliśmy powoli...

— Źle waćpanowie pytacie! powtórzył stolik.

— Jakże pytać mamy? przerwał ośmielając się pan Henryk.

— Kto jesteście rzekł stolik...

— Dlaczego podchwycił pan Henryk.

— Bo nas kilkoro...

Gdy to się wyraźnie i coraz wyraźniej o uszy nasze obito, podkomorzy pobladł, a całe towarzystwo znalazło się w najprzykrzejszem w świecie położeniu.

Proszę sobie wystawić grono niedowiarków którymby nielitościwa ręka rzeczywistości cudem oczywistym dała w twarz nagle i niespodzianie.

— Któż teraz z was za ten stolik gada te głupie żarty, rzekł podkomorzy ruszając ramionami.

— Ale na honor papo, głos wychodzi z pod nóg naszych! odezwała się panna Celestyna bledniejąc...

— Pierwszy tego rodzaju fenomen, dodał pan Henryk... ale dla ducha nic nie ma niepodobnego. Mogę papie dać słowo honoru... że nikt z nas ust nie otworzył... tylko mu nie przerywajmy...

— Nie przerywajmy! powtórzyli wszyscy, a ja bojąc się podejrzenia o podpowiadanie, jak to bywało w klasie między uczniami, odsunąłem się w sam kąt pokoju.

— Kto jesteście? odezwał się pan Henryk z powagą zasiadającego na indagacji sędziego...

Trochęśmy na odpowiedź czekać musieli, aż głosik z pod stołu znowu się dał słyszeć wyraźny, ale cichy, póki się nie rozgadał i nie wzniósł coraz wyżej.

— Duchy na pokucie!

Na te słowo podkomorzyna jeszcze bardziej pobladła, podkomorzy głową pokiwał i ramionami ruszył.

— Jest nas tu siedmioro... trzy duchy mieszkające w trzech nogach, czwarty w blacie na wierzchu, piąty w karuku, szósty w ćwieczku którym przeszłego roku

połatano złamany bronzik, siódmy w kawałku bronzu...  
jest nas siedmioro...

— Suto ich tu widzę! rzekł do siebie podkomorzy.

— Kto jesteście, mówcie z kolei, zawołał pan Henryk.

Znowu musieli się duchowie naradzać, czy może po naszymu ceremonjowali się kto z nich pójdzie przodem, ale nareszcie któryś z nich odezwał się powoli.

— Ja jestem Jan...

— Nazwisko?...

— Zrzuciłem z ciałem... u nas nazwisk niema. Jan się za życia zwałem; na naszym świecie nie pytają kto cię rodzi i czem się zwiesz... ale co przynosisz z sobą...

— Wszędzie się wciśnie ta demokracja! rzekł po cichu podkomorzy.

— Radziibyśmy wiedzieć coś więcej... przerwał pan Henryk.

— A! możecie odpowiedział duch ze stolika, qu'a cela na tienne!

— Dobrze wychowany! zdziwiona dorzuciła panna Celestyna...

— Cyt! cyt! nie przerywajcie!

I zbliżyliśmy się w milczeniu podziwu i ciekawie oczekując co z tego dalej będzie, a ja spojrzawszy na Nieklaszewicza, chciałem wy badać co się z nim działo, ale żaden kuchta z zimniejszą krwią nie urzyna łba kurczęciu, jak on gadał ze stolikiem... Na jego twarzy ani zdumienia, ani zajęcia, ani znaku życia, podniecanego tak nadzwyczajnym fenomenem, siedział ciągle rozpięty z oczami w stół wpojonemi, ze wzrokiem wyteżonym, z ustami zakąszonemi... chłodny, nieporuszony, jakby najpospolitszą w życiu spełniał funkcję. Stolik tymczasem rozgadał się w ten sposób.

---



#### IV.

— Trzeba żebyście państwo wiedzieli, jaki los wszystkich was czeka.... jeśli, o czem nie wątpię, przyjdzie wam po śmierci pokutować za grzechy żywota.... Łaska to wielka kogo pošłą do czyśca in fundo, gdzie choć nie wyśmienicie, ale zaciszno przynajmniej i człek nieustannie na oczach nie ma świata na którym dokazywał głupstwa i grzeszył z dobrą wiarą że mu się to nie policzy.... Najczęściej, jak mnie i kolegom moim, dostaje się odkomenderówka na ziemię, między swoich i kwatery ciasna, a niewygodna, jak mnie naprzykład w stołowej nodze! Żebymże był sam przynajmniej! ale proszę sobie wystawić nas siedmioro w takim sprzęciku, w którym obrócić się nie można... mnie com pół życia spędził na podróżach, po Europie, po wschodzie, po powietrzu, wodzie i ziemi, szalenie tu ciasno i duszno!! Nic nie powiem o sąsiadach przez dyskrecję, ale mogli mi się byli dostać ludzie mojego towarzystwa, wychowania i sfery.... a tu....

Duch jakby westchnął i mówił dalej:

— Siedmioro nas siedzi w jednym stoliku, czworo w ekramie przy kominku, po sześciu i siedmiu w krzesłach, a w podłodze i nie policzyć....

— A! do licha, odezwał się podkomorzy, otoczeni więc jesteśmy duchami!!

— Wszędzie nas pełno, pokutują niektórzy po garnuszkach i hładyszkach ekonomowej, niedawno jeden literat zesłany został do kałamarza prowentowego registratora; wiem o moim znajomym, *un bien bon compagnon*, który poszedł do siekery stróża.... szczęście że to czasowe.... ale nudne!

— I pókiż to trwa?....

— *C'est selon!* rzekł duch, jak dla mnie naprzykład będzie to trwało dopóki nie uznam, że chronologja Manethon'a, nie lepszą jest od biblijnej....

Stuchacze nie bardzo zrozumieli, ale ja nastawiłem

ucha, bom poznał z kim miałem honor mówić i zbliżyłem się mocno zaciekawiony.

— Dla literata mieszkanie w kałamarzu pisarza procentowego może się przeciągnie dopóty, dopóki zasługa tego oficjalisty tak skromnego nie przeważy grzechów pokutnika! Nie przewiduję w istocie kiedy kałamarz uwolni się od kwaterunku; biedny za każdą kroplą którą z niego biorą, patrzy czy tam się co pocziwego nie napisze.... ale darmo.

— A o sobie nam nic nie powiesz Janie? zapytał pan Henryk, który chciał przyspieszyć ciekawą historję..

— Kiedyście mnie wyciągnęli na gawędę, na którą kilkadziesiąt lat czekałem, chciejcież mnie posłuchać cierpliwie.... lub *passer a un autre...* O i ciężka nasza pokuta! czujemy wszystkie głupstwa nasze, patrzymy ciekawie na cudze, każdy odosobniony kręci się jak wieiórka w kółko swoich przewinień i trawi póki niemi nie przetrawi zupełnie... Świat nas otacza nie widząc, a my skazani jesteśmy słuchać go, patrzeć nań, choćbyśmy ciemne głębiny nicości woleli może, niżeli ten widok obrzydły!! Dramat życia obija się o nas i rani.... inni toną w ciemności i milczeniu głuchem, bo i tu różne są losy.

— Zdziwicie się może gdy wam powiem, że za żywota, byłem potomkiem jednej z najznakomitszych rodzin w kraju.... a dziś siedzę na pokucie w stołowej nodze.... ale życie moje dziwniejsze może od pośmiertnego losu. Dziecię rodziców, których imię samo stawilo w kręgu społecznym, do którego innym docisnąć się trudno, znalazłem się od razu u szczytu mając wszystko o co się inni dobijają pracą, łzami i ofiarą. Wszystkom miał oprócz jednej, jednej rzeczy maluczkiej, a tej brak za życia i po śmierci męczennikiem mnie czynił! Przeszedłem na świat wiek prawie temu w koronkowych pieluchach, w mahoniowej kolebce poczynając życie od nieznośnych boleści. Załedwie wejrzałem na świat i uśmiechnąłem się do niego, załedwie wyciągnął rączki ku złocistym obrazom uderzającym oczy tylko co otwarte... zwiędło mi i zczerniało wszystko! Jeszczem cho-

dzieć nie umiał, a biegać się silił, gdy mnie schwycili mistrzowie usiłujący rozumnego starca uczynić z gorącego i niecierpliwego dziecięcia. Nie zostawiono mi nic do zgadywania, nie coby ludzi mogło; ledwiem pojmować się uczył, a już poezję mej duszy tłumaczono na pospolitą prozę, śmiano się z uczuć, by im się nie dać rozwinać; krępowano zmarzłemi powijakami praktycznej filozofji ówczesnej. Byłato chwila w której wszystkich czyniono synami natury z warunkiem, by uczuć naturalnych nie okazywali. Jak dla Emila Russa nie było dla mnie tajemnic, nie mi nie dozwolono odgadnąć, niczem się wmarzyć w świat, odrazu odslaniano przepaść bez dna, i mówiono że jest niezgłębiaoną.

Pierwsze kroki moje nie poczciwi, dzieciinni a pełni czucia ludzie co mnie kochali, ale płatni cudzoziemcy stawiać mnie nauczyli. Zrobiono ze mnie w dziesiątym roku życia filozofa i francuza, a na wczesny, aż nadto wczesny rozkwit mój, który nie zabiwszy serca wszczepił w nie tylko chłód i niewiarę jako prawo bytu i świata.... zdumiewali się otaczający i okrywali mnie oklaskami. Na tronie mieliśmy wówczas filozofa i francuza.... który się tak zdumiewał nademną i wielką, wielką prorokował mi przyszłość!!

A! mnie tak źle, tak ciężko, tak boleśnie było być tem cudowiskiem! Jam nie znał ani dzieciństwa, ani marzeń, ani zdumienia które rozkoszą napelnia nas na żywot cały... jam się nie mógł zdziwić niczemu i głowem łamał czego zażądać.

Na rękę rodzicom i mistrzom Bóg mi dał taką łatwość nauki, takie jej pragnienie, żem pił a pił z otwartych źródeł, nie doznając ani upojenia, ani znużenia, ani przesyty. — Wkrótce żądza wiedzy zabiła we mnie inne! w czternastu leciech paliła mi się tylko głowa nauką, a serce już było zastygło na zaw sze.... Czytałem Dupius, Voltair'ea, Volney'a i Rousseau i dzięki im w nic nie wierzyłem, w nic wierzyć nie mogłem. Wyszło we mnie źródło wiary, ale miejsce z którego płynąć było powinno, pozostało jak niedogojona blizna, jak wypalona i paląca rana.

Nie miałem pragnienia wzniesienia się, ani chęci użycia świata, ani namiętności innej prócz wiedzy, prócz nauki.... Brak wiary sprawiał we mnie to pragnienie nienasycone, bom nie wiedząc sam o tem, szukał u ludzi, czego w zamkniętem dla mnie i pustem niebie nie było.... Byłem jak człowiek co siedząc pod studnią, nie chce wierzyć że w niej jest woda i usta spalonemi wysysa piasek przejęty rozlanemi jej ponikami.

W siedmnastym roku, już mi życie obrzydło, już mi kąt rodzinny zdał się nudnym i jednostajnym, już schwyciła gorączka podróży, która trawiła mnie do ostatka. Obiecywano sobie po niej dla młodego wykształcenie nowe, i pobiegłem na południe chciwy poznać o czem marzyłem, jak gdyby świat nowy, nową dać mógł duszę! W początku oczy moje szukały obrazów, niepokoiły się niemi, spoczywały na nich badając w nich słowa wielkiej zagadki, ale głuchemu nie mówiło niebo Włoch, Sycylii, Hiszpanji, południa, tego, czego mu chmurny horyzont północy powiedzieć nie umiał. Znużyłem się wkrótce i z krajobrazu oczy zwróciłem na księgę, z żywego na umarłe.... trzeba było utopić w czemś życie, pogrzebałem je w nauce.

Podkomorzy ziewnął w tem miejscu opowiadania, ale duch zamknięty w stoliku nie zdawał się na tę niegrzecznośćkę zważać i mówił dalej.

Dwudziestoletni poleciałem na wschód do kolebki ludów, na ziemię uświęconą podaniami i odkupieniem, szukając w niej znowu słowa ludzkości.... a znajdując skaliste pustynie, zamarłe morza i skamieniałe pamiątki na których świętości, niewiara moja kładła swój hieroglificzny znak zapytania.... Błądziłem wśród ruin, chwytając wśród nich zapadłe jeszcze gdzieś powieści i pieśni, aby z nich wyciskać nowe argumenta przeciw sobie samemu. Życie tak mi już było obojętnem, że mi je ważył bez innego celu prócz rozrywki, prócz nabywania trochy oryginalności, której zresztą cechę nadać mi mogła pierwsza książka w obcym języku o podróży mojej wydana.

Ta maleńka książeczka pasowała mnie na błędnego rycerza myśli, na rodzaj Donkichota w mojej sferze towarzyskiej.

Urodzeniem i mieniem byłem wielkim panem; a żaden z moich przodków hetmanów, wojewodów, kasztelanów, nie zwał się jak ja dziełem wydanem bez celu politycznego, bez myśli innej nad wypowiedzenie swych przygód i marzeń. Niejeden z nich napisał może orację, głos tajemny, powinszowanie lub komplement, niejeden wystudjował pozew lub replikę w procesie z sąsiadem, ale żaden pewnie nie przyjąłby bez skrzywienia propozycji wpisania się w poczet gryzipiórków! Darowano mi te jednak brednie, bom pisał po francuzku i po francuzku myślał.... Ale raz skosztowawszy atramentu i upiwszy się trochę kadzidła, zostałem pijakiem atramentowym na zawsze. Stan mojej duszy, próżnia którąm czuł w sobie, potrzeba czynności i ruchu, a wstręt do życia praktycznego w którym nic dla mnie pociągającego nie było, przyczyniły się do popchnięcia mnie tą drogą.

Wyznacie, że nie mogłem być wszakże pospolitym pisarzem, co gryzmoli, drukuje i słucha co tam o nim mówią....

Uczoność moja o której przekonani byli wszyscy gdym miał lat piętnaście, podwojona podróżami, nie ulegała już wątpliwości ani kontroli, dzieła jej sławę podtrzymały.... Mimowolnie zaprząglszy się z nudy, wyprzadz się nie mogłem i nie chciałem, bo cóżbym robił? Ożeniono mnie wówczas z jedną z najpiękniejszych kobiet jakimi to panowanie świetniało, z jedną z tych istot przed którymi klękają tłumy, a które dlatego może, nie ukochają nikogo, że uwielbiane są przez wszystkich. Cudnej piękności księżniczka Julja, była jak ja dziecięciem, któremu z młodu serce wyjęto, by na nie cierpieć nie mogła, lub jak psom wyrzynają gruchoły, w których się ma mieścić wścieklizna. Spotkałiśmy się z uśmiechem, poznali jak przeznaczeni dla siebie, podali ręce z przyzwoitości, pokochali trochę i rozłączyli żartując sami z siebie, gdy łza niespodziana zakręciła się pod powieką. Kiedym ja leciał od pięknej

Julji w nowe podróże, wyprawy, niebezpieczeństwa, ona swym tańcem i oczyma ściągala na każdy bal roje młodzieży i szalone oklaski... Możebyśmy się w końcu byli mogli pokochać miłością prostą, szlachecką, ludzką, gdyby nie państwo nasze, gdyby nie świat, nie ludzie i to zawczesne użycie, które nam nie dozwalało upić się żadnem gorętszem uczuciem.

Mogłem być dumny Julją, jej wdziękami, jej głową, jej dworem wielbicieli, mogłem być zazdrośny, mogłem być zakochany... pozostałem chłodno uczonym i sceptykiem nawet w małżeństwie. Julja moja przebiegala ulice Warszawy z księciem J... w angielskim *whisky* którym się cudnie powozila, a ja z Blanchardem puszczałem się balonem na złamanie karku, w tureckim turbanie, z francuzkim w sercu chłodem... Spotykaliśmy się wieczorem w towarzystwach, gdzie oboje zbieraliśmy palmy ja oryginalności mojej, ona piękności i młodości. Nie miałem czasu ani kochać, ani żyć pospolitym chlebem powszednim, musiałem na wzburzonym morzu, w powietrzu, wśród niebezpieczeństw wszelkiego rodzaju życia osnutego raz dokonywać; ale pojąc wyobraźnią, serce, zmysły, pamięć, nużąc ciało, męcząc głowę czułem się zawsze, zawsze nieznośnym sobie, a próżnia mnie paliła. Jak w otchłań Danaid lała się wiedza, nauka, doświadczenie, i wylewało otworem którego żadna wiara nie zamkneia....

Smutny spuściłem głowę... pobiegłem na wschód raz jeszcze... jeszcze dalej, jeszcze głębiej, sądząc że niebezpieczeństwa cenę mi życia ukażą, i smaku dodadzą, ale hańba już była nieuleczoną.

Julja umarła wśród oklasków... wśród tańca... a jam i płakać już nie potrafił. Śmierć nauczono mnie zdawna obrachowywać jako niezbędną konieczność; zamyśliłem się tylko, co to jest życie?

Tu duch zdawał się nagle powracać do właściwego mu charakteru i z szyderskim wyrazem dodał:

— Szukałem odpowiedzi na to pytanie, po całym bożym świecie, pytałem o nią w Astrachaniu i Kairze,

w Konstantynopolu i Madrycie, w Paryżu i Petersburgu, nad Jakiem i Nilem, pusty świat milczała a milczał!!

Ale ja państwa nudzę! spytał duch po chwili, tym obrokiem duchownym. Revenons à nos moutons jak powiada p. Deshouilleres lub à nos bouteilles jak mówi Rabelais. Rozpocząłem na nowo podróże uczone bez końca i wydawanie dzieł które wychodziły po pięćdziesiąt i sto egzemplarzy i dziś być muszą niezmierną rzadkością, co mnie nadzwyczaj cieszy; bibliografowie przepłacają je na wagę złota... Cha! cha! Byłem pewny że mnie renoma oryginalności nie minie! Jedyłą jeszcze stroną niesparalizowaną we mnie, była chętką sławy; — z tej strony czułem że mi czucie pozostało i dogodziłem ostatniej namiętności, jakim dogadzałem każdej w życiu fantazji. Przedmiot moich badań postawił mnie odrazu wysoko, sumienie z jakim je dokonywałem podwoiło ich wartość, mała liczba egzemplarzy zwróciła na nie oczy, a sceptycyzm zjednał mi honor, że taki człowiek jak de Maistre pragnął mnie nawrócić!

Wypadło mi się drugi raz ożenić: — kobieta którą wziął, była najzaciejszą z istot, piękną, miłą, cnotliwą, ale dla mnie odrazu obojętną. Wszystko mnie nudziło nie wyjmując żony, której jednak nie wcalem pilnował, z wozu na wóz, z wozu na koń, z konia na okret się przesiadując....

Kto inny z tego wątku, byłby sobie utkał szczęście, jam snuł i przątał niedolę, rozpacz i najnieznośniejszą z ekzystencyj. Wystawcie sobie państwo życie z duszą bijącą się pod czerepem czaszki, wielką, silną, gorącą, a bez wiary w byt, w duszę, w Boga i nieśmiertelność, w siebie samą. Jestli co straszniejszego nad to? Lada przypadek, trącenie, uderzenie, pęknięcie jednego włoskowego organu i tuż wieczna nicłość po egzystencji która liczyła i pojmowała światy, wspinała się po ich przyczyny i po bliznach ziemi rachowała jej lata!! Nie zostawało mi nic, jeno zbudować sobie głupią, nikczemną nieśmiertelność sławy.... na tem pracował....

Tonąłem i tonąłem w księgach, w zaciekaniach, w studjach, w liczbie, w literze chłodnej, a gdy znudzony śmiertelnie, poczułem pragnienie napoju co by ochłodził, puszczałem wodze fantazji i budowałem światy w powieściach, których osnowę plątałem z chorobliwych mózgu przypomnień i zjawisk niezrozumiałego dla mnie świata.

Niezrozumiałego, powiadam, bom nigdy widzieć nie chciał odwrotnej strony medalu, życia po życiu, nieśmiertelności po śmierci. Jam w nic nie wierzył, w nic! byłem jak pozbawiony słuchu człowiek, któremu wielka muzyka wydaje się dziwactwem, bo widzi ją tylko, a uszu jego nie dochodzi, i tych co jej poklaskują ma za szaleńców.

Smutne to było życie, choć mogło być szczęśliwe, i opływało we wszystko; ale gdy od księgi, od towarzysztwa, od gwaru i szermierstw myśli i języka przyszło na chwilę zostać samemu z sobą, sam na sam z duszą... o! o! mówiłem sobie straszniejsze pytania w monologach rozpaczliwych, niż Hamlet na Shakespearowskiej scenie!

Pamiętam jeszcze tę chwilę.... był to dzień wrzesniowy.... leciałem z Kairu do Gizeh dla obejrzenia wielkich piramid, które do mnie przemówić miały głosem lat tysiąca i tysiąca pokoleń....

W Gizeh ujrzałem te olbrzymy które mi się małemi wydały, tak je już naprzód wyobraźnia moja powiększała.... zbliżyłem się nareszcie prawie ostygły i upadłem znękany febrą, upałem i myślą własną pod stopami największej z piramid. Jeszczem miał siłę tylko żelaznym stylem wyryć wiersz Delila na podstawie, a gorączka podziwu z którą biegłem do stóp olbrzymiego dzieła ręki ludzkiej, ostygła.... Umysł mój walczył już nie poddając się wrażeniu, i zimno rachował uściski córki Cheopsa, które płaciły za kamień każdy piramidy.... Rachowałem, Herodota trzymając na kolanach, gdym patrzeć był powinien i dumać.... mierzyłem, rysowałem, badałem, gdym z milczenia tego



olbrzyma nad którym lat trzy tysiące przeleciało, powinien był się nauczyć nicości żywota i ziemi.

O! pamiętam tę chwilę stanowczą, gdy m zastukawszy do serca mego, znalazł je w obliczu cudu ręki ludzkiej tak chłodne i zastygłe jak było na widok dzieł Bożych.... Pod brodą Sfinxa siedziałem nie pytając go o słowo wiekuistej zagadki.

Całym owocem podróży było pół przepalonej twarzy i febra którą mnie nabawiło słońce, znużenie, może uczucie głębokiego smutku, gdy m i tu martwym, na wieki martwym się poczuł.

Takie było całe życie moje; szukałem zajęcia, pokarmu, a nigdzie go nie było dla mnie. Byłem winien? nie, bo w dzieciństwie jeszcze ekstypowano ze mnie wiarę, jak niebezpiecznemu zwierzęciu zęby wyrrywają... Płakałem czując jej potrzebę, a wypracować nie mogłem.... bo wiara się nie nabywa, bo ona drogim jest darem.... nie pracować na nią, ale modlić się było potrzeba. — Tymczasem, żeby państwa długo na jednej nodze nie trzymać, dodał duch, dopowiem reszty bez deklamacji, której, proszę wierzyć, dopiero nabrałem siedząc w tej nodze stołowej, z rudy i odosobnienia....

Trochę wojując, podróżując wiele, bo i do Chin raz dotarłem, rysując, pisując, bawiąc się w literata, poetę, romansopisarza, artystę, naturalistę.... żyło się jakoś, ale życie straszliwie zdało się długie i ku końcowi coraz ciemniejsze. W młodości był jakby promyk nadziei, czasami zabiło coś jeszcze w piersi choć słabo, stawałem się człowiekiem na chwilę.... później i te chwile słoneczne na wieki mi znikły. — Praca nużyła, a nie nasyciała, nie miałem wiary nawet w to co mój jedyny przewodnik — rozum mi dyktował.

Rzucałem się jak zwierz w klatkę, któremu ciasno choć się na drugi jej bok przerzuci, myśl rozbijała się o ściany więzienia zbudowanego na wieki dla mnie; ze stolic na wsie, ze wsi do grodów uciekałem przed sobą, ażeby z sobą nie być, zabijałem się pracą. Nareszcie ani rodzina, ani dzieci, ani sława, ani poszanowanie sie-

bie samego nie mogły mnie dłużej na tym świecie powstrzymać, wszystko mi obmierzło; w duszy mej tak było pusto.... tak pusto!.... pytałem się nieustannie o cel wędrówki? o przyczynę męczarni, o użytek cierpienia, o cel walki? a cisza grobów odpowiadała mi tylko....

Trzy dni tępym nożem odpiloowywałem, głęboko myśląc, gałkę cynowej cukiernicy stojącej na moim stoliku. Dziwna rzecz! od jej wielkości los mój i życie zależało, powiedziałem sobie że się zastrzelę, jeśli ta gałka wnijdzie w stary pistolet mój podróżny, który na kominku leżał!! Kiedym ją odciął, kiedym do rurki przykładał, zdrząłem choć życie nie było dla mnie ofiarą... dłoń mi się paliła kiedym broń nabijał... Nareszcie miałem ująć le grand peutêtre!!

Śmierć zamknęła wreszcie czterdziestoletnią wędrówkę.... Zbudziłem się w nodze stołowej skazany na medytację nad chronologią Manethona.... i sobą samym, ściśnięty w martwej celi... z której mnie państwo przemawiającego słyszycie !! Gdyby choć los był mnie z tym stolikiem postawił tam, gdziebym coś ludzkiego mógł usłyszeć, ale u podkomorzego....

— A to impertynent! zawołał podkomorzy, ale dosyćże tego.

Ale głos ducha mimo protestacji gospodarza nie dał się zagłuszyć i niebezpieczny pokutnik mówił dalej.

— Żeby co czytał i żeby mi co ciekawego kiedy powiedział? ale być świadkiem....

Podkomorzy chrząknął i to nie pomogło.

— Umizgów starego....

Podkomorzyna krzyknęła, ah! Panna Celestyna zerwała się zarumieniona od stolika, pan Henryk rozgniewany próżno usiłował ją powstrzymać, tylko Nieklaszewicz został rozpięty nad blatem jakby kostniał nad tą inwokacją magiczną.

Stolik już tak się rozgadał, że nawet zerwanie łańcucha gęby mu stulić nie mogło.

— A! jak nudno u tego podkomorzego, który udaje młodzika, dodał szparko....

— Mości dobrodzieju! ale dosyć tego! zawołał podkomorzy, wstań Waćpan panie Nieklaszewicz....

— Ta Henrysia....

Na tem przecie spowiedź ducha się skończyła, który równo z posłusznem Nieklaszewicza odstąpieniem, urwał mowę.

---

V.

Niespodziewany fenomen, któregośmy byli świadkami, jeszcze nas trzymał w osłupieniu, a gospodarza rozpałał gniewem, kiedy pan Heryk, którego cała rodzina słuchać widać była przywykła i za wyrocznią uważała, odezwał się szybko:

— Ale to potrzeba korzystać z dnia, z godziny, z usposobienia własnego, z tej dziwnej siły, którą może burza, jakiś tajemniczy organizacji związek nam daje... możemy się najciekawszych rzeczy dowiedzieć... siadajmy.

— Henryku! przerwał oburzony podkomorzy, to jakaś filuterja, czy zresztą... zresztą... poprawił się, kat was wie co... ale jeżeli mamy dowiedzieć się znowu jakichś potwarzy na mnie...

Podkomorzyna ochłonawszy już z wrażenia ziewała, co ujrzawszy gospodarz, jakoś się uspokoił także, uśmiechać począł do mnie z uiejaką chlubą starym rozpustnikom właściwą, którzy radzi są gdy ich o bałamucstwo posadzają.

Pan Henryk cheiwy nowych cudów, korzystał z tego usposobienia i począł naglić.

— Nieszczęśliwieśmy wpadli, rzekł, na jakiegoś ducha sceptyka, który kondolencjami swemi bałamucił, ale spróbujmy no z innej nogi, wszak ich w stoliku ma

być siedmioro, siadaj panie Nieklaszewicz, Celciu, proszę ciebie! spytamy o przyszłość, mamy kochana... nie odmawiaj...

Panu Henrykowi wszystko ulegać było przywykło i choć podkomorzy nosem kręcił, znowu się łańcuch sformował, znów w milczeniu, w oczekiwaniu zasiedli magnetyzujący. Po pewnym przeciągu czasu, dało się słyszeć długie i przeciągłe ziewanie.

Spojrzeliliśmy po sobie.

— Kto to ziewnął? zapytał niedowierzający podkomorzy.

Wszyscy zaprotestowali.

— Naturalnie stolik! tryumfująco rzekł pan Henryk i dodał szybko, kto jesteś duchu?

— Hę? hę? odparł głos z drugiej nogi.

— Przygłuchy! pewnie stary, i nic nam ciekawego nie powie, zawołała panna Celestyna, która do starych nie miała nabożeństwa.

— Cyt! Celsiu! Kto jesteś duchu? powtórzył elegant.

— A Asindziej?

— Ceremonjant! każe się sobie wprzód rekomendować! rzekła jejmość, a pan Henryk znowu pytanie swe rzucił.

— A! dalibyście mnie pokój! a co tam chcecie? Kajetan! no! Kajetan!

— Nazwisko?

— Gdzież u nas nazwisko! co za nieuk! nie znasz naszego świata, zaraz ci może i genealogji potrzeba? hę? Miałem matkę i ojca o czem asindzieja zapewnić mogę uroczyście i urodziłem się z błogosławieństwem, z prawem przyjścia na świat, jak się należało, nawet jakiegoś *icza*, czy *ica* przyniosłem sobie zaraz... Ale czego chcecie odemnie? niedość siedzieć w nodze stołowej plecami do jakiegoś uczonego, który śmierdzi pleśnią i pali mnie niewiarą jak kamieniem piekielnym, jeszcze na zawołanie lada fircyka, będę im bajki gadał!

— Nie obrażaj się mój kochany Nieklaszewicz prze-  
rwał pan Henryk, który fircyka do siebie wziąć nie  
chciał, i zrzucił go na towarzysza.

— Chcemy się z twojej historii nauczyć czegoś, dodał,  
nie próżna to zabawka...

— Bałamucisz asindziej, rzekł duch, bałamucisz...  
Kto się z cudzego doświadczenia nauczył, choćby na  
gorące dmuchać? potrzeba się sparzyć, to dopiero uczył!  
a co się tycze życia mego, *ab uno disce omnes* wszak  
wam tam już jeden coś plótt!

— Łacinnik szepnął podkomorzy, człek starego eta-  
tu, głupstw gadać nie będzie — chwala Bogu! I zbli-  
żył się do stolika.

Chwilę milczenie trwało.

— Jeszczem się nie wysapał po męczącym życiu,  
jeszczem nieodespał nocy przehułanych, a ci ichmoście  
kaza mi się bawić jakby sobie chrząszcza złapali na  
szpilkę? A chcecie wiedzieć ktom był? No to powiem!  
Za to siedzę w stołowej nodze, żem życie zjadł w ka-  
szy, zrozumiałej mówiąc, caluteńkie prześwistał, wier-  
szem, prozą, dowcipem, rozpustą, i umarł przed  
czasem.

— Henryku! rzekł schylając się podkomorzy do  
ucha synowi, gotów przy Celsi głupstwa jakie prawić,  
możemy mu dać pokój.

— Celsia uda, że nie rozumie, odparł uparty ma-  
gnetyzer równie cicho, a to się obiecuje coś cieka-  
wego.

Duch ziewnął po raz trzeci...

— Trzeba wam wydzwonić życie moje! No! no!  
słuchajcie, widzę, że się wam nie wykupię niczem...  
Jakem się urodził, wiecie, jakem do szkół poszedł do-  
myślić się łatwo, ale nie myślcie, żeby mnie pod bi-  
zun księży i ich łacinę oddano... od pieluch zamalowa-  
no mi gębę francuzczyzną, bom miał nadzieję przez  
stryja ciotki nieboszczyka dziada, zostać przyjęty za  
pazia na dwór króla Stanisława... Byłem młody, ład-  
ny, szlachcic, i dowcipny, mógłłem pójść daleko... za-

szedłem na smętarz tylko. Ale nie łapmy ryb przed niewodem.

Muszę naprzód oczyścić się z podejrzenia, jestem pewien, że i mój poprzednik, duch z nogi pierwszej, który wam się spowiadał, musiał winy swoje zwalić na kogoś, nie myślcie, żebym i ja tego niepotrafił zrobić; myśmy tak pono jak w turmie zbrodniarzy, z których każdy zaczyna swoje powieść od tego, że nic nie winien... Otóż i ja nie winien jestem wcale, że w stołowej nodze siedzę i siedzieć będę póty, póki mojej ody do Priapa, epigrammatów *et sic porro* na świecie nie stanie... A odę tę znacie? z uśmiechem duch spytał.

— O ho! jakże nie!! wyrwał się śmiejąc podkomorzy, to ten filut Węgierski!

— Wystawcie sobie ichmość, dodał duch żywo, siedzieć na pokucie jak ja, a być zmuszonym prosić w duchu, żeby pamięć dzieł moich zaginęła, bo inaczej uwolniony nie zostanę. Z jednej strony w tej kwaterze bardzo mi niedobrze, z drugiej nie chciałoby się, żeby o mnie ludzie zapomnieli... Między młotem a kowadłem!! Ale o czemże mówiliśmy?

— Żeś waćpan panie szambelanie nic nie winien.

— Bodaj was z szambelanem! a! długo mi jeszcze widzę przyjdzie tu odsiadywać rekolekcje! Ba! ale *bonne mine à mauvais jeu...* nie moja w tem wina! *ma foi!* Jakżem się paziem, wszedłszy na dwór XVIII. wieku nie miał popsuć?

Powiem wam jak mi się zdało życie w początku! miałem twarzyczkę ładną, dowcip łatwy, *une certaine position sociale* nikt mi nie powiedział, że to są frazki i bałamuctwa, wziąłem to na serjo i na tem zbudowałem los cały. Jadłem życie łyżką i całą gębą, ale cóż, gdym jeszcze się nie dosmakował go, jużem oskomy dostał. Dalej kpiłem z siebie, z drugich, z życia tego i grałem w karty! ta namiętność jeszcze mnie jakoś trzymała, inaczejbym się na śmierć zaziewał. Niekiedy robiłem sobie satysfakcję kpiąc i przypatrując się cudzym głupstwom, bo mi się świat wielki

wydawał wertepem... to mnie także trochę bawiło... nie byłem nieczuły na applauzy ludzkie, miłość własna ostatnia podobno obumiera w człowieku i kiedy ta bić przestanie, nie pytaj już serca i pulsu, pewnie po człowieku! Ot jak się to żyło! ha! ha! Niezgorzej, póki było zdrowie, pieniądze, młodość i służyło mięso, ale jak się tego powoli przebrało, postrzegłem, że się za kuso wybrał w drogę.

Przeżyłem dany mi zapas prędko i kiepsko; były w nim wprawdzie chętki dobrego, popędy szlachetne, oburzenie na złe, zachęta dawana cnotcie, nigdy pióra nie sprzedał, nigdy zbrodni nie pobłążył, nigdy złotemu cielcowi nie bił czołem, i gdy w fioletach Naruszewicz błąził się kadząc pod nos za lada łaskę, gdy czuły Karpiński stękał za instancją Justyny dopraszając się starostwa, gdy inni wyciągali ręce jak lirnicy nad gościńcem w czasie jarmarku, jam chłostał niepoczciwych, jam sztydził z łajdaków, a schylałem czoło przed obywatelską cnotą mężów w kraju zasłużonych.

Ale to wszystko jeszcze zbawić mię nie mogło: obok maluczkiego dobra, wielem zasiał złego piosnką plugawą, i ogryzki a odrobiny życia dawałem tylko sprawie powszechnej, gdym je całe poświęcić był obowiązany... Słuchajcie... wicie zapewne choć główne wypadki mojego życia?

— Nie! nie, rzekł pan Henryk...

— Jakto? nic?

— Nic!

— Patrzcie! życie spełzło, a oda do Priapa została! w człowieku z ciała i mięsa ostatnie pruchnieją kości, w człowieku ducha i myśli ostatnie zapominają się występki jego!... A! będę więc musiał wam je opowiadać.

— *Exécutez vous de bonne grâce!* odezwała się ze współczuciem jakimś panna Celestyna.

— Cóż robić! muszę widzę, ale twardy orzech do zgryzienia...

— Gryźże go śmiało i prędko panie szambelanie, dodał podkomorzy, który także czuł jakąś sympatję dla tego nieszczęśliwego ducha.

— Zgryzę, zgryzę... Na wierszykach, na umizgach, na grze szalonej, upłynęły mi najlepsze lata lotem błyskawicy... kiedy mi przyszło kraj porzucić i począć czynnym żywotem płacić za grzechy młodości, sił zabrakło... Piękne oczy trzymały mnie na uwiezi słabego, gdy działać było potrzeba, a naostatek gdym przejrzał, że człowiek niezupełnie stworzony jest do kielicha i faraona, uśmiechów i gzów za parawanami, gdym miał dłoń przyłożyć do pługa by moje skibę wyorać... struna pękła, zabrakło życia, umarłem.

— Ale ba! zbywasz nas asindziej ogólnikami, prze-rwał podkomorzy.

— Czekaścież, czekaście, tu się dopiero najciekawsze poczyna... Na łożu śmierci opuszczony od wszystkich, sam jeden, zapomniany, z gorzką myślą o tych co mnie opuścili... konałem... Pomiędzy dwoma żywotami na krańcach obu, gdzie się pierwszy kończy, a drugi poczyna, nim człowiek stanie przed sędzią, jest chwila w której sam w obec siebie się znajduje i rozdzielony z szaty śmiertelnej spogląda na siebie... Pókim żył, bardzom się jeszcze wydawał przezierając w zwierciadélku miłości własnej, przyzwoitym człowiekiem; myślałem sobie, że niepodobieństwem jest iżby mi moich drobnych grzeszków za dosyć poczciwych uczynków nie przebaczone i *summa summarum* obrachowałem, że nie najgorsze znaleźć powinienem miejsce na lepszym świecie; ale załedwie rozzułem się i zrzuciłem więzy, w tej chwili przejścia tak mi się jakoś inaczej wydały rzeczy, ażem się straszliwie przeląkł... moich tych drobnych prawda grzeszków, których brzemię nie sam, ale na współkę z inuemi dźwigałem. Znalazło się tyle, tyle i tyle, żem ich zliczyć nie mógł, a prawdziwie dobrych uczynków co się westchnieniami nie rozwiały i ciałem stały a czynem, tak się pokazało mało, mało... No! ale cóż było robić? Myślę sobie jeszcze po ludzku trochę: tam być muszą łaskawi, głupstwu prze-



baczą i t. p. Idę więc sobie, aż tu jakiś nieznajomy, pocziwego oblicza, zastępuje mi drogę i pyta kiwając głową:

— A waćpan to dokąd zabłądziłeś?

Uśmiechnąłem się dworsko...

— Jegomościuniu, a obejrz no się co na ramionach dźwigasz! nie tędy droga waszeci!...

— Za pozwoleniem, ośmieliłem się wyjąknąć, zdaje mi się... nie zabiąłem, nie kradłem, a co tylko z dzieł Bożych i ludzkich było pięknem, wielbiłem... co było szlachetne, kochałem.

— Ba! to też waszeć do piekła nie pójdziesz zapewne, rzekł nieznajomy łagodnie, ale i do nieba ci zawcześniej, tu idą uczynki tylko, a powiedz mi waść cóżś zrobił?

Tak mnie zagadł, żem zmilkł jak trusia ust przygryzłszy, żadnego z wierszy moich zacytować mu nie mogłem... bałem się nawet je wspominać z powodu, że niejednaby się tam herezja znalazła; z uczynków innego rodzaju łamałem głowę: nic nie śmiałem wskazać: tak mi się teraz liche wydawały.

— Już to, że waćpan milczysz, przerwał pocziwy nieznajomy, bardzo wiele za nim świadczy... no! no! pójdziesz na rekolekcję i pokutę... ale nie desperuj przecie, jakoś to będzie! Jest tam rachmistrz na dole co z waszmością zrobi obrachunek i wyznaczy tymczasową kwaterę.

Ja tedy na dół, tłum ogromny, ledwie dostąpić: patrzę ów rachmistrz zajmuje się Psychostazją... i wazy dusze... Na jednej stronie szali kładnie dary Boże, na drugiej uczynki ludzkie i wedle tego jak co niedoważa, zaraz z kancelarji wydają bilety na tysiąc, dwa, trzy tysiące lat... rekolekcje w różnych miejscach.

Potępionych tu wcale nie było, a czynność odbywała się tak porządnie i szybko, żem ani się opatrzył jak na mnie kolej przysłała. Rachmistrz zawołał, popatrzał... i tuż posłańcy jego jak poczną znosić dary, któremi mnie Bóg obsypał przy urodzeniu, tak szale

całą nałożyli do brzegu... Gdy przyszło na przeciwnej misie kłaść uczynki, kiedy spojrzę, a tu niosą znowu ogromne pęcherze dobrych chęci, aspiracyj, zamysłów, ochotek, których stos nałożyli potężny, ale cóż z tego, kiedy przydawszy nawet parę grudek pocziwych uczynków moich, szala ani się ruszyła. Widzę, że źle... łyż mi się zakreśliły w oczach i westchnąłem aż szala uczynków zadrgała, i druga zniżyła się nieco, tem jednym, jednym westchnieniem!!

Niemniej jednak gdy przyszło do wydawania mi biuletu, napisano go w ten sposób, że sam nie wiem kiedy się z tej stołowej nogi uwolnię... Chciałem prosić żeby mnie gdzieindziej wkwaterowano, ale tu sąd bez appellacji i tak dostałem się do stolika.

Wszyscy słuchali powieści nawpół ze strachem, wpół z jakimś niedowierzaniem, a podkomorzyna zarzemała nawet nieco...

Duch mówił dalej:

— Wystawcie sobie co to za męka, tysiące lat... a! bo to być mogą tysiące, trawi się w sobie by oczyszczać z kałów ziemi i to co w życiu pozyskać było można odrobiną pracy, tu trzeba po pyłku i odrobince zdobywać. A wokoło ciemność, samotność i cisza i cisza!! bo któż ze świata żywych, sercem, modlitwą, westchnieniem, wiarą zakolacze do ciemnicy naszej!! Z tych cośmy zostawili na ziemi, każdy sobą zaprzętniony. Wśród nocy i milczenia tylko, czasami, czasami jak ognik, jak błyskawica zaśni modlitwa, której Bóg pozwała na nasz rachunek i pociechę przylecieć; rozwidni się w duszy, lżej zrobi i znowu trawim się sobą, i znowu w przepaściach grobu tego liczym chwilę po chwili, myśl po myśli, słowo po słowie od kolebki do zgonu, wszystko a wszystko cośmy robili i czegośmy nie uczynili!

Na świecie waszym, wśród gwaru chwil co płynąc jedna za drugą uciekają, zapominamy wczoraj, i z jednego końca nie widzimy drugiego; lecz na pokucie pośmiertnej cały żywot uprzytomnia się nam do najmniejszej drobnostki, bo z niego tkać musim poprawę,

bo tysiąc go razy musimy odżywić i przechodzić na nowo, dopóki nie wywalczym w sobie obrzydzenia wszelkiego czynu i myśli nieczystej... A tu co chwila drga jeszcze w nas napój, którym upiliśmy się przed śmiercią, i rozpacz chwyta serce i żal je ściska i sił brakuje... i męczym się, o! męczym straszliwie...

Głos mówiącego powoli cichnął, ustawał, słabł, gasnął i ustał...

Wszyscy słuchali jeszcze, ale napróżno, znać zanurzył się w sobie i zbiegł z pod władzy tych, którzy mu rozkazywali... a nikt, nawet pan Henryk nie śmiał powtórnie wywołać smutnego ducha i zadać mu nowego pytania...

---

## VI.

Była chwila ciszy smętnej, a że burza nie ustawała, i chmura nadchodząca znowu pokryła resztkę jaśniejszego nieba, ciemność się stała jakby przy zbliżającej się nocy, niekiedy tylko blask płowy rozświecał twarze zgromadzonych i mefistofelowską fizys Nieklaszewicza, którego usta zdawały się paralitycznym wiekuistym zastygłe uśmiechem. Wszyscy stali zadumani, nawet podkomorzy, który nie lubił być serjo i w każdej rzeczy szukał jak dziecko rozrywki. Podkomorzyna dla nastrojenia się do tonu towarzystwa wzdychała, nie bardzo wiedząc dlaczego, panna Celestyna dumiała, a p. Henryk wyczekiwał tylko nielitościwy, gdy przyzwocie nowego ducha ze stolika za uszy będzie mógł wyciągnąć.

— No! a cóż — rzekł po spoczynku krótkim — wszakże siedm podobno, jeśli dobrze liczyłem ma być duchów w stoliku, dwa nam się już zaprezentowały, wartoby i reszcie krzywdy nie czynić...

— Nielitościwy jesteś — rzekł ojciec.

— Doprawdy Henrysiu — szepnęła matka — ja już rąk nie czuję...

— Ale *chère maman* — podchwycił pan Henryk — drugi raz może nam się podobny zbieg okoliczności nie trafi... trzeba korzystać... ręce przeboleją... a z siedmiu duchami na pokucie siedzącymi się zetknąć, to coś znaczy... Śmiało, a zdaje mi się, że to pójdzie nam łatwiej coraz, jużemy się wdrosyli.

— Ale zapewne — rzekł Nieklaszewicz, który zdawał się doświadczać w tem jakiejś gorączkowej przyjemności, bo twarz mu się paliła z jednej strony wypieczonym rumieńcem — pójdzie jak z płatką...

— Siadajmy! siadajmy!!

— Tyran jesteś! — dodał podkomorzy — *mais il faut passer par tout ce que vous désirez* — zaczynajcież.

Po kilkuminutowem naprężeniu sił woli czterech osób otaczających stolik, trzecia noga kichnęła. Grzeczny zawsze podkomorzy pospieszył zawołać: na zdrowie!...

— Upadam do nóg... niegodzien jestem! niegodzien!

— Kto jesteś duchu? — pospieszył formułą zwykłą spytać dowódzca...

— Ja?... Piotr!...

— Kim byłeś Pietrze za życia?...

— Nieszczęśliwym żebrakiem! — wyjąknął głos z pod stołu.

— *A fi! un mendiant!* — krzyknęła panna Celestyna — *mais que voulez vous qu'il dise.*

— To najciekawsza rzecz w świecie — przerwał pan Henryk — na Boga, życie żebraka! poetyczna karta! nie przerywajcie! cały romans. Pietrze! — zawołał — opowiesz nam życie swoje.

— Ale jakże może być — zawołał oburzony podkomorzy — w jednym stoliku hrabia, szambelan... i żebrak! to niepodobieństwo!...

— To świat pokuty! — rzekł Henryk...

— Duchu, mów nam życie — dorzucił szybko....  
słuchamy cię.

— Mógłbym was spytać — odparł poważnym głosem duch żebraka — czyście mnie słuchać godni, bo ten tylko skorzysta z nauki i doświadczenia mojego, kto doznał com ja wycierpiał lub przeboleć może... ale nie chcę być dumnym za grobem... powiem wam życie moje. Od początku do końca było szereg klęsk, zawodów i boleści... jednym jękiem przepłynęło całe... Urodziłem się bez oczów, ślepym, w ubogiej chatce wieśniaczej, i gdym przez biedną wyniesioną matkę raz pierwszy na słońce wiosenne witał rączkami wiosną, której nigdy oglądać nie miałem, powiew wiatru odjął mi władzę w jednej nodze. To pierwsze z naturą spotkanie było prorocstwem całej przyszłości mojej... W dzieciństwie byłem już osamotniony kalectwem, a nikt prócz starszej siostrzyczki mojej nie czuwał nademną... matka, biedna matka pracować musiała, czułem tylko czasami jak przechodząc, na bladej twarzy mojej kładła łąkę z pocałunkiem, i długo, długo mi po nich błogo było!... Siostrzyczka nosiła mnie kalekę na rękę, póki mogła, śpiewała mi piosnki, karmiła i tuliła w płaczu... ale Bóg litościwy wziął siostrzyczkę do siebie, a mnie samego zostawił... poszła za nią matka... został ojciec z nami kilkorgiem na rękach... i przywołać musiał w pomoc macochę, która nam była prawdziwą macochą. — Ja com na życie zapracować nie mógł, ledwie z litości kawałek chleba miałem jak psu rzucony ze wzgardą. Jużem był w opuszczeniu i nędzy dorósł na chłopaka, i nie było mnie użyć sposobu, gdy stary lirnik ślepy przywłókł się do ojcowskiej chaty. Dowiedział się gdzieś w gospodzie o mnie i z radą spieszył dziad dla nas; słyszałem go jak obiecywał ojcu obfity plon ze mnie, byleby na lirnika mnie wyprowadził i dał powodyra. Chleb żebraczy, chleb próźniaczy, ale i u nas jeszcze szanują tego, którego ręka Boża dotknęła... choć dotknięcie to plagą, zawsze to znamię święte.

Ojciec bał się daremnie wyposażyć mnie lirą... wahał się, zbijał starca tem, że z nogą kulawą chodzić nie będę mógł po jarmarkach i odpustach... ale dziadowi serce się może poruszyło i mimo ojca postanowił mnie uczyć na lirze. Odtąd co niedziela przychodził pod cerkiew naszą, a co wieczora pod chatę i stał się dla mnie ojcem... Nie był on jak ja, ślepym od urodzenia, widział po za ciemnościami świat młodości, nie jak ja com słyszał tylko szum życia wkoło siebie. I opowiadał mi o świecie i karmił mnie pieśniami, ręce słabe po tesknej prowadząc lirze...

Jedne to w życiu były szczęśliwe wieczory, te którym spędził z starym Moroszem... zasłuchany, zadumany, cały w pieśni, cały w dalekim świecie... Ale Bóg skazał mnie na cierpienie, i pieśń i lira i starzec liutościwy nową mi nieśli męczarnię. Otworzyły się przed oczyma mojemu nieznanne dotąd światy, uczucia, dole, szczęśliwości!! I ja niewolnik, com był przeznaczony na wiekuiłą męczarnię przykucia, przejrzałem w swbbodę... odgadłem ludzi co pili promienie słoneczne, zapatrywali się na słońce, niebiosą i dalekie widnokregi... co czuli piękność jaką Bóg stworzył... Serce krwią mi zabiegło i z wyrzutem okropnym wzleciałem myślą do Stwórcy, mymawiając mu niedolę moją. To uczucie było grzechem mojego żywota! Niem trawiłem się długie lata i pożarty niem umarłem... w blaskach dopiero wieczności poznając błąd mój i winę.

A! nędzne też to było życie! Jednej niedzieli Morosz zmarł nagle na smętarzu pod cerkwią i powodyr jego przyniósł mi lirę starca, jedyne po nim dziedzictwo... W pierwszej chwili nie wiem czym więcej płakał po dobroczyńcy, czy ucieszył się z posiadania piskliwej jego puścizny!! Zdawało mi się, gdym kołem poruszył, że ton dobywający się z liry był głosem zmarłego....

Z lirą tą i z powodyrem, trochę swobody błyskać się zdawało dla mnie, ale omyliły mnie nadzieje... stałem się własnością, rzeczą, podwładnym, niewolni-

kiem powodyra, którego oczów pożyczac musiałem, byłem jego lirą. Dawał mi co chciał, prowadził gdzie się zamarzyło, kazał śpiewać lub milczeć jak mu się podobało, a ja mu się oprzeć nie mogłem... Szedłem więc z pieśnią o suchym chleba kawałku za tem stworzeniem bezdusznem, które mnie za sobą ciągnęło na pasku; bez litości, bez słowa braterskiego, bez względu na kalectwo moje. Nieraz łyzy się z pieśnią mieszały i na lirę spadały... Nieraz mi głosu brakło w piersi... a siły w rękę... ale groźba głodu i razów, kazała mi ostatnich sił dobywać... Gorzkie było życie moje, a jam je dotruwał rozpaczą, gdy mógł zasłodzić modlitwą i wytrwaniem... jam wymawiał Bogu karę, na którą usta moje zasłużyły...

Dorosłem młodości i nie wiem kiedy mi i jak przeszła... wiedziałem że na świecie przychodzi pora kwiatów i owocu, miłości, małżeństwa, rodziny, ale mógł-żem się o moje prawa, o cząstkę moją odezwać? Pierś się wzdymała pragnieniem nieznanem, jakimś polotem niewytłumaczonym dla mnie; i płakałem z bólu... Czasem usłyszałem koło siebie głos jakiś, co mnie wstrząsał całego, jakby mowę aniołów, jakby śpiew chórów niebieskich; natężyłem ucha żeby go pochwycić, chciałem biedz by się nim nasycić, ale głos się rozptywał daleko i głucha cisza była ciemnością drugą w której tonąłem... Rozeznawałem po głosie ludzi jakbym ich, co wy nazywacie widział, dźwięk mowy uczył mnie niby ich twarzy, wieku i serca, cóż kiedy wszystko to przemykało się tak szybko, tak niepowrotnie, żem nie przyswoić i z niczem się połączyć nie mógł. I byłem jak ogniwo łańcucha rzucone na ziemię, bez związku ze światem, z łańcuchem, do którego należałem. Jedyna istota przykuta do mnie, jak jam był do niej przykuty, wpół zwierzę, nielitościwa, sroga, dzika... zamiast mnie wiązać do świata, nie dawała się z nim pojednać... Ledwie kto przystąpił do mnie, ledwie usta otworzył... odpychała zowiąc mnie szaleńcem bezmózgiem co powtarzać umiał pieśni, ale w nich nie pojął słowa... Co tam niedostatek, głód, pragnienie, choroby i nędze, gdy

dusza srożej ucierpiała od skaleczonego ciała... Nie było przemówić do kogo, nie było się komu, a! nawet poskarżyć... Kiedym dla siebie jedną z tych pieśni, jakich mnie Morosz uczył, chciał wyśpiewać, ażeby przez nią przelać w świat jęki moje, i tego mi nie dozwalał powodyr, bojąc się by zmęczonemu nie zabrakło później głosu na pieśń płacaną i zimną... Katem był mi pan mój... a ja bezbronnym i bojąc się, ażebym nie poskarżył się nań przed swemi, uwiódł mnie od wioski, od znanego siola w obce, smętne, puste strony, w step, gdzie nawet przyjaciel las mi nad głową nie szumił, gdzie mi moje zioła nie pachły, gdzie jakieś obce powietrze prochem i piaskiem zasypywało ślepe oczy moje...

A jam iść musiał i cierpieć.

Są dole na ziemi, są brzemiona dla ciała i dla duszy ludzkiej tak ciężkie, że je dźwignąć można chyba szczególną łaską Bożą, o swej sile człowiek upadać musi z rozpaczy. Moja była rodzajem szaleństwa przepłatanego odrętwieniem, leżałem jak kamień, lub zrywałem się ze śmiechem szatańskim pieśń nucąc taką na której słowa słuchaczom włosy wstawały na głowie... a powodyr sam choć bydlę, jeśli nie myślą, to dźwiękiem niekiedy czuł się wzruszony do głębi... Zamiast pieśni pobożnych jam składał śpiewy o sobie, o doli i wyrzuty Bogu, że mnie pokarał tak srogo. Ludzie żegnali się na to zuchwalstwo niesłychane... we mnie rozpacz rosła i rosła...

Nareszcie, pamiętam tę chwilę zbrodni mojej, padłem raz po długim pochodzie na progu wiejskiej karczmy; wewnątrz gwar słyhać było i co chwila ktoś mnie przechodzący potracił; ale nie czułem nic, nic, nie zważał na nikogo, tak byłem srodze znużony... zdawało mi się, że dogorywałem... głowę oparłszy o słup, spuściłem lirę na kolana i powieki snem mi się mrużyły mimowolnym...

Nie wiem jak długo trwałem w tem otrętwieniu, gdy mię powodyr szarpnięc zbudził z niego i śpiewać coś kazał; czułem to, ale nie mogłem mu być posłu-



sznym... mruknąłem coś niezrozumiale i głowę znów przychyliłem do słupa, mrużąc oczy. Powodyr był pijany i uderzył; nagle krew zakipiła we mnie całą siłą młodości niezużytej i długo tłumionego gniewu, w głowie błysło coś dzikiego, myśl jak żelazo mózg przeszywająca — zerwałem się, schwyciłem go za piersi, zwałem pod siebie, a choć ryczał, zdusiłem za gardło, tak, że w rękach moich ducha wyzionął, a w wściekłości lirę rozbiłem tłukąc w zimną jego głowę...

Co się ze mną stało potem, nie wiem... ale nie byłem biedniejszy gdy mnie okuto, prowadzono, karano... w ostatku do wioski mojej przywiódłszy, puszczono z imieniem zbójcy u wrót chaty, w której stary ojciec żył na łasce moich braci... Nikt mnie już przynajmniej nie gonił, nie przymuszał, nie ciągnął za sobą jak bydłę... Głodny, odarty, opuszczony na przyźbie naszej chaty wałęsałem się czekając śmierci, a sioło rodzinne, a to miejsce znane mi od dzieciństwa pokarmiło mnie wspomnieniem matki i jedynego pocałunku... jakim w życiu odebrał. Na czole zeskwarzonem cierpieniem chwilami czułem go jeszcze, czułem do śmierci... a konając zdało mi się, że matka przyszła znękaną duszę na lepszy świat pociągnąć!

Duch umilkł i słuchacze spojrzawszy po sobie, nie odzywali się; spowiedź ta biednego żebraka zabójcy, ten dramat zapomniany nie zrobił na nich wrażenia; między nim, a niemi nie było wiążącej nici, żadne z nich cierpień takich nie znało i boleć za nie nie mogło... Słowa ducha obijały się o ich uszy zdziwione, ale nie dochodziły serca... nie pojmowali, by dzieje nieszczęśliwego zbrodniarza umieszczonego losem na dnie tłumy miały prawo do litości, do równoważenia się z cierpieniem filozofa lub poety... Widać było po twarzach, że równość pośmiertna dusz pomieścić się im w głowie nie mogła...

— Dostyc to nudne — odezwał się podkomorzy nie tając ziewania, ale cieszę się że Henryk wpadł na gbura, to go może odczy od obcowania z duchami

i odejmie mu chętkę magnetyzowania stołów, które nic doprawdy dotąd ciekawego nas nie nauczyły.

— Kochany ojciec — odparł Henryk — bądź co bądź wypijemy do dna siedm duchów tego stolika...

— A jeśli pozostałych cztery składać się będzie z tego rodzaju co ostatni? — spytała cicho panna Celestyna...

— Chociażby!

— W ostatnim nadto było liryzmu, a cała spowiedź tak złym smakiem! takiego w niej coś łachmanowego, dzikiego, strasznego i pospolitego zarazem!!

Podkomorzyna tylko i Nieklaszewicz nie odezwali się wcale ze zdaniem swoim, gdyż pierwsza zawsze poddrzymywała uśmiechając się, drugi nie puszczał z rąk stolika...

— A co? idziemy dalej? — spytał z zaciętością szczególną.

— Idziemy — odparł pan Henryk...

---

VII.

Nim jednak przystąpiono do nieszczęśliwego stolika, który ze stoicką cierpliwością znosił że się tak nad nim pastwili, pan Henryk mimochodem zrobił uwagę, że duchy na pokucie wszystkie jeszcze dosyć światem trąciły, a każdy z nich poświadczał spowiedzią swoją niezupełność skruchy, niedostateczne oczyszczenie się z kału ziemi.

— Czegoż bo waćpan chcesz — ofuknął się podkomorzy, znać całą tą stolikową metafizyką znudzony, jużciż wybranych w szufladkach niktby nie zamykał.

Nieklaszewicz się uśmiechnął.

— Nie traćmy czasu — rzekł cicho.

— A w istocie czasby było pić herbatę, przerwała

wzdychając z lekka podkomorzyna, ale tego prozaicznego wezwania nikt nie słyszał, czy słyszeć nie chciał, a stolik objęty łańcuchem, piszczał pod palcami swych władzców. Długą chwilę trwała czynność przygotowania, nareszcie cichutkie *ach!* wyleciało w powietrze. Pan Henryk pospieszył ze swoim:

— Kto jesteś duchu?

— Melanja! Melanja! odpowiedział stolik.

— Kobieta! cały zaperzony wykrzyknął podkomorzy, łamiąc ręce, ale gdzież? spodziewam się, że jej nie osadzono ani w ćwieczku ani w klajstrze.

— Gdzie przebywasz? spytał pan Henryk.

— A! tu! tu! na wierzchu, w blacie stolika i tak ciasno... tak niewygodnie!

Duch westchnął.

— Biedna istota! westchnęła za nim panna Celestyna.

— Mój Boże, co to się dzieje! zawołała podkomorzyna.

— Duchu opowiedz nam życie swoje... pospieszył Henryk.

— Jakżeś ty niegrzeczny! przerwała Celestyna.

Ale owa Melanja nie obraziwszy się wcale za pofałdowaną interpellację i trzykroć jeszcze westchnąwszy w kształcie przedmowy, natychmiast opowiadanie poczęła.

— Życie, a! chętnie, chętnie bardzo, od tak dawna ust nie otworzyłam, od tak dawna nikt się nie ulitował nademną... grzeczniejsi byli dla mnie na ziemi, o! daleko! ale tu na tym czarnym świecie pokuty, żadnej a żadnej formy i najmniejszego dla słabej płci względu! Wspomniawszy na przyjęcie jakiego doznałam, cała jeszcze drzę z oburzenia i boleści... Musiałam wmięszać się w najdziwniej niedobrane towarzystwo, w tłum osób nieznajomych, szłam potrącana i popychana... A tam, tam, odprawiono mnie tak bez ceremonji! nie dano mi się nawet wytłumaczyć! Gdyby chciano mnie przynajmniej posłuchać... byłabym przekonała wszystkich o mojej niewinności... potem przy wadze postąpili ze mną sobie bez żadnej grze-

czności, także musiałam czekać kolei jak wszyscy inni, porachowali mi wszystko, dobre serce, piękność, wychowanie, talenta za kápitał, to prawda, ale też jak zaczęli potem bez litości odtrącać... drobnostki, dzieciństwa... spojrzenia, ruchy, myśli, chętki, cudze zmartwienia i łzy moje i falbany sukien i wstążki i koronki... wszystko, wszystko za grzechy... za grzechy! Rzecz niepojęta, tyle się to tego zebrało, nigdy się nie spodziewała! — musiałam pójść na pokutę dopóki całej przeszłości nie potrafię zapomnieć... Sama nie wiem, bo może trwać do nieskończoności... wyraźna niesprawiedliwość... przypadkiem znalazłam się obok Julji... przecież znam całe jej życie, wiem ile nagrzeszyła, ale że się rozplakała jak dziecko, to jej tych łez nakładli na wagę, nakładli, a takie to jakies ciężkie było, jak kamienie!!

Ale posłuchajcie tylko sami, osądźcie, jak wielką względem mnie popełniono niesprawiedliwość...

Byłam jedynaczką, byłam piękną, byłam dowcipną, byłam trochę zepsutą, ale życie moje nie miało plamy, gdy tyle innych... a! jeszcze oprzytomnieć nie mogę, tak mnie to boli, że mi się nawet wytłumaczyć nie dali! Widocznie to ludzie bez żadnego wychowania, a ten co dusze ważył, (nie chcę źle o nim mówić, przebaczam mu), ale zda mi się, że miał do mnie jakąś osobistą urazę... sami powiedzcie... liczył mi za grzechy falbany i wstążki!

Nie mogę się skarżyć, żeby mi bardzo źle było na świecie. Młodość spędziłam przy ojcu i matce, którzy się rozpadali nademną, robiłam com chciała, dogadzali mi anielsko! A! mój Boże, mój Boże, jaka to śliczna, jaka to złota rzecz młodość, budzić się w dzień z nowym wdziękiem, z nową nadzieją, z nowem pragnieniem, i marzyć i roić i spoczywać po trudach marzenia, i roić znowu, a roić bez ustanku o niebieskich migdałach szczęścia!

Dzieciństwa mego dobrze nie pamiętam, ale od trzynastego roku jużem była dorosłą tak mi biło serce, tak w piersi dziwne uderzały pragnienia, i znałam już

Heloizę i połknęłam Wertera! Pamiętam, że mnie to niesłychanie gniewało, że się nikt we mnie kochać nie chciał, a pierwsze pragnienie zemsty zrodziło się we mnie z tego uczucia. Rychło jednak zapomniałam o niem, bo w piętnastym roku ulegając żądaniu jedynaczki, matka mnie w świat wyprowadzić musiała... Otoczyli mnie starzy, młodzi, odmłodzeni, zestarzali, wszyscy, wszyscy wielkiem kołem admiracji— chwilę, chwilę długą byłam prawdziwą królową. Piękna jak anioł, dowcipna, bogata, z imieniem niepowszedniem, mogłam czekać, wybierać, rzucać i srodze za trzynastoletnie moje zmartwienie się pomścić, ale to mi już nie było w głowie!

Życie wiodło się jak wieniec kwiatów spleciony z pstrych, barwnych, woniejących, wesołych i cudownych chwilek; ani ojcu, ani matce nie chciało się wypuszczać mnie z domu, a jam też się nie spieszyła jeszcze...

Wejrzeniem jednym zapalałam serca, słówkiem wiodła ludzi, uśmiechem pobudzałam do szaleństw i próbując sił moich, miałam pragnienia dziwaczne, ale się wszystkie spełniać musiały.

Nikt jednak z tych, którzy sięgali po rękę moje nie odpowiadał myśli... ten niedość piękny, ów niedość rozumny, trzeci był za ubogi, inny miał nazbyt szlachecką rodzinę; ostatni ze swoją mitrą książęcą i wytartemi łokciami był śmieszny, nie mógł bowiem ani o pierwszej ani o drugich zapomnieć, zbyt się nią wynosił, zbyt z niemi pragnął utaić... Staranie się o mnie tych panów było wcale zabawne.

— Ale jakaż gadatliwa! odezwała się pocichu panna Celestyna, plecie, plecie, nie ma końca...

— Moja droga, nie przerywaj, rzekł Henryk, jakie życie, taka spowiedź, ręczę ci, że i ty nie mówilabyś inaczej na jej miejscu.

— L'impertinent! zawołała panna Celestyna i umilkła ruszywszy ramionami. Duch westchnął i mówił dalej:

— Rozkochiwałam tych nieszczęśliwych jednego po drugim, jakoś tak odprawić ich zaraz nie miałam serca; wystawcie sobie, że i to mi porachowano. — Wprawdzie być bardzo może, że biedny Staś z rozpaczycy począł nadto pić szampana i grać w karty, że Michaś wyrwał się od starych rodziców daleko żeby mnie zapomnieć. nie mając nadziei ręki mojej pozyskać, mówiono także, że Karol całe sobie życie sparaliżował tą nieszczęśliwą dla mnie miłością, — ale widzieć ich tyłu rozmiłowanych, gotowych poświęcić do ostatniej krwi kropelki... Słuchać tego koncertu uwielbień, a! to tak miło, tak miło!

Bawiłam się, bawiłam, rodzice moi także; nagle, sama nie wiem jak się to stało, zrozumieć tego nie mogę, ojciec począł być chmurny, matka się na niego gniewała, zamykali się w pokoju ojca, żywo coś z sobą rozprawiali, wyjechaliśmy do miasta... i pokazało się, żeśmy zupełnie stracili majątek. Ojciec mówił, że to była wina oficjalistów, oficjaliści przypisywali ją ojcu; pewna jestem, że myśmy wcale temu nie byli winni, nie było nigdy więcej nad sześciu lokajów, dwie karety i sześć balów na rok! to nas zrujnować nie mogło! a rachunki tak prowadzono szczelnie!... ta ruina wydała mi się rzeczą okropną! Zaraz za tem wmawiać mi zaczęli, żebym koniecznie szła za Alfreda.

— A! jeszcze mnie przygniata to wspomnienie... Alfred był niebardzo młody, nieładny, o! zupełnie nieładny, blady, ospowaty nawet trochę, bez imienia, bez tytułu, bogaty to prawda, ale tak skąpy, tak skąpy!

Chciałam zwlekać myśląc, że się co innego trafi ale ojciec i matka, którym on widać obiecywał spłacić ich długi i oczyścić majątek dla ocalenia go pozornie przed światem naglili, prosili... Nigdy się nie spodziewała, żeby być mogli tak okrutni... próżno się wymawiałam, zwlekałam, odkładałam, udawałam chorobę, groziłam im śmiercią... musiałam dać słowo i obrączkę.

Alfred zaraz z początku był nieznośny, nic się ze sobą nie tał, starał się wprawdzie przyzwocić, robił prezenta kosztowne, ale żadnego najmniejszego szaleń-

stwa dla mnie spełnić nie chciał; a taki był zawsze poważny, zimny, obrachowany, że ofiarując mi szal, przyniósł przepis konserwowania go od molów!! Raz kazałam mu tylko skoczyć z balkonu po chustkę, która mi na ulicę spadła; on ruszył ramionami i poszedł po nią, ale pomaleńku, po wschodach. Widziałam już, że tam po nim prawdziwej miłości spodziewać się nie było można... wołałam sto razy Karola, ale Karol był ubogi, ja także, a znowu żyjąc w nieustannej pracy na chleba kawałek, to coś okropnego!! na to zdecydować się nie umiałam, nie mieć co dzień świeżych rękawiczek i obchodzić jednym na lato kapeluszem! to coś strasznego!

Wybiła w ostatku godzina, we łzach poprowadzili mnie do ołtarza, zagniewana odeszłam od niego wyrzekłszy fatalne *tak!* i znenawidziłam Alfreda!

Ten śmiał się sucho! wystawcie sobie państwo, miał serce śmiać się z mej boleści!

Przez kilka tygodni siedziałam na klucz zamknięta, jadłam biskokty tylko i cukierki... chciałam się umorzyć głodem, wreszcie dostałam jakiejś gorączki, rozchorowałam się strasznie, przywołano doktorów...

Musiałam już żyć z tym nieznośnym Alfredem, — ale rachując na to, że pozyszcze sobie moje przywiązanie, ogromnie się omylił... Wywiózł mnie na wieś, milczałam posłuszna, odosobniał, chciał bym żyła tylko książką, fortepianem, ogrodem i nim w dodatku... tego już było nadto. Musieliśmy się rozmówić stanowczo... Alfred już nie wytrzymał dłużej, upokorzył się, ucałował ręce moje, i wyjechaliśmy znów do miasta.

Wiedziałam teraz czem go kierować, był zakochany choć po swojemu, ale szalenie, chociaż go było potrzeba rozżarzać, a potem lada pocałunkiem uspokajając, trzymając naprzemiennie w niepewności, nadziei, zazdrości, zwątpieniu, czasem doprowadzając do rozpaczy aż, gdy chodziło o wytargowanie nowego powozu lub naszyjnika z topazów... a i topazy nawet wcale nie były drogie, choć prawdziwe wschodnie! Alfred na chwilę

stawał się czuły i giętki, ale potem wracał do swych nałogów, miał bowiem wszystkie śmieszności egoistów... Chciał naprzykład, żebym żyła tylko dla niego, nim... dzika, dziwaczna pretensja, nie myślałam nigdy złać mu wiary, ale wyrzec się znów całego świata, nie dozwolić sercu uderzyć, myśli pobujać, byłoby nieznośną niewolą... gorzej klasztoru...

Lubiłam się bawić, pamiętałam, że byłam piękną, a wszystko to mi miał za złe... Kazał mi siedzieć z pończochą przy kolebce Julka, jak gdyby Julek nie miał nianiek i bon i całego dworu, który go pielęgnował.

Musiałam się czasem oburzyć, musiałam zgnieść tyrana; ale co to mnie kosztowało!! Otworzyłam wreszcie dom, postawiwszy na swoim, bo uważałam, że starzejąc powolniał coraz i lagodniał mi Alfred... synęło się uo nas co żyło najdystyngowańszego. Nie przeczę, że się starała podobać, że lubiła wejrzemia czułe, pełne myśli i odpowiadała na nie wzrokiem obietnic pełnym, że się zdawała robić niektórym nadzieje półsłówkami, że usiłowała być jak najpiękniejszą i trochę zalotną, że nawet z nudy, z nudy tylko, czytała listy Teodora i odpowiadała na nie, ale mi to wszystko za takie jakieś wielkie grzechy porachowano!! przecież wiem, że nie były śmiertelne... ściśnienie ręki, kradziony leciuchny pocałunek, były doprawdy największemi mojemi przestępstwami, ale mnie widać ogadano, a plotki wiarę znalazły... Nie było nic więcej! Żeby też byli porachowali mi także to utrapione życie z Alfredem, jaki to był nudziarz nieznośny, jak co chwila dusił mnie tem swoim skąpstwem i prozą!

Minąwszy lat dwadzieścia kilka, im bliżej byłam trzeciego dziesiątka, choć miałam dwoje ślicznych aniołków, które do mnie były bardzo podobne, nie mogłam już zmieniać trybu życia, do jakiegom była przywykła. Ale czyż to wina? czyż to grzech? Przykro mi było zestarzeć się nieskosztowawszy miłości, o której czytałam tyle... musiałam odegrać rolę jakąś w tym dramacie, bez którego życie by było niepełne.



Alfred to brał za złe, ale dziwak był nie poprawiony i uic nie znał świata! Pewna jestem że poprzedziwszy mnie, musiał tu coś nagadać, o! to do niego podobne... Pomścił się choć tym sposobem...

Teodor był młody, ładny, rozkochany szalenie, dowcipny, a tak ślicznie i tak dobrym akcentem mówił po francusku i pisał listy tak nieporównane co do stylu i czucia! Kochałam go, nie kryjąc się z tem nawet, ale czyż to mi za wielkie przestępstwo poczytać można? Alfred długo nie domyślał się niczego, byli z sobą jak najlepiej, codziennym gościem mieliśmy go w naszym domu, życie poczynało się uśmiechać, nie mogłam przewidzieć że to wszystko skończy się tak straszliwie.

Niegodziwa Fanny zapłacona czy podmówiona przez Julję zapewne, musiała Alfredowi pokazać kryjówkę, w której składałam wszystkie jego listy: chwycił je, i straszną z tego zrobił mi scenę! A! jaki był brzydki wówczas! nigdy nie zapomnę; wleciał rozjuszony, zajądły, zapieniony z gniewu, błady... trzęsący się... potok najohydniejszych wyrazów wylał się z ust jego: starszy mi się wydał o lat dziesięć, nie mogłam pojąć jak żyłam z tym człowiekiem. Omdlałam z oburzenia, a gdy się ocuciła, dowiedziałam się że Alfred wyzwał Teodora... Ubrałam się czarno, zaczesalam gładko włosy i zamknęłam się w domu, oczekując tego dnia straszliwego, który miał o moim losie rozstrzygnąć... Strzelali się i Teodor go... a! ale nie zabił, nie zabił! Był tylko lekko ranny... prawda że w rok potem umarł biedny, ale nieoszacowany doktor Mier utrzymywał zawsze, że z choroby wątrobowej, nie od tej kuli z którą mógł żyć wybornie, choć się w nim została... bo jej wyjąć nie mogli. Teodor... w tem go nie poznałam, zaraz wyjechał za granicę. Pisałam do niego kilka razy, i wzgardziłam nareszcie, ożenił się nie doczekawszy końca mojej żaloby..

Po drugi raz w życiu chciałam się zemścić na tym niewdzięczniku; byłam jeszcze piękną, wolną, bogatą znowu (bo mi Alfred wszystko zostawił), rzuciłam okiem po ludziach... Chciałam żeby mnie zobaczył odświeżoną, odmłodziła, cudnie piękną, żeby żałował i klął u nóg

moich... byłabym go naówczas odepchnęła z wyrazem oburzenia i wzdargy. Zamiast niego, musiałam wreszcie wybrać Stasia... O! dobrzeż to było chłopię, złote serce! trochę miękki, trochę rozpieszczony, ale taki posłuszny i takie serdeczne dziecko!

Szczerze chciałam pójść za niego, ale los wcale zrządził inaczej, nie miałam szczęścia, a tego mi nie policzono!!

Staś był prawda trochę za młody, obliczywszy ściśle, mógł być synem moim, ale ja jeszcze tak młodo i ślicznie wyglądałam naówczas, że mnie czasem brano za dwudziestoletnią panienkę, garderobiana moja przysięgała mi nato... Staś był zakochany, ja dzieci wyprawiłam na wieś i nigdy o nich mu nie czyniłam wzmianki, już mi zaczynał nawet napomykać o małżeństwie biedny chłopiec, gdy ktoś zawistny dał znać na wieś jego rodzicom... O! ci starzy! oni zawsze szczęście widzą tylko w tem coby je im dać mogło i mierzą je gotową miarą swoją... wlecieli do Warszawy, zabrali mi chłopca, i ostatnia moja miłość zerwała się jak struna wśród koncertu, bez przygotowania, nagle... na wieki...

Kilka tygodni byłam niepokieszona, ale słabość jego charakteru, uległość rodzicom nierozsądna opamiętały mnie, nicbym była z niego nie zrobiła... otrząsałam się z tego dzieciennego przywiązania, zaczęłam znowu szukać dokola siebie...

Już mi się nic nie udawało! Ignęli do mnie to prawda, ale nikt z tych kogobym była wybrała, żenić się zemną nie myślał... radzi byli tylko przyjść, pobawić się, nie wiążąc niczem i odejść gdy się im podoba. To mnie oburzyło!! Usiłowałam wreszcie kogokolwiek serjo rozkochać, starałam się być piękną, pokazać bogatą, błysnąć dowcipem, nic nie pomogło; każdy przychodził, napatrzył się, naśmiał, nadowcipował, zabawił i odchodził obojętny... Domyśliłam się wreszcie że mi moje dzieci musiały tak szkodzić do szczęścia i znienawidziłam je prawie z tego powodu... Nie byłam jednak złą matką... pamiętałam o nich, o ich potrzebach, o nauce, o wygodach... tyłkom nianką i dozorczynią być nie mogła

i nie chciała... Świat uśmiechał mi się jeszcze, niepodobna mi było wytrwać na wsi.

Nie sądziecie jednak żebym już nie była w możności natchnąć gwałtowną namiętnością... ale wszędzie mnie ścigało jakieś nieszczęście, jakaś fatalność... Tu i owdzie zapalałam serca, rozpoczynały się preludja od westchnień i spojrzeń, ale zawsze coś, jakaś nieprzewidziana okoliczność zrywała to w chwili, gdy się rozwinąć miało najlepiej. Temu wypadła podróż, inny zachorował, trzeci został zmuszony mimo woli się ożenić i choć rzucali mnie w rozpacz, ale rzucić musieli.

Jużbym była może z biedy poszła za doktora Francolini, który minawszy to że doktor, był bardzo przystojny i niezmiernie przyzwoity człowiek... gdy nie wiem z czego, podobno z zaziębienia po balu, dostałam lekkiej gorączki, i mimo starań najusilniejszych niezmiernie się zdziwiła, postrzegłszy żem przeszła na świat inny.

Tu się właśnie poczyna najciekawsza część historii mojej; widzieliście żem nie była wcale ciężkimi obciążona grzechami, spodziewałam się tylko lekkiej admonicji, ale anim myślała, żeby mi drzwi nieba przed nosem zamknięto...

Wybiegłam więc w drogę dosyć spokojna, trochę tylko zmieszana że mnie to tak niespodziewanie spotkało... Tknęło mnie to zaraz żem łącząc się z mnóstwem duchów które z tego świata razem zemną zeszyły, nie doznała od nich najmniejszej grzeczności; — szliśmy koleją, nikt mi nie ustąpił z drogi.. Ha! myślę sobie, mniejsza o to, nikt mnie nie zna, gdyby wiedzieli kto jestem *z domu*, byłoby wcale inaczej; okryta więc mojem incognito i spodziewając że się to zmieni gdy staniemy u kresu, szłam dalej.

Coraz jaśniej, coraz jaśniej, stajemy wreszcie u drzwi, ale tu literalnie jak w Paryżu przy pierwszym przedstawieniu opery Mejerbeera, natłok nieopisany, ścisk, tłum... i nikt nikomu nie ustępuje, nikt na nikogo nie zważa; każdy z kolei przychodzi.

Czekam cierpliwie przebiegając myślą życie moje i uspokajając się coraz mocniej, gdy w chwili widzę się

powołaną po imieniu. Złęklam się, ujrawszy twarz surową i poważną, może od znudzenia, bo tyle się nas tam tego dnia meldowało!

Nie potrzebowałam mu mówić ani ktom była, ani z jakiej pochodziła familji i co robiłam na świecie, ten co mnie powołał, zmierzył tylko okiem i wiedział wszystko... Ale żeby też choć prosił siedzieć, choć pocieszające wymówił słowo... nie, wskazał mi tylko ręką drogę smętną którą iść miałam, a którą tłum także zalegał, bo rzadko kto tak był czysty, żeby wprost poszedł do nieba...

Trochę mnie to zaambarasowało... i ośmieliłam się mu powiedzieć... kto byłam z domu... I na to nic, znowu wskazał mi drogę, jeszcze raz otworzyła usta... ale nim się zaczęłam tłumaczyć... tłum ujął mnie i niewidzialna siła pchnęła dalej...

Przyznam się że to zimne przyjęcie kobiety mojego położenia dotknęło mnie żywo... poszłam dalej, do ogromnego kręgu, gdzie ważono dary nasze i czyny, i skąd potem rozsyłano na pokutę.

Jeszcze mi zostawała nadzieja że się choć tu wytłumaczę... ale i tu ścisk, natłok, zamieszanie... Sądziłam że niezmiernie długo oczekiwać mi przyjdzie, gdy tuż stanęłam u wagi.

Ten co dusze ważył, był poważniejszy jeszcze i surowszy... Koło wagi zwijały się jakieś postacie z anielskim obliczem, których chciałam' przekupić uśmiechem, zdawali się tak dobrzy, mili i pełni uczynności! Jeden z nich wnet poprzynosił to co mi Bóg dał przy urodzeniu i w ciągu życia nabyć dozwolił... na oko zdawało mi się wiele, ale stara waga pewnie zardzewiała, niebardzo ciężar uczuła... Liczyłam okiem, zdawało się być wszystko.

Wtem drugi nuż przynosić grzechy moje! Z początku mnie to nie przestraszało, sądziłam że rychło się skończy, ale waga przechyliła się na tę stronę, a oni jeszcze nosili a nosili te mniemane grzechy. Zakrzyknęłam z oburzenia!

Wystawcie sobie państwo, ale to takie powywlekali

mi rzeczy, których nie miałam w pamięci, kilka tysięcy wejrzeń, kilka tysięcy uśmiechów... wreszcie stroiki, stare falbany od sukien... Już nie mogłam wytrzymać, i odezwałam się że w życiu nie popełniłam żadnego grzechu tak strasznego, ażeby mnie kara zań długa i ciężka spotkać mogła...

— Byłaś złą żoną, byłaś złą matką i złą kobietą, rzekł uprzedzony widać przez mego męża psychostata.

— A! zakryłam sobie oczy, ja złą żoną?

— Mąż zginął z twojej przyczyny. Spójrz, masz krew jego na sobie...

Odwolałam się żywo do świadectwa doktora, a tuż widzę go w tłumie: pozwolono mi go wezwać.

— Doktorze! krzyknęłam, tysiąc razy powtarzałeś mi że umarł nie od kuli Teodora... Ale wszyscy aż do doktora który tylko ramionami ruszył, spiknęli się na mnie, śmierć Alfreda ogromnie przeważyla szalę.

— Cóż robi ta stara falbana? zawołałam po chwili.

— Przyszyłaś ją do sukni w złej myśli! odpowiedziano mi.

— A ten bilet koncertowy?..

— Poszłaś na widowisko odstępując chore dzieci żeby się uśmiechnąć do Michała...

Słowem, takim sposobem wygrzebując najmniej ważne uczynki, myśli, chętki, drgnienia serca, gdy je na wagę nakładli, zrobiło się tego tyle, że druga szala całkiem się do góry podniosła... Chciałam mówić jeszcze, gdy mnie już ktoś inny zastąpił.. uczułam tylko, że lecę na pokutę, znowu na świat nasz... zopomnieć mojego życia!

Teraz, kiedy to wszystko rozbieram, nie mogę się wstrzymać od oburzenia na wyrządzoną mi niesprawiedliwość... Julja, Julja, piękna Marja, które miały tuzinami kochanków, łzami się wykupiły, a ja żem płakać nie umiała, dla trochy dumy i charakteru, muszę siedzieć w stoliku! I ani sposobu odwołać się od tego sądu... a! tak tu nudno, tak samotnie, tak upokarzająco... Już mi do głowy przychodziło żeby się gdzie choć od kogo o dzieciach moich dowiedzieć... Niewdzięczność ich mnie

boli, od początku pokuty mojej nigdy myśl żadnego z nich do mnie nie doszła, nieraz westchnienie ludzi obcych błysnęło wśród ciemności które mnie otaczają... a od nich! nie! nie! nie!

W tem miejscu spowiedzi, pookomorzyna poczęła coś szeptać z córką.

— Melanja... to ona... Alfred! jakże!... moglibyśmy jej coś powiedzieć o dzieciach...

Duch czy usłyszał, czy się domyślił, gorąco zapytał...

— A powiedźcie, powiedźcie!

— Ale to cię nie pocieszy niebogo! dodała podkomorzyna, która najmniej ubarwić mogła to co opowiadała. Syn Julek... już stracił co miał do grosza... zdrowie jego złe bardzo, różnie o nim mówią... są nawet dowody że egrywa na pewno...

— A Mimi?

— A Mimi! o! to jeszcze gorzej, zawołała podkomorzyna, co tu obwijać w bawelnę... miała przypadek.. potem, potem poszła za męża za syna ekonoma waszego Parcinkowskiego i wzięli gdzieś dzierżawę... Ale i tego słyszę porzuciła...

Duch milczał uporczywie... a podkomorzyna nawet nie miała odwagi dalej wiadomości o dzieciach mu udzielać... Wszyscy stali chmurni, nie śmiejąc ust otworzyć, a podkomorzy ruszał ramionami i brwiami...

— To być nie może! przerwał milczenie głos ze stolika... Julek, Mimi, oboje tak do mnie podobni, tak starannie wychowani... Mówili po francusku jak paryżanie, Julek już uczęszczał do najlepszych towarzystw i nadzwyczaj się forsował.

— Ale co tu w bawelnę obwijać, zawołała podkomorzyna, która na chwilę za pomniała że miała do czynienia z duchem... waćpani dobrodziejka zapomniałaś, że trzeba im było dać zasady...

Celestyna ruszyła ramionami.

— Droga mamó, nie męczże ją... dosyć już tego... dajmy jej pokój.

— Dajmy pokój, chórem zawołał podkomorzy...

— Dajmy pokój! powtórzył Henryk.

I jabym też chętnie był za tem wotował ale nie miałem głosu, uśmiechnąłem się tylko... spoglądając rychło li przejdzie burza żeby choć pod noc dalej ciągnąć w drogę. Nieszczęściem burza trwała uparcie.

— Możebyś już trzem pozostałym duchom darował... szepnął podkomorzy widocznie znużony...

Pan Henryk tylko ramionami ruszył.

— Ale na Boga papo! to się niegodzi!

— Czas bo pić herbatę... odezwała się podkomorzyna, mnie to wycieńcza, ja się czuję głodną.

— To niech herbatę dają w drugim pokoju, rzekł pan Henryk..

— A któż ją zrobi?

— Ja, odezwałem się z kąta, jeśli to państwu dogodnym być może...

— To jużbym ja powinien, chociaż przyznaję się że wcale do tego nie jestem zdolny... wyjąknął gospodarz, ale możeby żona mego kamerdynera, która czasem przychodzi mi nalewać... spojrzął na podkomorzynę ukradkiem, wyreczyła nas?

— A! Heuryka! ona dobrze robi herbatę! potwierdziła sama pani, myśl dobra... każ jej przyjść...

Ledwie dali rękóm wypocząć magnetezujący, a już pan Henryk wzywał ich znowu do dzieła przedsięwziętego, ale nikt już oprócz Nieklaszewicza wielkiej do niego nie miał ochoty...

Panna Celestyna zdawała się uderzona spowiedzią ostatnią i smętnie zwieszała głowę, podkomorzyna ziewała spazmatycznie, podkomorzy przechałzał się, więcej zajęty herbatą niż duchami, poglądając na drzwi któremi taca i Henryka wejść miały.

Po chwili ów hajduk który mnie wprowadził, wsunął się z dość oblamaną tacą, i rozmaitego kalibru szklankami, i pociągnął do przyległego pokoju, a za nim wskoczyła bardziej niż weszła, śliczna jejmość, typ subretki z uśmieszkiem na ustach i figłami w czarnych oczkach.. Demysliłem się w niej Henryki...

W bieluchnym malutkim czepeczku na ciemnych włosach starannie uczesanych, z noskiem trochę zadar-

tym, różowa, śnieżna, wesola, szyderska gosposia podkomorzego nie zdawała się mieć więcej lat dwudziestu. W swoim rodzaju jako pokojówka była prześliczna, a tak jej było do twarzy w tym stroju skromnym, z czarnym fartuszkim, z czarną na szyi aksamitką, z paskiem który obcisły stanik jej przecinał, że zdawał się dla niej stworzony. Ukłonem pełnym zalotności powitała towarzystwo i ścigana oczyma podkomorzego i Nieklaszewicza, przeleciała do drugiego pokoju...

— No? a cóż idziemy dalej? spytał przewodnik.

— Jak chcesz, odezwała się matka.

— Jak chcesz, dodała Celestyna; a Nieklaszewicz gorąco zawołał:

— A jakże! a jakże!

---

### VIII.

Długo milczał stolik; nareszcie znudzony Henryk począł już głową kręcić i nie wytrzymał a sam się odezwał:

— Ciekawa rzecz, kto tu teraz wystąpi: świeczek, bronz, czy karuk, bo jeszcze pozostały trzy duchy uwięzione w tych trzech podobno stoliczka częściach...

W tem, gdy słów tych domawiał, dał się słyszeć nie głos jak przedtem cichy i niewyraźny w początku, ale żywo i szparko nucona piosenka.

Zdziwiło to niezmiernie wszystkich, piosenka z drugiego świata! nastawili ucha, ale ja com ją także słyszał i trochę pamiętam, mogę zaręczyć, że w niej nie było osobliwego; ułożona była bardzo umiejętnie, może nadto uczono, pełna figlów, nie brakło jej natchnienia, ale nie miała tej prostoty, tej rzeźwości pomysłu, tego rzutu, który w muzyce jest oznaką, że ona poszła wprost z duszy...

Temat był dosyć szczęśliwy, ale jak go wziął nie-



znany śpiewak w obroty, jak począł nim wykrecać, stroić go, ubierać, przerabiać, choć dał dowód niepospolitej biegłości, choć zadziwił, nie poruszył mnie wcale... Piosnka ta nad którą wszyscyśmy stół otoczyli, a nawet Henryka z drugiego pokoju na próg wybiegła, trwała do zdziwienia długo, długo, przechodziła różne stopnie rozwoju, wreszcie żywym *stretto* zakończona, wedle wszelkich reguł obrobiona, zamknęła się dla oryginalności może konając na dominancie...

I już się poczyniała z innego wcale tonu druga w tempie smutnem i powolniejszym, gdy pan Henryk po trosze zniecierpliwiony, zawołał:

— Ale któż jesteś duchu muzyku? i gdzie ci pokutować przypadło!

— A! kto jestem? zaśpiewał recitativem artysta, gdyż nie wątpiliśmy już o jego kwalifikacji... ciekawicie? doprawdy! Nieszczęśliwy! bardzo nieszczęśliwy pokutnik! Siedzę w ćwieczku!

I tak mi zimno, i tak mi ciasno! i tak mi ciemno, i tak mi smutno!

Ja com po dwakroć z duszą artysty przeszedł się po drodze życia, drodze piękna, dźwięku, formy, barwy i harmonji!

— Takżeś zgrzeszył straszliwie, spytał Henryk, że na srogą skazany jesteś pokutę?...

— Zgrzeszyłem! czuję to dziś! musiałem zgrzeszyć, bo sąd ostatni niemylny, ale i kara niedługa... już się przedemną horyzont rozjaśnia, co chwila mniej grube ciemności mnie otaczają, świta powoli, świta, i we mgłach poranku nieśmiertelności widzę już zarysowujące się kształty niebios, do których teskni moja dusza... Niekiedy pieśń cudna, z daleka z falą powietrzną przyplynie do mego ucha... wyzwolenie się zbliża... Aleście chcieli powieści mojego życia? Słuchajcie... Nie był to żywot pospolity i codzienny, grzechy moje nie były grzechami wielu... Nie wiem czy w was znajdę pojęcie i współczucie.

Dawno już temu, dawno, przyszedłem na świat w ubogim domku, pod strzechą słonianą, na posłaniu

ciężkiej rzeczywistości, wśród dokuczliwych jej uścisków, chłodnym jej obwiany oddechem... dzieciństwa mojego nie pomnę, lecz gdym oczy, myśli, otworzył, świat na mnie dziwne robił wrażenie... serce mi biło, oczy drgały, pierś gorączką wzniesiona podnosiła się uczuciem podziwu, uwielbienia, niepokoju i jakiejś potrzeby czynu, których naówczas zrozumieć jeszcze nie mogłem.

Pamiętam tylko, że strugał z patyków posażki, że powtarzał zasłyszane śpiewy, że wszelki papier zarzucał nieforemnymi postaciami rojącymi się po móżgu, którym ręka niewprawna sprostać nie mogła. Objętne mi było wszystko co nie było piękne, co nie mówiło wprost do duszy jedynym jej znanym językiem.. nie rozumiałem prozy życia, a wśród niej rosłem na przekorę.

Nie wiem jak się to stało, ale się rozwinął artysta, choć nic mi nie pomagało, wszystko się przeciwowało temu... Było nas rodzeństwa kilkoro, i dwoje rodziców myślących tylko o powszednim dla nas chlebie; ale Bóg co nie zapomina o nikim, posypał ziarnem drogę, którąśmy dalej iść mieli. Nie znaleźmy dostatku, aleśmy nie spadli w nędzę... jam powoli o chlebie mierności rósł w siły i rozwijał się.. Popęd, który mi się dał uczuć z dzieciństwa, któregom nie rozumiał ani ja ani ci co mnie otaczali, bo go zwano skłonnością do próżniactwa i głupotą, popęd ten co chwila we mnie brał górę.

Dziwiłem się nieraz, że tak mało do drugich był podobny, że mi nic nie smakowało z tego co ich szczęśliwymi czyniło... ale sam sobie byłem nierozwikłaną zagadką. W tym niepokoju przechodzę dalej stopnie po których młodość wiedzie na ostatni szczebel siły. Stałem wreszcie u kresu na którym się sobie mogłem przypatrzeć... byłem artystą!!

W chwili kiedym to odkrycie uczynił, gdym poczuł dokąd iść powinienem, sił mi i odwagi zabrakło. Byłem sam, swobodny, panem swej woli i mistrzem przyszłości.. mogłem uczynić co mi się zdało i pokiero-

wać jak chciałem. Serce wołało ku sztuce, ale rozsądek zimny kazał mi się obejrzeć dokoła.

I zimnem okiem starca począłem się rozglądać w przyszłości, zawczasu ją rachując; a posłannictwa mego i obowiązku zapomniawszy uląkłem się widma męczarni, które potrzęsając kajdanami upokorzeń i zapoznania, blade i wycieńczone stało przedemną.

W tej chwili stanowczej jużem się nie umiał pokierować powołaniem, ale się spętał rozumem i dał mu wieść gdzie mnie lenistwo, spokój i swoboda ciągnęły.

To było wielkim grzechem mojego żywota... Z piersi mej wyrwały się pragnienia dziwne, żądze szlachetne, uczucie ofiary i namiętny popęd ku sztuce, przez którą z piersi miałem wylać wszystko co Pan Bóg w nią włożył.... ale kazał zamilknąć pragnieniu, żądzy, uczuciom, popędom, ze strachu doli ciężkiej, z przecucia nieszczęść, które mnie czekały.

Poszedłem szeroką drogą życia prozy, poziomym gościńcem tłumy, i spojrzawszy na wierzchołek na który drapać się miałem, spuściłem głowę drżąca...

Od tej chwili poczęła się powolna męczarnia, grzech i nieszczęście, których nie przewidywałem, a których zaród był w zapoznanem powołaniu mojem.

Całe życie musiałem w piersi nękać i tłumić łkanie i glosy, które z niej leciały na świat, nieumiejąc języka jakimby do niego przemówiły; całe życie walczyć byłem zmuszony sam z sobą i tęsknić za wieńcem cierniowym, którego włożyć na skroń nie śmiałem...

Zyskałem chleb powszedni, zarobiłem dostatek, miałem wszystkie pozory szczęścia, ale straszliwych doświadczał męczarni. Zabite w duszy trupy wstawały marą, upiorem i szarpały ją dobijając się życia. Byłem jak ojciec co w kolebce pomordował dzieci i krew ich czuje na ręku przez resztę utrapionych godzin. Skazany patrzeć na odwrotną świata stronę, z którą w ciągłej byłem styczności, doświadczałem męczarni

jakiej i Dante w swem piekle nie śmiał wymyśleć, byłem jak duch czysty, któregooby do zwierzęcia przykuto i żyć w jego wnętrznościach kazano.

Drugi świat piękna, sztuki, idei, cała strona szaty, którą Bóg pokrył dzieło swoje, była dla mnie tajemnicą... Wpadłem w tłum co o niej nie wiedział, który się z jej bytu urągał, który mnie ścigał w kałużę, gdym oczy w niebo podnosił.

Na tę chorobę, na to kalectwo własną zadane dłonią, nie było środka, nie zostawało ratunku... poczwary rzeczywistości najbrudniejszej otaczały mnie z szyderskim uśmiechem na ustach, wszystko czego dotknąłem, rozsypywało się w proch i zgniliznę.

A gdy do ucha i ducha doszedł dźwięk czarowny ze świata ideałów, to mi rozdzierał pierś takim żalem, taką boleścią, jaką chyba po nieśmiertelnej ojczyźnie, płakać można!! I ciężkie, tkane żelazną ręką konieczności były dni moje, a cofnąć się już niepodobna, a zawrócić nie można, a poprawić zapóźno!

Czułem piękno i burzyły się myśli we mnie, gdym pierwszego odtworzyć, gdym drugich wysłowić żadnym już nie mógł językiem... Wszystko jak u tego bajecznego króla, życzeniem własnem obróciło mi się w złoto, ale z głodu konać musiałem!!

Myślałem, że ten żywot straszliwy okupi grzech mój, ale się mylił; bo zapoznanie posłannictwa, bo gwałt zadany naturze powołującej nas drogą wyznaczoną palcem Bożym, nie tak się łatwo odpokutować może!!

Rok za rokiem, zółwio, przeraźliwie, powoli wlokło się życie niewyczerpane, a codzien nagromadzonemi popiołami spalonych żądź wyżej i czarniej zasute...

Obok mnie ludzie inni mieli język dla myśli swoich, mieli prawo dobycia z piersi uczucia, wyspiewywali je, barwili, dawali im ciało i ducha... ja jeden jak grób milczeć musiałem...

Ręka, oko, usta, nie słuchały tego, który nie usłuchał słowa Bożego i startł ze swego czoła nieśmiertel-

ne znamie, zabijając w sobie to, czemu Stwórca żyć kazał!! Byłem jak zbrodzień, którego występki pozostał dla otaczających tajemnicą, przymuszony sam dźwigać całe brzemie krwi. Bo gdym zapóźno spowiedzią chciał litość wywołać, śmiech tylko i szyderstwo zyskałem... nikt z tych, którymi mnie los mój otoczył zrozumieć mnie nie mógł. A widząc, że mi stękał i bolał, przynosili mi jadło, napój, zimny uścisk i głupią swawolę, jak gdyby przez użycie, przez nasytanie dusza się wylać i zaspokoić mogła.

Dusiło mnie całe brzemie jakie nosiłem w sobie!! Nieraz łzami gorącymi prosiłem Boga, ażeby mi odjął resztę lat moich, których dokonać nie czułem się w siłach; alem kielich spełnił do dna..

Dokola przesuwali się szczęśliwi w łachmanach, uniesieni w wieńcach z pod których krew płynęła, ci co byli całych krajów, całej ludzkości ustami, ręką, pierśią, tłumaczem, głosem, a jam tylko patrzył z dala, jak ów słaby chrześcijanin, co Boga się zaparł w chwili gdy go do cyrku przez któryby poszedł do niebios, wiedziono. Przedemną jak przed podróżnym w noc głuchą na stepie, co chwila było ciemniej, puściej, straszliwiej... niebo i ziemia zlewały się w jedną czarną całość przepaści.. w uchu drgał tylko szum burzy, świst grozy i szelest śmierci...

Kiedym się po tem życiu jak po śnie ciężkim przebudził na innym świecie, dusza moja poleciała ku strefom jasnym lotem błyskawicy... ale od wrót nieba, pchnęła ją siła niewidoma.

Poszedłem na sąd dźwigając męki moje, a ani jednego uczynku...

— Coś zrobił? spytano mnie.

— Bolałem, odpowiedziałem z jękiem.

— Spełniłeś co ci rozkazał ojciec? zawołał głos groźny.

— Nie, alem nieposłuszeństwo srogo opłacił.

Spojrzałem na szalę... a była próżna, i na dnie jej krwawe lzy moje leżały lekkie, zeschnięte, jak listki jesienne... a ja nic, nic do nich dodać nie miałem!!

Anioł ulitował się nademną...

— Idź, rzekł, na drugie życie, które będzie karą twoją...

Słowa te obity się o uszy moje i jużem uczuł się w kolebce... Kolebka była złota, purpurowe jej zasłonki, miękka pościółka podemną, a powietrze co twarz moję otaczało tak precedzone i ocieplone sztuką, żem w niem spoczywał jak wśród kąpieli letniej... Zasnąłem snem dzieciństwa nabierając sił do nowych życia męczarni... nie wiedziałem jeszcze co mnie czekało, ale w piersi uczułem już żar mój dawny, który mnie palił w dniu pierwszym bytu na ziemi.

A! myślałem w snach mojej miękkiej kolebki... pójdę za głosem Boga... i wyśpiewam co wlał w duszę moje...

Szerzej coraz otwierały mi się źrenice, a nieznany świat jakiś je spotkał. Życie moje nie było podobne do tego z którego wyszedł wrotami śmierci.

Ludzie mi się uśmiechali wszyscy, twarze ich były łagodne, słowa pełne słodyczy, oczy obietnic pełne... matka moja wydała mi się aniołem, ojciec poważną i postacią, pełną twarzą, pociągał mnie budząc zarazem uczucie czci nieopisaną. Żaden dźwięk przykry nie obijał się o ucho moje, żadna groźba go nie kaleczyła, kołysano mnie dobrocią, karmiono pocałunkami. Nie było życzenia, którego by nie spełniono, zachcenia, coby spłynęło z próżnemi łzami..

Ale zarazem byt ten złoty wkrótce mi się klatką złocistą ukazał... nie miałem tej swobody z jaką pierwszą moją przeswawoliłem młodość, nie mogłem nawet myśłą własną pokierować, w tak żelazne ujęło ją pęta wychowanie i codzienne wpływy tych co mnie otaczali. A kiedy biedna myśl dziecienna zbłądziła na manowce, to ją zaganiano z uśmiechem, łagodnie na wyznaczoną drogę, po której iść trzeba było.

Oglądając się wkoło zdumiony, postrzegłem, żem był na całkiem mi nowym świecie, którego zdala nawet widzieć nie mógłem wprzód... wielki dwór ot-

czał nasze pałace, służalców liczyłem secinami, a gdziekolwiek zwrócili się oczy moje, wszędzie spotykałem trzy trąby na piersi czarnego ptaka, godło rodziny, do której należałem, której byłem nadzieją i potomkiem.

Ród mi ten wytykał drogę, którą iść musiałem, niestety, gdy w duszy wrzało pragnienie innej doli i żywota!

Urodziłem się powtórnie... z duszą artysty w pieluchach magnata ..

W życiu mem pierwszym mogłem być artystą a nie chciałem, tum pragnął a nie mogłem wyrwać się z złotego kręgu w którym byłem zamknięty...

Druga część życia cięższą może była od pierwszej, choć w niej skierowano naprzód duszę moją do uczucia piękna, dano jej język, dano słowo, dano środki wyrażenia co czuła, ale powiedzieć co czuła nie było wolno.

Inny los, inne ją czekały obowiązki.... Tylem miał szczęścia co w młodości, kiedy ująwszy mnie w troskliwe ręce, stu najpierwszych mistrzów uczyli tego co tylko znać, ale czegom używać nie był powinien.... Słyszałem jak stary mój nauczyciel muzyki, nieraz wdychając pocichu, szeptał wzruszony. Na coś ty się księciem urodził, jakimbyś był kompozytorem!

Raz przecie przydybałem starego Niemca i uśmiechając mu się, spytałem go gdyśmy zostali sami.

— Dlaczegożby książę kompozytorem być nie miał?

— Dlaczego, odpowiedział mi staruszek, bo ci życie zjedzą cześć, głupie formy, ruchy niewytłumaczone, obowiązki śmieszne a niesłuchanie na pozór ważne, tak że na artystę chwili ci nie zostanie... Będiesz musiał okręcać się w kółku, ani na krok dalej, ani na krok bliżej tam tylko stojąc gdzie cię postawiło urodzenie; a gdy usta otworzysz, zahukają cię śmiesznością. W waszej sferze śmieszność stoi jak w ogrodzie straszdytło na wróble, którego książę niewidziałeś nigdy pono, jest to kawał łachmana, kawał kija i trocha słomy, ale jak wróble tego maniaka, tak świat wasz śmieszności się lęka... A u was artysta jest śmieszny, bo musi wylać

się z duszą swoją, gdy panu ani duszy, ani myśli, ani serca pokazywać nie wolno, tylko tyle ile ich przez otwór zakreślony wyjść może! Zresztą, mości książe, a gdzie znajdziesz czas na sztukę, której potrzeba życie poświęcić, by zostać kapłanem?

— Na cóżby mnie tego uczyli, gdybym użyć nie miał prawa co mi dają? spytałem....

— Na to uczą W. Ks. Mość, odparł staruszek, abys się gorzej męczył na świecie, wszystko pojmując i czując, a na nic prócz ceregielów i formalności nie miał czasu....

Posmutniałem po tych wyrazach staruszka, ale mi się jeszcze świat nie wydawał tak czarno jak jemu, myślałem że trochę mnie straszy, ubóstwo tem swoje smarując.

Tymczasem dusza moja rozwijała się do słońca piękności z tem większą siłą, im popęd jej dłużej był zatrzymany w przeszłym życiu. Wszystkie środki jakimi myśl z człowieka wyskoczyć może, dobre mi były: chwytalem ołówek, pędzel, dłuto, składałem dźwięki i zszywałem słowa nie mogąc się nasycić tem com tworzył, zapominając się w chwilach zachwytu.

A dostojni rodzice smutnie nad głową moją potrząsali głowami, nie śmiejąc się cieszyć tym wzrostem dziecięcia. Rzadki uśmiech powitał otwierającą się duszę, częściej na nie suche padało westchnienie.

— Co z niego będzie? mówił ojciec.

— Do czego to prowadzi? szeptała matka.

I w chwili gdym się puścił drogą moją z całym zapalem młodzieńca, nagle mnie z niej zepchnięto.... Uczulem jakby chłodny powiew w okolo, alem być musiał posłuszny; zdawało mi się że wolne odkradnę godziny, że mi zostaną chwile, w których mi sobą, w których mi artyści znowu będzie wolno przywdziać suknie i duszę.

Ale każdy stan ma swój rodzaj niewoli, a żaden może mniej swobodnym nie jest nad ten któremu wszyscy zazdroszczą.... Bóg doskonale rozmierzył dary i ciężary i za byt materialnie szczęśliwy opłacać każe naj-



cięższem poddaństwie. W tej sferze w której mnie los umieścił, ani sercem, ani rozumem, ani natchnieniem kierować mi się nie było wolno, musiałem iść wytkniętą drogą obowiązku, przyzwoitości, a zboczenie z niej wszelkie byłoby w oczach moich współbraci, rodziny, krewnych, niedarowanym grzechem.

Stan wkładał na mnie obowiązki najdziwniejsze, przykre, nieprzełknięte, ale tak konieczne, że się z nich łzami wykupić nie było w mej sile... A na pozór wszystko mnie jednak słuchało, wszystko się skłaniało przedemną... i ludzie idący pieszo zazdrościli przejeżdżającemu w karecie zdudzeniu, znużeniu i tęsknocie.

O północy jechałem na to co się zwało zabawą, wracałem o trzeciej, a gdym usiadł do fortepianu, godzinę muzyki nocnej, zwano szaleństwem. Matka obawiała się żeby mi nie zaszkodziła bezsenność... ojciec poglądał chmurno na tę, jak ją nazywał, fantazję.

Jeżelim opuścić wizytę lub wyłomał się z przyjęcia odwiedzin dla przepędzenia samotnie godziny sam z sobą, dziwiono się temu jak postępkowi niewytłumaczonemu w mojem położeniu towarzyskiem; jeżelim przeniósł książkę, muzykę, sztukę nad towarzystwo pospolicich choć zlotem obhaftowanych ludzi, odbierałem bury i napomnienia.

Nakoniec nie wiem po wielu wykroczeniach tego rodzaju, książę ojciec wezwał mnie do swego gabinetu i zamknawszy drzwi, z surową naprzeciw mnie stanął twarzą.

— Mości książę, rzekł do mnie, w młodym człowieku wiele się wybacza, ale młodość przejść powinna. Uczono cię muzyki, malarstwa, oswojono z literaturą, nie dlatego żebyś miał być jednym z tych śmiesznych amatorów co czas, pieniądze i pozycją socjalną tracą na dziwaczną namiętność, którą pospolicie zowią fantazją, a śmieją się z niej jak z umysłowej aberracji i ćwieczka w głowie; potrzeba było żebyś W. Ks. Mość znał to wszystko, umiał o kim sądzić, abys wspierał sztukę i nie był upośledzonym z tej strony, ale od tego do jakiegoś zapamiętałego oddawania się sztuce, które

ani stanowi ani przyszłości twojej nie przystoi.... daleko. W. Ks. Mość urodziłeś się może na mecenasa, ale pewno nie na artystę...

— Mości książę! odpowiedziałem z uszanowaniem, a jeśli Bóg uczynił mnie artystą... mamże poświęcić powołanie moje mniemanemu położeniu towarzyskiemu?

— Bez wahania, rzekł starzec, wprzód cię Bóg uczynił synem moim, niż artystą... urodzenie powołuje cię gdzieindziej, i ważniejsze a większe wkłada obowiązki... nie myśl by życie nasze było zabawką i czczą reprezentacją. W każdym społeczeństwie cała jedna jego warstwa nie użyteczną superfetacją być nie może; jako mój syn, jako dziedzic wielkiego imienia, wielkiej majątności, wielkiej sławy twych przodków, nosisz już na ramionach brzemie obowiązku wielkie, ciężkie i najpierwsze. Dać się uwieść sztuce i poświęcić na artystę, byłoby to mości książę toż samo, co zakochać się w garderobianej twej matki i dla niej los sobie zawiązać.

Oburzyło mnie to porównanie, i zawsze z uszanowaniem, ale odważnie ośmieliłem się odpowiedzieć:

— Mości książę, ależ sztuka jest także wielką misją społeczną, a nie czczą zabawką... Przez nią wyraża się nie pomysł człowieka, ale całej epoki, dążność, duch całego narodu, a komu Bóg dał być tłumaczem tej myśli, czy może ją w sobie tłumić, choćby był księciem udzielnym?

Ojciec smutnie się na to uśmiechnął.

— Mój drogi, rzekł czulej, widzę, że ci ten stary szaleniec muzykus głowę zawrócił, ale chciej się przemieścić ze stanowiska ubogiego kompozytora jakim on jest, na własne, a zobaczysz że się mylisz. — Kraj potrzebuje twych usług, możesz i musisz mu być użytecznym u steru rządu, to coś ważniejszego jak pisanie sonat, symfonji i oper... Zdaje mi się dziecko moje, że człowiekowi, twego imienia, nie potrzeba się namyślać gdy ma do wyboru zostać Mozartem lub Kaunitzem!

Odpowiedzi mi zabrakło, ojciec zatrzymał się żeby dać podziałać nauce i mówił dalej:

— Sztuka niech będzie rozrywką ulubioną, nie mam nic przeciwko temu, owszem to ci da na świecie tro-

chę oryginalności, jakąś specjalność, coś co nie szkodzi w towarzystwie.... ale posunąć amatorstwo jej do śmieszności.... byłoby to niedarowaniem. O ile trochę zamilowania zdać ci się może, tyle szalona namiętność zaszkodzić musi. Pamiętaj że miejsce twoje w radzie, u boku panującego, a nie w orkiestrze.

Wyszedłem jak winowajca, któremu przeczytano wyrok skazujący go na wygnanie; w istocie byłem na wieki wypchnięty ze świata w którym jedynie szczęśliwy być mogłem. I ze łą w oku stanąwszy w oknie, spojrzałem na przechodzącego przez ulicę starego mego nauczyciela, który wesolo w podartym fraku szedł na repetycję symfonji swojej do W. teatru... zazdrościłem mu ubóstwa i talentu i szczęścia które w nim czerpał.

Jeszcze czy miał wilgotne od łzy niedarowanej mężczyźnie, gdy mi znać dano, ażebym przywdział mundur i jechał z ojcem na dwór królewski...

Urodzenie dawało mi na nim jedno z najpierwszych miejsc w kraju...

Traf chciał bym znalazł tu przyszlą towarzyszkę żywota, anielską duszę, która jak ja do innego zrodzoną była świata: jak ja czuła sztukę i gotową się jej była poświęcić, a urodziła się na stopniach tronu, ze złotą koroną obowiązków ciężącą na skroni. Los wcześniej ją przeznaczał na towarzyszkę nieznanemu jakiemuś władcy, jako rękojmię pokoju, zapłatę traktatu, węzeł przymierza lub potrzebnego gdzieś sprzymierzeńca; a to przecucie poświęcenia wcześniej jej czoło powiodło smutkiem i tęsknotą. Na wieczorze w Sans-Souci zbliżyłem się do niej, przemówiłem i w pierwszych kilku myślach z ust jej nieśmiało wybiegłych, poczułem duszę o jakiej marzyłem.... Ale mogłem mimo położenia mego pomyśleć ażeby kiedy moją być miała? odpychając to zuchwałe przypuszczenie, cały się oddałem rozkoszy zbliżenia do kogoś co tak czuł, tak widział, tak jak ja tęsknił ku pięknu i ideałowi.

Księżniczka była w istocie rzadkiem zjawiskiem, bo nic nie brakło jej z przymiotów które dajemy wymarzonemu wyobraźni naszej postaciom. Wdzięk twarzy,

ruchu, spojrzenia, piękność nadziemską, serce anielskie, duszę myśli pełną i umysł miała męskiej siły... Rozum nie walczył w niej z uczuciem związany z niem nierozzerwanemi węzły, wyobraźnia nie panowała i nie leżała martwą niewolnicą i serce biło swobodnie i myśl szła sobie pewna. Wszystko w tak idealnej równowadze znajdowało się w tej istocie, jakby Bóg chciał w niej wzór tylko doskonałości ukazać... Ale nikt nie znał tego skarbu, który ja nawet odgadłem raczej niż odkryłem.

Są słowa co lecą niepojęte dla wieku, dla wybranych tylko zrozumiałe; stu ludzi przeszło przed hieroglifami nim je wyczytał Champollion... to co dla innych było pospolitym wyrazem zwyczajnego codziennego bytu, dla mnie stało się objawieniem

Wzrok, wdzięk jej głosu, dopełniał czego nie było w mowie samej, zdziwiłem się światom moim w których myśl jej gościła, i ona zdumieć się musiała, że ja pojął lepiej od innych. Spojrzeliśmy na siebie i przez oczy zamglone chłodem powszednim, wyczytaliśmy dusze nasze.

Jakże tu nie wierzyć w nadziemskie i nieznanne prawa harmonji, wiążące pewne istoty tajemniczemi węzłami? Codzień mijamy obojętnie nie rozpoznając ludzi dla których nie jesteśmy stworzeni; a jedno wejrzenie, jedno słowo nierozłącznie nas wiąże z istotą dopełniającą i wyznaczoną na drugą dla nas połowę...

Ona jak ja kochała sztukę, i jak ja skrepowana dołą, poświęcić się jej nie mogła, tęskniąc jak dusza po raju do zamkniętego jej świata. Jeden stary nauczyciel oboje nas rozwinął, jedną drogą chodziły myśli nasze, jedne mieliśmy upodobania, jeden sąd o wszystkim.

Różniły nas tylko odcienia drobne, które harmonji tej jeszcze dodawały wdzięku; ona poglądała na sztukę ze stanowiska piękna, jam już przeszedł z niego na punkt myśli, celu i ducha; ona chciała by duch i cel były w niej mimo wiedzy artysty, natchnione przez Boga... dane jej jak zapach kwiatom, jak barwa niebiosom, samą naturą ich organizacji; jam pragnął by je dźwigała i popychała do kresu oznaczonego wcześniej

na wytkniętej drodze...

Stało się, żeśmy się oboje przekonali wzajemnie o słabości naszych mniemań i sądów i rozmowa tak zaszła daleko, żeśmy się nie postrzegli jak godzina wybiła o której dwór wchodził... Ochmistrzyni trąciła księżniczkę, ojciec mnie odciągnął na stronę i czarowna chwila przysła jak bańka mydlana.

— Mój drogi, rzekł ojciec, bądźże panem siebie, że księżniczka piękna, miła i pełna talentów, nie idzie zatem żebyś się dla niej na wygnanie narażał... i ściągął na siebie nieukontentowanie pana... Możesz ją wielbić zdaleka jak my wszyscy, ale powtarzam ci, potrzeba być panem siebie zawsze i wszędzie.

Tak jest! potrzeba było być panem siebie! a raczej sługą ceremonjału, który zakreślał życiu kierunek z jakiego wyjść nie miało. Były godziny wesela i smutku, jak były śniadania i wieczory, godziny sztuki jak snu godziny, chwile na wylanie się uczuć, skromne i przyzwoite jak chwile reprezentacji i munduru; z munduru i z przyzwoitości nigdy wyjść nie było wolno.

Z bolem serca pożegnać musiałem staruszka, który mi otworzył pierwsze światy harmonji i dźwięku, i dał poznać ich budowę; ojciec bojąc się dalszego wpływu jego na rozmarzony mój umysł, sownie go nagroził, i kazał usunąć; starcowi łza się zakręciła w oku jak mnie, westchnął i poszedł...

Wybiegać musiałem tajemnie, żeby pocichu, w kątku pocziwą dłoń jego uścisnąć, a żaden złodziej nie wykrada się tak jakem się ja musiał wymykać żeby go czasem odwiedzić.

Staruszek ów co życie całe żył sztuką, jak ryba mieszka w wodzie, który nic nad nią nie znał, i nic prócz niej nie cenił, był typem w swoim rodzaju. Sztuka dla niego była koroną wszystkiego... a pojmował ją tak szeroko, tak potężnie, że sam będąc muzykiem, objawy jej plastyczne, sztukę w słowie, sztukę w barwie, sztukę w ryzie prostym zarówno rozumiał i nią się unosił. Był to prawdziwy kapłan piękna, ubogi, obojętny na dostatek, pełen serca i pewien w duchu, że

z nieczystego naczynia czysty napój wypłynąć nie może. Pamiętam go raz, gdy wielki ale życiem szalonem splamiony artysta, wykonywał przed nami dzieło swoje, jam się unosił, starzec głową potrząsał.

— Słuchaj książę, rzekł w ostatku... to piękne... piękne, nie przeczę, ale jak nawpół pijany i zużyty człowiek utworzyć może co wzniosłego? My słuchacze kładziemy piękno w tę muzykę, w te ramy, które on buduje sam nie wiedząc co składa. Pojmuję malarza jak Fiesole, co modlitwą przypatruje się, co postem się umocni do stworzenia arcydzieła, ale jak pojąć podniesienie ducha w zużytem ciele, w zwalanej jak ta istocie!

Tak starzec ten pojmował sztukę... z powagą, ze drżeniem zbliżając się do mistrzów i w mistrzach widząc wyższe, namaszczone istoty... Życie jego było dla mnie wiecznym przedmiotem zazdrości, nie nad nie prostszego... Izdebka na czwartem piętrze, kilka ślicznych starych rycin na ścianach, stopy nut na podłodze, fortepian w jednym kącie, pulpit i skrzypce w drugim, a w środku wielki, wonny, codziennie świeży bukiet kwiatów. Człowiek ten bowiem i sztukę stworzoną przez ludzi i pierwowzór boski zarówno czuć umiał...

Kwiat, niebiosy, zieloność, drzewa, śpiew ptaka szum wody, wszystko w nim budziło tę świętą tęsknicę niebios, która jest może ostatecznym jej celem. Bo dzieło z po za którego nie wychodzi myśl nieśmiertelności, nie może się nazywać dziełem sztuki.

Starzec mój wszystkimi porami, rzec można wciągał w siebie to uczucie piękna, którego ja pragnienia zaspokoić nie mogłem; patrzyłem nań jak na najszcześliwszą na ziemi istotę. I był nim mój poczciwy nauczyciel... nie wyrównywało spokojowi jego duszy i dobroci serca, a każdy dzień karmił go szczyptą rozkoszy czystej, którą Bóg zsyła tylko wybranym swoim. Dla niego wszystko było tą czystą rozkoszą: widok poranku, odgłos poczciwego uczynku, twarz primadonny, uśmiech dziewczęcia i zapach kwiatu.

Sam jeden na świecie, ze skrzypką pod pachą i uśmiechem na ustach szedł sobie spokojny do celu, który jasno świecił przed nim. Uczucie religijne wzmacniało go jeszcze i codziennemu szczęściu dawało nadzieje wyższe nad nie. Nie znałem człowieka któryby lepiej pojął życie i silniej się do niego uzbroił, miał zmysł wszelkiego piękna, cześć dobra, zapal cnoty, gotowość do ofiary i spokój duszy niezachwiany niczem.

Często śniadał bułką i mlekiem, często grosz zaszanowany oddawał ubogiemu, i śmiejąc się z wywróconych swych kieszeni szedł po suchej kromce chleba oddychać wonnem powietrzem, lub słuchać wesołej piosnki, która mu wyciskała łzy rozkoszy...

Obok jego życia moje otoczone wszystkim co tylko pieniądz i dostatek dać może, jakże było nędznem i pełnem męczarni! jakżebym był ochotnie zamienił je na to śmiejące się i rozpromienione ubóstwo! Zazdrościłem mu! zazdrościłem... ale zazdrość ta była tylko męczarni moich dodatkiem... Próbowałem na różne sposoby urządzić tak godziny moje, by część ich oddać sztuce, i dogodzić pragnieniu które przechodziło w niepohamowaną namiętność, ale na to nie było sposobu. Dzień mój był tak zajęty obowiązkami czczemi po większej części a nieprzełamanemi, że najmniejsza z nich ofiara, dawała mi się czuć natychmiast. Ojciec widząc moje skłonności, tem silniej mnie strzegł, ażebym się im nie mógł oddawać; niekiedy nawet sztychował trochę z mojego artyzmu i w ogóle z literatury i sztuki wskazując, że one nie są czem mi się zdawały, że ostatnie słowo ludzkości poza ich granicami leżało. Musiałem z duszą pełną dźwięku i poezji, siedzieć nad Vatel'em i Grotiussem, nad Sau'em i Sismondim gotując się na przyszłego administratora, na dyplomata, na jedno z wysokich stanowisk krajowych, które mnie czekać się zdawały.

Położenie nasze u dworu dzięki związkom krwi jakie nas z nim łączyły oddawna, zabiegom ojca i sprzyjającym okolicznościom, dawało najświetniejsze nadzieje... a! jabym był może wolał niełaskę i wy-

gnanie, gdyby nie ta anielska istota, do której codzień przywiązywałem się więcej.

Mamże wam po kropelce liczyć wszystkie życia boleści?? Któż je ze mną poczuć zechce? Najdziwniejszym zbiegiem okoliczności, to o czym myśleć zdawało mi się zuchwalstwem, szczęście którego pragnąłem najbardziej na ziemi, zaświeciło mojemu życiu, ale nierychło, ale okupione niejedną łzą ukrytą... i przyszło po to tylko, by mnie uczynić we dwoje nieszczęśliwym i na wieki nadziei nawet wylania się pozbawionym. Ona i ja cierpieliśmy na jedną chorobę, jedno mieliśmy upodobania i zarówno skrępowani, kradliśmy tylko rzadkie przyjemności życia...

Zostałem rządcą w obszernej części kraju, a z dostojnością tą i jej obowiązkami, reszta mojego czasu i swobody umysłu uleciała! Od rana do nocy musiałem być urzędnikiem któremu sumienie ani się wyreczyć ani odpocząć nie dozwala; reprezentować, przyjmować, mówić o nicach, podpisywać drobnostki... a gdy najpiękniejsza myśl przychodziła mi do głowy; ukion ją we dwoje rozcinał lub wyjście do salonu zabijało. Oboje nie byliśmy panami życia z którego tylko okruchy drobne pozostawały dla nas, a każda ubiegająca czczo i daremnie godzina niepowrotna napełniała serca goryczą...

Wiek zamiast stępić namiętność nieugaszoną, podsycał ją tylko i gwałtowniejszą czynił; smutek wśród szczęścia pozornego stawał się głębszy i nieprzeparty... a myśli zamknięte jak w klatce w piersi której mi otworzyć nie było wolno, szarpały nią tyrańsko.

Wszelki inny popęd zrodzony z ciała i zgnilizny, czas trawi i gasi, ale nie duchowe pragnienie, które się wzmaga, rośnie, potężnieje... zabija!

Byłem jak niemy którenby w duszy wyśpiewał poemat cały, a podzielić się z nim nie mógł; gorzej, bom wysnuć nie potrafił, to co mi się tylko w snach i na jawie marzyło.

Wiele jest jeszcze w świecie nieznanych, nieopisanych, nietkniętych skalpelem boleści, z których nikt



się nie spowiadał, lecz nie wiem czy może być straszniejsza nad moją. A jednak i tą nie okupiłem przeszłego żywota... a w nowym nagromadziłem grzechów nowych, za które jeszcze czekała mnie pokuta.

Gdym z cielesnej powłoki uleciał znowu w świat zaziemski... zdziwiłem się, wśród grzechów zobaczywszy... partyturę mojej opery...

— Ale to najczystszy płód mojej duszy! zawołałem, to jej krzyk do Boga!!

— Tak, odrzekł psychostata, ale wiesz-że ile twych obowiązków opuściłeś pisząc duety i finały do Fausta twego! Na piersi twej teraz leżało brzemię wielkie, nigdyż nie zabyłeś o niem dla dogodzenia namiętności? Każde życie ma swoje obowiązki i ciężary... co w jednym może być zasługą, to w drugim będzie grzechem... Pieśni artysty słuchają Bóg i ludzie, ale ty miałeś prawo być artystą, gdyś był powinien myśleć o powierzonych ci obowiązkach, o chlebie powszednim ludu, spokoju, bezpieczeństwie... i środkach dźwignienia ku Bogu tego co go jeszcze nie widziało?

Zamilkłem, skinął duch i dusza moja poszła na pokutę znowu... której ostatnia wybija godzina...

To mówiąc, duch począł pieśń cudną, ale jej dźwięk rozlał się w powietrzu, uchodził słabo... i po chwili uciekł gdzieś w obłoki.

---

## IX.

Zasłuchani, siedzieliśmy każdy na swoim miejscu i nie taję się, że spowiedź ksiązęcego ducha większe na mnie zrobiła wrażenie, niż wyznania żebraka... To-warzysze moi mniej może uczuli ją i zrozumieli ode-mnie, ale i na nich ten śpiew cichy, żalu pełen, boleścią przejęty wywarł wpływ widoczny... Pan Henryk zadumał się głęboko, panna Celestyna wzdychała, pani

podkomorzyna choć spoglądała na stolik z herbatą, kiwała głową bardzo czule. Nieklaszewiczowi rumieniec wystąpił na jedną połowę twarzy, a podkomorzy to ramionami ruszył, to gębą wykręcał nie śmiejąc się odezwać. Z za drzwi drugiego pokoju zdumiona twarz subretki występowała pełniejsza ciekawości, rozdrażnienia, podziwu, niż rozczulenia i współczucia.

Co do mnie, przyznam że udawałem obojętnego, ale z nałogu tylko; przywykły kryć się ze wszelkim objawem uczucia, które w biednym pisarzu uchodzi za komedję lub targowanie oryginalności, nie pokazywałem po sobie, ile mnie obeszły cierpienia nieszczęśliwego ducha, tak blisko spokrewnionego ze mną, nie krwią... nie mam bowiem szczęścia należeć do żadnej rodziny książęcej, ale powołaniem.

Wymogłem nawet na sobie, że poszedł do okna niby przechodzącej już przypatrzeć się burzy... Wieczór był malowniczo piękny... jedna strona niebios jeszcze okryta siwym, błyskawicami poszarpanym obłokiem, druga wśród jaskrawo oświetlonych chmur już jaśniała słońcem zachodzącym wśród najdziwniej ubarwionego nieba... Tęcza, lazururowe i śnieżyste pola... wszystko tam było razem, aż do zielonych dymów najrzadszych w powietrzu, aż do purpury, do złota i nieopisanych świetności, które Bóg stwarza na podziw ludziom, a na które ludzie patrzeć nie chcą.

Przyszło mi to właśnie na myśl patrząc przez okno na ten horyzont tak przystrojony, ile tak piękności gaśnie niepostrzeżonych, za które nikt uwielbieniem, modlitwą, spojrzeniem nie podziękuje, w chwili nawet gdy pierś wzdycha tęskna za czemś niepochwycionem i pragnie pokarmu. A! karmim bo się jak Chińczycy jedzący robaki, ślimaki, węże, psy, koty i gniazda jaskółek, szukając strawy dziwnej byle nowej, a odpychając zdrową którą nam sam Bóg przygotowuje. Biegniemy za niepochwycionem, a gardzimy tem co pod nogami leży. Ileżto rozkoszy traci człowiek w życiu przez zły kierunek wyobraźni, umysłu, przez serca ze-

psucie, gdy tyle ich omija świętych, prostych i każdemu dostępnych.

Tak dumałem naprzeciw okna, myśląc już kazać konie zaprzęgać, gdy pani podkomorzyna podała mi rękę do herbaty już w drugim pokoju dla nas nalanej, około której ze skromną a figlarną minką stała pod czarny fartuszek ręce założywszy gosposia podkomorzego.

Poszliśmy wszyscy, nawet Nieklaszewicz któremu najtrudniej było ręce od stolika oderwać, bo był prawie wrósł weń, a twarz jego dziwnie wywrócona i rozplamieniona dowodziła, że nie był nieczułym słuchaczem ciekawych spowiedzi, które pan Henryk tak żarliwie wywoływał.

Milczeliśmy dosyć długo mieszając herbatę w filiżankach niegdyś herbowych, a dziś pootłukanych i wytartych tak, że na niektórych tylko pawi ogon i część dewizy familijnej dostrzegać się dawały. Godło to niesłychanie zagadkowe składało się z jednego tylko wyrazu który tłumaczyła zapewne jakaś legenda średnio-wieczna... Z kolei zbierając litery po wszystkich filiżankach, wyczytałem:

### NUNQUAM.

Studzy to wykładali jakem się później dowiedział, Niunka i stosowali do podkomorzego który władzę i majątek skutkiem niunkowstwa swego abdykować musiał.

— Wiesz waćpan dobrodziej, rzekł stary fanfaron po chwili z pod oka poglądając na Henryka... to prawdziwy cud te gadające stoliki... gdybym nie widział, nie słyszał i nie znudził się, tobym na honor, ma foi nie uwierzył.

— Ale jakże się można było znudzić? zapytał Henryk oburzony.

— Najprostszym sposobem! Co mnie obchodzi prosię cię, jakiś tam chronolog, niedowarzony poeta, który jedną tylko odę pamiętną wyśpiewał, jakaś tam jejmość, jakiś żebrak i poroniony artysta...

— Jaktó, papa nie uczuł dramatyczności jego wyznań? przerwała panna Celestyna naczytana francuzkiemi romansami, mnie to poruszyło do głębi.

— O! to też moja duszko, zawołała podkomorzyna zaledwie mówić mogąc, tak pełne miała usta sucharka, tobie o poruszenie nietrudno! ciebie ten sentymentalizm zabije!

— Nie ona temu winna, wystąpił w obronie brat... wszyscyśmy tacy w terażniejszym wieku...

— I dobrze wam z tem! zawołała podkomorzyna... wszyscyście do niczego, co się zowie do niczego; nudzi zabawa, ludzie, wy sami siebie, życie, miłość, i nie wiedzieć co z wami zrobić.

Pan Henryk uczuł się w obowiązku ten fenomen filozoficznie ułożyć.

— Ale bo, rzekł, kochana mamó, ludzie są inni, świat się jeszcze do ich potrzeb nie zastosował, jest to chwila przejścia.

— A to niechże przechodzi! zawołała doń żywo podkomorzyna, od czasu jak o przejściu słyszę, jużby powinno być daleko.

— Cierpliwości, kochana mamó, uśmiechnął się pan Henryk.

— Daj mi pokój, ja już nowego porządku rzeczy pewnie nie zobaczę, i to mi wszystko jedno.

Syn był tak grzeczny, że dłużej matki nawracać nie chciał, ruszał ramionami, kiwnął głową i wziął się żywo do herbaty.

— No, bądź co bądź, dodał podkomorzy, a możemy się pochwalić, że dzisiejszy eksperyment nieźle się nam udał!

— Nieźle, excusez du peu! a to cud, ni mniej ni więcej!

— Cud! powtórzyli wszyscy, prócz Nieklaszewicza który nos i usta do filiżanki schował żeby się nie odzywać.

— Cud który jeszcze się powinien powtórzyć, żeby nam dwa duchy ostatnie żywoty swoje opowiedziały.

— A broń Boże to będą znowu jacy nieszczęśliwi

artyści, albo co gorzej filozofowie... i do tego gaduły... to gotowe się Bóg wie jak długo pociągnąć! zawołał przestraszony podkomorzy...

— Przecież papie uprzykrzonemi gośćmi nie jesteśmy! rzekł Henryk.

Podkomorzy spojrział na subretkę, ale gorąco przeciw niegościnnosci zaprotestował.

— Jeślim powiedział to nie dlatego pewnie żeby tych miłych gości się pozbyć... na Boga, ma foi, dawno ich w Monplaisir nie miałem... ale znużeni być musicie...

— Ja tylko rozłakomiony! zawołał syn.

— Ja podzielam uczucie Henryka! szepnęła panna Celestyna — nie codzień się trafi zajrzeć na tamten świat drugi.

— Przyznam się, przerwał podkomorzy, że też dotąd nie wieleśmy się o nim dowiedzieli.

— Ba, rzekł Henryk, poczekajcież państwo, możemy w końcu duchów spytać o co się nam podoba, kazać im prorokować przyszłość, zgadywać tajemnice...

— Doprawdy! toby było zajmujące!

— Kończmy tylko herbatę! naglił Koryfeusz...

— Ale zmiłuj się, odezwała się matka, druga filiżanka...

— Henryko! nalewaj, a prędko!!

— Tylko zmiłuj się Henryku, dodała schylając się ku niemu siostra, sam sobie nie przywłaszcz wyroczni, pozwól i nam z niej korzystać.

— Kolej! wszyscy! zaczynając od dam! zawołał pan Henryk.

— Ja moje kolej odstępuję komu się podoba, odezwała się podkomorzyna, a nawet siedzenie przy stoliku odstąpiłabym Henryce...

Gospościa się zaczerwieniła, syn oburzył.

— Kochana mammo... toby mogło wszystkie szyki pomieszać, inne warunki i inne działania i stolik gotówby przestać mówić... a jeszcze mamy dwa duchy...

— Jeszcze dwa duchy! mnie się zdawało że już jeden tylko! ziewnęła podkomorzyna...

— Dwa! liczę dobrze..., w klajstrze jeden, w bron-  
ziku drugi siedzi...

Gdy to mówiono, herbata się skończyła, a Nieklaszewicz pierwszy otwarłszy usta, ukłoniwszy się nisko, wyniósł do pokoju w którym stał stoliczek i zasiadł na swoim miejscu; za nim pegoził pan Henryk, poszła panna Celestyna, jam się także wysunął, a nareszcie z westchnieniem jak do ciężkiej pańszczyzny dała się ściągnąć i podkomorzyna.

Gospodarz na chwilkę szepcząc coś, może o wieczery Henrycie, przystał trochę, ale i on wkrótce się we drzwiach ukazał.

Niecierpliwy pan Henryk już był w pozycji, którą Nieklaszewicz jeszcze przed nim zajął i wnet poczęło się tajemnicze działanie.

Ale po herbacie szło ciężej jakoś i powolnie, w milczeniu oczekiwaliśmy głosu nastrojeni do niego ostatnimi wyznaniem książęcego ducha, gdy stolik się zakłósał, podkomorzy zżymnął ramionami, jakby już z tego źle rokował o przyszłej spowiedzi, ja nieco się zbliżyłem.

— Kto jesteś duchu? zawołał pospiesznie pan Henryk.

— Filipek, proszę Jaśnie Wielmożnego pana!

Na te słowa bardzo wyraźnie wesołym dość głosem wymówione, wszyscy ostąpieli, z drugiego pokoju nadbiegła piękna subretka, a podkomorzy przyskoczył do stolika, wołając:

— Co? co?

— Filipek do usług Jaśnie Wielmożnego pana, powtórzył głos raz drugi.

— Co u kata? albożes umarł? zapytał sam gospodarz.

— A! umarłem! proszę Jaśnie Wielmożnego pana! już musi być temu dawno, bo mi tu w tej dziurze wiekiem się wydaje pokutowanie.

— Gdzie siedzisz?

— W klajstrze!

— Otóż się popadł! rozśmiał się pan Henryk, ale opowiedzno jak to się stało?

— Zaraz, proszę Jaśnie Wielmożnego pana, bo też i rad jestem, że się odezwać mogę, takem się już wymilczał... Jaśnie Wielmożni państwo mnie znali przecie, że nie byłem złym człowiekiem... jak Boga kocham, nie gorszym od drugich, a ot przyszło tak okrutnie się męczyć!

— Ale bośmy waści dawno z oczów stracili, odezwał się stary, rozpovedzno porządnie, jakie cię tu licho zepchnęło...

— Ot! szczęście, proszę pana, odpowiedział Filipek... Państwo mnie przecie pamiętają, nie było człowieka, żeby mu się tak wiodło jak mnie. Pan Bóg mi się dał urodzić szlachecko to prawda, ale tyle też wszystkiego: przyszedłem na świat goły jak palec, sierota, bez opieki i powinienem był zginąć... ale dołem miałem osobiwszą. Już to państwu wiadomo, że z kuchty u Jaśnie Wielmożnego podkomorzego, zem się aplikowałem...

— Do rądlów... poszepnął ktoś...

— Do książek i do usługi, mówił duch, przyszedłem do kredensu, wyrosłem z popychadła na lokaja, na kamerdynera, na pisarza prowentowego i na ładnego wcale chłopca. A także jakoś byłem śmiały, że głowa mi się zawracała od nadziei, wysoko patrzałem bardzo... to mnie zgubiło.

— Jakto, zgubiło? zapytał podkomorzy.

— A oto niechno J. W. pan posłucha jak to było; żeby mi się nie tak wiodło, nie byłbym sobie tyle grzechów nazbierał... Zostawszy prowentowym pisarzem z kuchty, a mając za nadrą papiery szła heckie, zdawało mi się, że powinienem zostać najmniej komisarzem, i porzuciwszy dom państwa, poszedłem naprzód na ekonoma. Domyślałem się także, zem się powinien bogato ożenić, i tak wszystko com tylko zamarzył, do joty mi się spełniło. Naprzód dostała mi się ekonomja, a! jaka! folwark wyborny, dziedzic o sześćdziesiąt mil, mój poprzednik tak kradł, że choć i ja niczgom się żywił, jeszcze za ekstra uczciwego mogłem uchoździć, słowem złote jabłko! sprawilem sobie najdyczanke, cztery siwe konie, kapelusz, przyjąłem służącego,

ubrałem furmana, nauczyłem się grać w preferansa i chłopom pod karą najsroźszą przykazałem się nazywać panem rządcą.

Tymczasem rzuciłem okiem po okolicy, czy gdzie panienki nie napatrzę; a tuż pod bokiem siedziała jakby się dla mnie urodziła... Była córka dzierżawcy, który na starość kupił sobie trzech chłopków, gospodarzył i zmarłszy jedynaczkę z matką zostawił... Choć część ta była wcale nie zła, ale kobiecie rady sobie dać nie mogły, zadłużyły się, żydzi opadli, Abraham stał się plenipotentem i kiedym pierwszy raz przyjechał, już nad nimi administracja wisiała... Panna była śliczna jak lalka, gospodyni co się zowie, imię piękne, speranda sukcesji po wuju, który mógł lada dzień umrzeć i całą wieś zostawić, bo już na astmę zapadł... a kawalera ani jednego. Ja tedy w konkury, a naprzód niedoimkę z kieszeni zapłaciłem i od administracji uwolniłem cząstkę, potem nuż się przysiadać; nawet trochę kłamałem przed nimi, że niby coś naksztalt dzierżawy trzymam... Kobietom gwałtem potrzeba było opiekuna, oświadczyłem się, przyjęto, przyspieszam ślub, żenię się...

— E he! pomyślałem sobie zaraz, kiedy tobie Filipku idzie tak jak po maśle, tylko zażadasz, to i jest, bądźże serce śmielszy i nie kontentuj się lada czem. Tak też zrobiłem, i najtyczankę sprzedawszy, koczyk sprawuję, lokaja przyjąłem, i całąm gębą pan. A cóż proszę JW. pana, w pokojach napatrzyłem się jak panowie chodzą, siadają, jedzą, mówią i milczą, tom małpować potrafił, nawet siud tud i francuzczyzna mi się odbijała... Z daleka ani by mnie kto poznał, żem rądle czyścił... W pół roku po ożenieniu, buch, wuj umiera, i sukcesja sama do rąk idzie... E! tu już żartu nie ma, kiedy pan to pan! Słuchajno Filipku kochanie, mówię sobie, nazwę cię czterema literami, jeśli nie pójdziesz daleko... widocznie ci się doła śmieje, a no śmiało!...

Zadarłszy tedy nosa ruszam; a żonę miałem potulną jak gąskę, pocziwą, łagodną, i jeszcze gdyby nie



to, że ciągle stękała, wyśmienitą. Ale miała ten jeden defekt, że co chwila wołała: nieszczęście! i lamentowała nieznośnie choć nie było czego. Żonie choć nie grała, sprawiłem fortepian, kocz, pięć koni, liberję. Dom wystrychnąłem z pańska i niktby mnie ze starych kolegów nie poznał. Jedno mnie jadło tylko, bywało, to, że jak wspomnę na kuchnię, rądel i pochodzenie, kwaśno i straszno, żeby mi tem kto w oczy nie rzucił. Nie miałem odwagi i sam się do tego przyznać, bo przed żoną taką sobie ułożyłem historję, że się ani domyślała mojej kreacji. Takem pana udawał, mogę się pochwalić, że i prawdziwych zwodziłem; ale trochę sprytu, czy to tak trudno! A jednak długo bardzo ze snu się budząc, to zamyśliwszy się, zrywałem się czasem mając na ustach:

— Co pan każe... Szczęściem nigdy mi się dotąd nie wyrwało.

Od tego wszystkiego głowa coraz się więcej zawracać zaczęła, i trochę się zrobił ostry dla ludzi... trochę ciężki dla żony, trochę przykry dla teszczy.

Tymczasem wszystko szło, szło, kleiło się jak z płatka: lata urodzajne, zapasy wzięliśmy wielkie, kapitaliku trochę, owych trzech chłopów sprzedałem i drugą wioskę kupiłem na swoje imię. Byłem wcale bogatym człowiekiem i w miarę jak w kieszeni przybawało, takem się zmienił, że sam nie poznałem siebie.

A taki jak kto głośno krzyknie, lub drzwiami stuknie, zawsze to nieszczęśliwe:

— Słucham JW. pana! na myśli. Gniewałem się na siebie i rady na to nie było.

Ale trochę się zebrawszy na odwagę, i z Jaśnie Wielmożnemi buszowałem sobie, a że byłem gościnnie, grzeczny i pieniądze się mnie trzymały, wszędzie wstęp miałem i poszanowanie.

W lat pięć zdarzyło się nabycie za bezcen, interes złoty, kupiłem trzecią wioskę.

— Co ty pleciesz, Filipku? zawołał podkomorzy.

— A! jak pana dobrodzieja szanuję prawda, rzekł duch, trzecią wioskę, dwieście dusz i w jakiej ziemi! Stałem się całą gębą panem, to też i przystąpić już do mnie było trudno! Zacząłem myśleć o marszałkowstwie lub deputacji.

— Kto? ty! ruszył ramionami podkomorzy.

— Ja! ja! JW. panie! a co to święci garnki lepią, czy tobym ja marszałkiem być nie potrafił? wołałbym służyć powiatowi całemu, niż jak dawniej z przeproszeniem, jednemu JW. panu! Wiedziałem, że ze mnie kontenci nie będą, ale i tom wiedział, że mnie drugi raz wybiorą, bo nie każdemu chce się urzędować, traścić, w domu nie siedzieć i obiady dawać... a krzyki znosić. Na pierwsze wybory pojechałem z kuchnią.

— I z kuchcikiem! rzekł podkomorzy pocichu.

— Dałem obiad, mówił Filipek, postawiłem pięćdziesiąt butelek szampana, popiliśmy się do serdeczności, wycalowali nadzwyczajnie, jeden omackiem wracając odemnie nogę złamał, drugi głowę przy świecy osmalił cygaro zapalając, a ja zostałem wybrany marszałkiem...

— I byłeś nim? zawołał podkomorzy.

— Przez sześć lat, JW. panie! odparł Filipek, a takim marszałkiem, że jeszcze mnie dziś wspominają....

— To nie sztuka, zagadnął podkomorzy, każdego wspominają byle go niestało.

— Może być JW. panie, ale ja taki byłem co się zowie dobrym urzędnikiem, jeść i pić dawałem suto, kłaniałem się, całowałem, ścisakałem, pochlebiałem i choziem nic zresztą nie robił, bo sekretarz mnie wyręczał, byłem ulubieńcem powiatu... Dalibóg na wszystko najwięcej tak sprytu potrzeba, a resztę wmówić można ludziom poczawszy od poczciwości, aż do rozumu. Jedna rzecz tylko, przyznam się męczyła mnie i życie całe i szczególnie w czasie urzędowania mego: bagatel, wstyd powiedzieć, ale tak przykra jak zмора.. Bywało ktokolwiek w domu czegokolwiek zawoła, zawsze mam ochotę zerwać się i odpowiedzieć:

— Słucham jaśnie panie!

Musiałem się kasać za język ustawicznie, żeby się nie wyrwać ze starą służbistością moją; a jak mnie to męczyło, wypowiedzieć trudno. Jużem był nabrał i miny i fantazji pańskiej i rozpierałem się po krzesłach i kanapach, czasem nawet z nogami, a byle kto krzyknął, podaj wody! lub co podobnego, wiecznie miałem na języku to utrapione:

— Słucham jaśnie panie!

Jeszcze mnie to gorzej niepokoić zaczęło, gdy mnie raz żona spytała, dlaczego przez sen odzywam się co kilka minut:

— Słucham jaśnie panie!

Rozśmiałem się z tego, ale mi to gorzko przełknąć było.

Wszystkoby to jakoś może było się połatało, gdyby nie przykra okoliczność, która mnie pozbawiła życia, jedyne nieszczęście jakiego doznałem, ale straszliwe.

Byłem panem kilku wiosek, marszałkiem powiatu, ulubieńcem współobywateli i osobą ze wszech miar poważną, nieprzyjaciół tak prawie jak nie miałem; utylem, wyokrągląłem i błogo uśmiechałem się do przyszłości niekiedy umyślnie spoglądając w nizinę z której wyszedłem, a nawet coraz rzadziej, słucham jaśnie panie, nawijało mi się na usta, gdy licho mi naniosło szerepetkę, człowieczynę, włóczęgę, który mnie do grobu doprowadził. Oj! nie ma najmniejszego robaka, któregooby się bać nie było potrzeba, im mniejsze, to tem gorzej kasa.

Jeszczem urzędował, gdy przyszło mi za niedoimki nagromadzone przez nie wiem wiele lat, wziąć w administrację kawałek wioszcyny niejakiego Wałdaj'a. Długi, dłużki, rekrutowe, podatki, i różne tego rodzaju należności przechodziły wartość części, która za nie odpowiadać miała. Gdy przyszło podpisywać rozkaz wzięcia w administrację, sekretarz mój zrobił mi kilka uwag i szepnął, że Wałdaj był bardzo niebezpiecznym człowiekiem. Widzi pan marszałek, rzekł, że od lat dziesięciu należało mu zabrać wioskę a jednak nikt się na to nie odważył...

— No! to ja się odważę, zawołałem w uniesieniu.

— Ale JW. marszałek będzie miał nieprzyjemność.

— Co mi tam! widzisz waćpan, że to nieuchronne, zwlekać niepodobna...

— Ale Wałdaj wyzwie...

— Nikt się nie pojedynkuje za to co robi w życiu publicznem...

Ucieraliśmy się trochę z sekretarzem, ale on widząc, że mnie nie przekona, bo mnie licho jakieś niosło na tę skałę o którą się rozbić miałem, zamilkł, jam podpisał papier i zapomniałem o tem szczęśliwie.

W kilka dni, jeden, drugi, trzeci, przychodzą do mnie z zapytaniem, czy to prawda, że m cześ Wałdaja poddał administracji; ten i ów, dziwią się odwadze, aż i ja sam uczulem, że m nie znając człowieka, trochę się pospieszył, zacząłem o niego rozpytywać i po trochu dowiedziałem się co był za jeden; z dependenta przy sławnym mecenasie T... sam później plenipotent kilku drobnej szlachty, gracz, opiwosz, pojedynkowicz, zresztą człek szerokiej gęby ważył się na wszystko — ot, jak mi odmalowano Wałdaj'a. Cały powiat miał go z pozwoleniem za łajdaka, ale się go bano jak rozbójnika, bo komus tam na rynku plecy kijem przekroił, drugiemu pięć palców na policzku wycisnął, do trzeciego był strzelił i choć chybił, ale nastraszył śmiertelnie, tak, że owa zwierzyna chorowała lat dwa potem; oprócz tego regularnie miewał najmniej jedną awanturę każdego kontraktów lubieńskich, i co rok odsiadywał gdzieś grzechy...

Koniec końców gdy administrację przyszło komus oddać, nikt jej za nic przyjąć nie chciał, i ten tem, ten owem wymówili się, aż dopiero osobisty nieprzyjaciel Wałdaja, niejaki Karpuńko ekskapitan, który już miał kilka spotkań z nim i różnego w nich doświadczył szczęścia, podjął się administrować. — Byłem tak nierozważny, że w niedostatku innego, Karpuńkowi oddałem administrację.

W tydzień pan Wałdaj, który jeździł gdzieś na jarmark Berdyczowski i leżał w drodze dwa tygodnie

bo go wracając konie potłukły, zjawił się u mnie obwiązany, bo miał jeszcze na twarzy ślady ostatniego przypadku. Ogromny, barczysty, bakembardy czarne, wąs za ucho, ręce pod boki, mina zamaszysta. Zimno mi się trochę zrobiło, gdy mnie za rękę wzięwszy ścisnął ją w swojej łapie niedźwiedziej.

— A co to? słyszę JW. pan moje wioseczkę kazał oddać w administrację?

— Ale bo pan nikomu nie płaci?

— Nie płacę! ale mam pignus responsionis, co u kanta! nie płacę dziś, to zapłacę jutro...

— Tyle lat.. zresztą, nie ja, ale prawo to rozporządza.

— E! gadaj pan sobie zdrów panie marszałku... to robota Karpuńki! ja się na tem znam... krótko mówiąc, czy panu spokój nie miły?!

— Jakto? zawołałem, pan śmiesz grozić urzędnikowi?

— Co tam, urzędnikowi! dziś urzędnik, a jutro taki obywatel jak i ja, a może gorszy... Pan chce wojny ze mną?

— Ja do pana nic nie mam, tu idzie o wioskę nie o pana!

— Tere fere! pogadaj wyraźnie panie marszałku! zawołał Wałdaj, uwolnisz od administracji, czy nie?

— Zapłać pan niedoimkę!

— Zapłać pan za mnie! ja to panu oddam jak będę miał... he? nie?!

Ruszyłem ramionami.

— Nie uwolnisz pan z pod administracji?

— Nie mogę.

— No! to bywajże zdrów pisaj do mnie na Berdyczew i trzymaj się dobrze, bo ci takiej kaszy nawarzę, że się nią udławisz!

To mówiąc, włożył czapkę na głowę, odwrócił się, drzwiami trzasnął i wyszedł. Złość mnie wielka chwyciła, ale i strach niemały, byłbym się zawrócił z lichem, tylko wstyd już się cofnąć. Ludzie patrzą... wioska poszła w administrację, a Wałdaj'a ani słyhu.

Strachy na lachy, myślę sobie, nic z tego nie będzie... Tydzień, dwa, trzy, cztery... a tu i wybory się zbliżają, a do powiatowego miasteczka zwołują na rugi przedsejmikowe. Jużem był o Wałdaj'u zapomniiał zupełnie, gdy właśnie przy największem zgromadzeniu szlachty u mnie, gdzie powiat był całuteńki, Wałdaj wchodzi z miną buńczuczną.

— A co, panie sekretarzu, woła nie obracając się do mnie, i mnie tam połóżcie na liście wotujących, choć wioskęcie mi zabrali cha! cha! wylezie wam bokiem ta administracja!

To mówiąc chwycił pierwsze krzesło z brzegu, siadł i rozparł się szerkko, dobył z kieszeni cygara, zapalił, spojrział na mnie z ukosa i kiedy nie krzyknie na całą gębę:

— Filipek! szklankę wody!

Trzymałem się nogami i rękami krzesła, ale nie wiem co, jakaś siła djabelska rzuciła mną do góry, porwałem się i mimowoli z ust mi się wyrwało to przeklęte:

— Słucham jaśnie panie! które mnie lat tyle dusiło.

Powiat osłupiał, a z osłupienia wyszedł homerycznym śmiechem; nie nie wiem co się potem stało, bom omdlał, zachorował, odzyskał trochę przytomności na łożu śmiertelnem i ocknął się dopiero na drugim świecie.

Tu już począłem się rachować z mojem sumieniem i nie zdało mi się żebym miał wielkie powody obawy, bo chociaż wiodło mi się dobrze i nażyłem się na świecie, ale ciężkich występków nie popełniłem, a myślałem że śmierć moja powinna była za wszystko zapłacić.

Ale nie było co gadać, marsz, marsz, musiałem iść do porachunku...

— Ha! myślę sobie... niech już tam drobne rzeczy wszystkie spisują... a wielkich tak dalece na sumieniu nie mam.

Postałem trochę, przychodzi kolej na mnie, kiedy ja patrzę, aż tu wszystko nawet z moich ekonomskich

czasów rejestra in originali, wyciągają... A do licha! Ż mi się źle zrobiło, najdrobniejsze grzeszki, omyłki, nawet jedną kurę którą był wziął u wdowy nie wiem za co, za czasów ekonomowania, i tę mi policzyli. A ta kura tak była urosła, że stała za dobrego wołu!

Tłumaczyć się nie dają! jak poczeli mi gatunkować: grzechy kuchty, potem grzechy lokaja, pisarza, ekonomo, dziedzica, męża, ojca, urzędnika, jak się to poczęło sypać a sypać, dopierom się opatrzył, że nie żart. Wszystko tam było! wszystko niestety! Kłamstwa jak suszone grzyby powiązane na wianki, chętki różne wielkie i małe choć niespełnione, uczynki i uczyneczki, cudze łzy, których się nie wiem skąd pełen gąsior nazbierał: słowem na jednej szali aż przez wierzch, na drugiej na dnie tylko odrobinka i to taka skromna, że ledwie ją było widać.

Świerzbiał mnie język rozmówić się, przekonywać, ale na mnie ani zważano, a jeden z duchów poradził mi, żebym sobie sprawy nie pogorszał, grzesząc po śmierci.

— Biedna duszyczko, rzekł, wiele ci przebaczone, bo na szali złożyliśmy wychowanie twoje i lata sieroce i głupotę, i pracę nawet choć bez celu uczciwszego, ale zawsze pracę... i każdy ułomek myśli dobrej, co ci przez głowę przeleciał... i każde serca drgnienie... Żałuj i ukorz się, a dusza twoja lżejszą się stanie, bo ją uczucie dumy ziemskiej i oporu pograża coraz głębiej w ciemności.... Wieki przed tobą na pokutę, poprawę, oczyszczenie...

Ot jak dostałem się do stolika z terminem nieokreślonym, dopóki w nim karuku nie stanie całkiem, a póty póki choć odrobinka drzewa trzymać się będzie i ja w niej siedzieć muszę... To mnie tylko pociesza, że codziennie rano i codziennie wieczorem, błyska mi przed oczyma modlitwa żony, która przelatuje ciemności i zwiastuje mi, że tam o mnie na ziemi ktoś pamięta...

Filipek westchnął i umilkł.

— A to zabawna historia! rozśmiał się podkomorzy, dalipan zabawna! Ale gdzież! kto by się to spodziewał.

Filipek! prawda, że to było roztropne, żwawe i szczęśliwe, aż do marszałkowstwa się posunął! Pamiętasz go podkomorzyno?

— Jakże nie! niczego był chłopak... tylko tłukł w kredensie niezmiernie... pamiętam, pamiętam, nos miał trochę zadarty... No! proszę, ale czy on tylko nie kłamie?

— Mamo kochana, duchy kłamać nie mogą.

Podkomorzyna pokręciła głową z niedowierzaniem jakimś, ale przywykła ulegać synowi, umilkła...

Spowiedź ta zresztą prócz ruszać ramionami gospodarza, które się kilkakroć powtórzyły, nie wywołała żadnych uwag więcej.

---

## X.

Nie dając prawie czasu odetchnąć znużonym swoim pomocnikom, pan Henryk z Nieklaszewiczem, niezmordowani oba, wzięli się do wywoływania ostatniego ducha, który miał siedzieć w bronzie.

— To już ostatni? spytała podkomorzyna.

— Ostatni, odparł syn... i zdaje mi się, że to być powinien ktoś bardzo dystyngowany... bo bronz... ale to się zaraz okaże... Cicho! i całą nań zwróćmy uwagę...

Ściśnięto palce, związano łańcuch, milczenie znowu, nawet podkomorzy z nateżoną uwagą zbliżył się do stolika... Siedzą, siedzą... cicho i cicho.

Panna Celestyna trochę już zmęczona ośmieliła się odezwać, że w stoliku tym jednak niezmiernie różne mieściło się towarzystwo.

— Zawszem myślała, dodała naiwnie, że i na tamtym świecie ludzie jednej sfery powinnyby się ścisnąć w jedno grono...



— Celuniu! kochanie, ofuknął się brat, na później o tem rozmowa, a teraz natężmy siły nasze by wywołać ostatniego i upartego ducha; będziemy mieli czas rozprawiać, sądzić, sprzeczać się gdy skończymy.

Znowu tedy zamilkli wszyscy, siedzą, ale stolik milczy jeszcze, podkomorzyna pierwsza niecierpliwie się zaczęła.

— A to coś upartego, zawołała żywo, tożby już mógł przemówić jak drudzy.

— Kochana mamó, milczmy, bo to przerywa działanie i przedłuża je... odezwał się Henryk.

Ja spojrzałem w tej chwili na Nieklaszewicza, którego fizjonomia pociągała mnie fantastycznością swoją; nie wiem czy skutkiem wypitego z herbatą rumu, czy zmęczenia, zdawał się drzemać choć oczy miał otwarte i słupem stojące: nikt prócz mnie nie uważał na stan jego, ale ten był nadzwyczajny. Ręce rozpostarte drgały konwulsyjnie, twarz była jak mur blada, usta sine, pot zimny wielkimi jak groch kroplami oblewał mu czoło, brwi miał ściągnięte, a usta z jednej strony wyraz jakiś złowrogi.

Wtem ze stolika nie mowa, nie śpiew, nie szmer, ale krzyk się dał słyszeć tak przeraźliwie bolesny, żeśmy wszyscy zadrżeli nań przerażeni. Jeden tylko nieustraszony pan Henryk, nielitościwy w swoim zapale, pospieszył z pytaniem zwykłym, które się dziwnie z je-kiem ducha zmieszalo.

— Kto jesteś ducha?

— Nieklaszewicz! Hieronim Nieklaszewicz! odpowiedział stolik.

Ośłupieliśmy wszyscy, patrzę, Nieklaszewicz ani ust nie otworzył, głos wyraźnie wychodzi ze stołu; inni także podnoszą oczy na biednego rezydenta i sprawy sobie zdać nie umieją z tego co się dzieje. Nieklaszewicz ani się rusza i siedzi jak przykuty.

— Cóż ty tu robisz? opamiętawszy się, spytał pan Henryk.

— Zaczynam pokutę za życia, odparł głos bolesny i drżący, przykuty do stołu, jakim był losem przykuty do waszego domu, do fantazji, dziwactw i dumy waszej.

Podkomorzy aż krzyknął.

— Co to jest? owarjował!

— To coś niepojętego! przerwał Henryk, niezmiernie zawsze zajęty eksperymentacją, ale jesteśmy w kółku familijnem, a pan, dodał obracając się do mnie, nie weźmie co do litery, jeśli ten szale niec z czem nie dorzeczy się odezwie... dajmy się i jemu wyspowiadać.

— Gotów gadać głupstwa... kłamstwa... zawołał podkomorzy, ale caluteńkie życie milczał, skąd mu się na to zebrało?

— Widzi papa, że duch jego wyraźnie opuścił ciało i wszedł w stolik, siedzi jak jasnowidzący...

— A to go przebudzić!

— Ale niech mówi, odezwała się panna Celestyna... Ktoby myślał że o nas co złego powiedzieć może; niech się sobie spowiada! choć nie pojmuje coby nam mógł odkryć ciekawego z historii ślimaczego swego życia...

— Mów duchu, mów... kto jesteś! pospieszył Henryk... i co cię tu zagnało?

— Jestem duchem nieszczęśliwego Nieklaszewicza, którego ciało siedzi przed wami. . . rozpoczynającym pokutę zawczasie, bo Bóg się nad nim ulitował. O! biedne bo też było życie moje dla duszy co w ciele mojem mieszka... nad wyraz utrapione i biedne! Jeden tylko grzech wielki miałem na sumieniu, lenistwo, i ten mnie spętał i przykuł na wieki do wrót waszych jak psa na łańcuchu... Wiecie? nie, nie wiecie jeszcze com ucierpiał z wami; żeby nie pracować, nie walczyć, żeby się z życiem nie łamać, wołałem upokorzenie i nędzę niż swobodę, i napić się jej musiałem do syta! Rodzice zostawili mi trochę grosza, Bóg dał zdrowie i siłę, traf chciał bym kapitalik mój, mienie całe, umieścić u podkomorzego na procencie, i to mnie zgubiło...

— A to warjat, zaprotestował podkomorzy, sam-że mnie o to prosił...

— Często nie było czem opłacić procentu i zbywano mnie szyderskiem pytaniem: — Na co ci pieniądze potrzebne? przez lat dwadzieścia kilka nie miałem

nawet nadziei zobaczenia się z kapitałem; przyjąłem więc strawę, chatę, liberję dworaka, obowiązki rezydenta, miejsce u stołu i u drzwi, kwaśne wino i kwaśniejsze miny wasze, któremiście mnie poili i karmili.

— Ale to warjat! zawołała z kolei panna Celestyna.

— Wam nigdy pewnie na myśl nie przyszło żeście mieli przed sobą równego sobie człowieka, nie małpę, nie papugę, nie szpica. Czem ja byłem dla was? ścierką do wycierania złego humoru, ryszotkiem przez który swobodnie wylewała się żółć wasza, bezbronnem stworzeniem nad którym pastwił się kto chciał, starzy, dzieci, słudzy... i pośmiewiskiem, urągowskim, popychadłem... A nikt z was ani się domyślał co w mej duszy zbierało się na dnie! I podłym byłem do tego stopnia przez lenistwo, żem od was nie uciekał, żem nie pluł wam w oczy i nie urwał się z tej uwięzi. Ot tak! przywykło głupie ciało do waszego stołu pańskiego okruchów, oczy do waszych wymuskanych twarzyczek, usta do waszego jada, a dusza do wewnętrznego potajemnego z was szyderstwa i nowego trybu życia już się próbować nie chciało! Mogłem próżnować i tem mi się jednym wynagradzało wszystko com cierpiał; miałem prawo spać, ziewać, nic nie robić i cztery razy najmniej do roku pod pozorem choroby, kazać sobie nosić jedzenie do oficynki...

Śliczne, zaprawdę śliczne życie!... jak zajrzeć step bez końca!... żywej duszy coby się uśmiechnęła, ulitowała, przywiązała i los swój społa z moim, choćby przelotnem współczuciem. Czy które z was, powiedźcie, dało mi kiedy dobre słowo, uśmiech i jałmużnę choćby chwili litości?

Podkomorzy tylko siadając do stołu, i potrzebując dwojga uszu któreby jego conceptów przy pieczystem słuchały, przypominał sobie że Nieklaszewicz żyje, ale posyłając po niego, nigdy inaczej się nie wyraził, jak, pójdź zawołaj tego starego durnia! A stary głupiec... stary głupiec... słuchał tego od służalca i szedł posłuszny, choć dalej i czyściej widział od was wszystkich,

co was czekało! Wy z waszym rozumem zajechaliście tam, gdzie on już wprzód myślał zajął dla was kwatery... podkomorzyna...

— Gotów i na mnie jeszcze co powiedzieć! krzyknęła pani... a! to impertynent jakiś.

— Podkomorzyna choć kobieta, nie kładła mnie wyżej nad pieski swoje, dodał duch. Kawałek sztuki mięsy w postaci której odjadalem procenta moje, często zabierała Filutka, choć mi się z głodu na płacz, a ze złości na furję zbierało. Z Niekłaszewiczem wszystko było wolno, jakby się nie liczył do ludzi.

W oczach pana Henryka, panny Celestyny wątpię bym się liczył za człowieka, bo po francuzku niby nie mówię, a dla nich obojga, ludzie się różnią od zwierząt umiejętnością francuzkiego języka... Wiele to razy pan Henryk siwym włosom moim kazał sobie posługiwać, a panna Celestyna w dniach złego humoru znęcała się nademną nie mając już na kogo wyrzucić skutków swojego spleenu... Przekłete lenistwo jednak nie dało mi się wyzwolić i wiek przyszedł i siły uciekły, i życie się zmarnowało na pozornej uległości, a wewnętrznem szyderstwie, bom dalej, lepiej i jaśniej widział od was wszystkich coście się mieli za rozumniejszych stokroć nademnie.

Teraz jam niewolnik któremu gdyby skruszono więzy, wróciłby do swej jamy i barłogu. Przy was nie wolno mi było mieć myśli, zdania, sądu, ruchu, uśmiechu i uczucia, ale jak za to mściłem się w głębi duszy! Jadłem, potakiwałem, kłaniałem się, służyłem, milczałem; alem sztychował krewawo ze ślepoty waszej, która w sparaliżowanych ustach moich nigdy nie dostrzegała ukrytego nieprzyjaciela czyhającego na zemstę... Nieraz już chciałem się zebrać na odwagę, zerwać więzy, otrząść się z niewoli, wziąć kij i pójść w świat... ale trzymało mnie lenistwo i sama nienawiść potrzebująca pokarmu... dwa grzechy za które Bóg mnie ukarze.

Z początku zdało mi się tak dogodnie, zaszczytnie, słodko wisieć przy Jaśnie Wielmożnych, być przypuszczonym do tajemnic ich rozmowy, stołu, strawności i ziewania, do spółki ich wzniosłych myśli i uczuć... ale gdym się przypatrzył wam zbliżka, jakżem codzień waszą nędzą moralną był upokorzony!... Trzymało mnie to i trzyma żem przyrósł do wad i zepsucia waszego jak robak do zgnilizny... wreszcie zgnuśniałem tak w barłogu, że nie pojmowałem jak się obejść można bez wygódek, bez próżnowania, bez spoczynku i tej karmi szyderstwa, którą wy jesteście... Zrobiliście ze mną co chcieli: odarli, zabili, spętali, alem wam to oddał w duszy z nawiązką!....

— Ale co on plecie! co plecie! zawrzał czerwieniąc się podkomorzy, sumkę swoją wybrał z naddatkiem, nie mu się nie należy, żył z naszej łaski...

— Niewdzięczność zwykłą jest zapłatą za dobrodziejstwa.... dodała panna Celestyna drżąc cała.... a! to żmija którąśmy odgrzewali na piersiach naszych.... milczał duszę mając pełną nienawiści....

— A mógłżem się odezwać? zapytał duch Nieklaszewicza, daliżecie mi prawo otworzenia ust inaczej jak potakiwaniem, każdego słowa nie braliście na igraszkę? Kto z was choć raz w życiu obdarzył mnie współczucia kąskiem?... W chorobie zajrzał z was kto do mnie, w strapieniu spytał kto o boleść moję, w niedostatku pomógł kto inaczej jak wzgardliwą żebraczą jałmużną?!

To mówiąc głos ustawał; cały przejęty tą sceną która widocznie podziałała i na rodzinę podkomorzego, spojrzałem w tej chwili na biednego Nieklaszewicza.... Oczy jego ruszyły się, twarz poczęła przybierać wyraz zwykły, zadrżał i westchnął, jakby ze snu ciężkiego się budził... Równocześnie stolik odzywać się przestał. Przytomni z oburzeniem poglądali na rezydenta, który zdawał się nie mieć pojęcia o tem co się stało i powodów zamieszania szukał w nas niespokojnym wzrokiem....

Pan Henryk nawet zawahał się co dalej robić wypadło, i wszyscy się ruszali jakby wstać chcieli od nieszczęsnego stolika, gdy Nieklaszewicz z uśmiechem pełnym pokory spytał...

— Nie chce mówić?

— Owszem, mówił aż nadto... rzekł pan Henryk...

— Mówił! doprawdy! mówił? zapytał rezydent niepokojny... to być nie może...

— A gdzieżeś waćpan był? odezwał się podkomorzy...

— Nie wiem, tak mi się słabo zrobiło... rzekł Nieklaszewicz... ale jeżeli mówił, toby mówić powinien dłużej, pewnie nie skończył jeszcze...

Nim łańcuch się rozerwał i przytomni opamiętali, po chwilce westchnienie dało się słyszeć z brzękiem brązu...

— A! duch mówić będzie! pospieszył pan Henryk, niech kończy jak zaczął, zobaczymy co to było... i poważnym głosem dorzucił:

— Kto jesteś duchu?

— Niechże przyjdę do siebie, odparł głoszek piskliwy, nie dosyć siedzieć w kawałku kruszcu zimnym, ciasnym i podziurawionym, jeszcze i tu spokojnym być nie można. Przed chwilą ktoś mi się tu wcisnął na kwaterę i mało mnie nie udusił... Ledwie się pozbył nieproszonego gościa! Dosyć jestem znudzony na pokucie, ale nigdy przykrzejszego uczucia nie doznałem jak dotknięcie tego ducha... z jednej strony zimny jak głaz, z drugiej płonący nienawiścią jak piekło... I kto mu pozwolił wcisnąć się do mnie? co za zuchwalstwo!

Patrzałem na Nieklaszewicza, on jeden zdawał się nie rozumieć wcale o co chodziło...

Duch odetchnął i mówił dalej.

-- Jestem Paweł...

— A to coś nowego! zawołał podkomorzy, znowu figura inna... zkądże to Pan Bóg prowadzi?...

— Z drugiego świata... z ciemności pokuty... z przepaści oczyszczenia... Za życia byłem wielbicielem kruszcu i po śmierci skazano mnie na mieszkanie z kolei we wszystkich znajomych metalach. — Przebyłem już platynę z którą razem smażyłem się w tyglu Berzeljusa; przebyłem złoto z którego kawałkiem odbyłem najdziwniejsze podróże, od kopalni Kalifornijskich do Europy, ze sztaby na monetę, z monety na kółczyk zalotnicy się przenosząc; byłem w srebrnym łądelku i w talarze... a teraz odpoczywam w bronzie; pozostaje mi jeszcze! a! wiele, wiele, bo muszę wypić do dna wszystko aż do glinu... Trzeba przyznać, że metal jest bardzo chłodnym dla duszy mieszkaniem....

— Ale za cóż taka pokuta? spytał pan Henryk...

— Łatwo się domyślicie, za to żem grosz kochał nadewszystko i sprzedał zań życie...

— Musiał być bogaty człowiek, rzekł podkomorzy, a ze swego dzisiejszego stanowiska, mógłby nam może co powiedzieć o skarbach jakich, czy ich tu gdzie zakopanych nie mamy, spytajno go Henryku, a grzecznie?

Duch nie czekał pytania i mówił dalej nie przerywając:

Całe życie pędzałem się za pieniędzmi i byłem goły, przedawałem się nieskończoną liczbę razy na próżno... grosz uciekał odemnie, a jeszcze tak ciężką za samo jego pragnienie naznaczono mi pokutę! Wszystko com chciał pozyskać a czegom nie miał, poszło na szalę sprawiedliwości świadczyć przeciwko mnie... i zebrały się miliony... A! gdyby nie doła co mnie prześladowała, byłbym je miał! byłbym je zgromadził, ale wypadki zawsze się przeciwko mnie spikały. Namiętność ta chwyciła mnie za młodu i nie pamiętam kiedy rozwinęła się we mnie; studentom pożyczałem groszaki na procenta, skupowałem u potrzebnych graty które z zyskiem sprzedawałem, ale ledwie się woreczek wypełnił, ktoś skradał, ginęło, przepadało...

Starszy trochę począłem handlować końmi, ale mi nosaiały i parszywiały wszystkie, ujmowałem ustom, męczyłem ciało niedostatkiem, próżność moją składałem w ofierze złotemu cielcowi i na nic się to nie zdało... Nareszcie poświęciłem serce, sprzedałem się żeniąc z kobietą, której grzechy młodości pocziwem imieniem mojem pokryłem; wyrachowałem ile mi to przynieść powinno, i na tej zawiódłem się rachubie. Została mi żona, ale majątek jej znikł w chwili gdym do niego wyciągał ręce... Ze zgryzoty o mało nie umarłem; grzech jeden ciągnie drugi za sobą, mściłem się na nieszczęśliwej i na sobie za głupstwo popełnione...

Życie moje było pasmem pragnienia nienasyconego, ofiar nieustannych a próżnych... a namiętność szalona dochodziła do obłąkania. Odejmowałem od ust sobie, żonie, ludziom, chwytalem nie patrząc cudze czy swoje, a wśród tego w sumieniu czułem ciągle, że byłem na złej drodze.

Jak w wielu innych i we mnie było dwóch ludzi: jeden co szedł kędy go niosło zepsute serce, drugi co patrzył, szydził, sądził i czuł złe, nie mogąc mu zapobiedz.

Za każdą czynnością obrachowywałem jej znaczenie i skutki, a jutro ciągnąłem ją dalej, kierując się popędem, nie rozumem. Ta dwoistość męczyła mnie więcej może niż doznane zawody i straty; widziałem jasno że się brukał, a kładłem ręce w błoto jakby jakąś fatalnością wiedziony. W początkach był to jeszcze rodzaj boju, z nadzieją że sumienie zwycięży, później rozbrat zupełny wzięli ci dwaj siedzący we mnie ludzie; jeden robił co mu się zamarzyło, drugi mu skutki tłumaczył, ale już wcale nie wpływali na siebie.

Napróżno wypowiadałem sobie marność zbiorów ludzkich, znikomośc grosza, mierzyłem ofiary otrzymanemi z nich skutki, przebiegałem życie spędzone w głupich zabiegach; wszystko to jasno i dobitnie wy-



rzuciwszy sobie na oczy, nazajutrz wstawałem błędzić na nowo.

Jeden z tych ludzi nieustannie szydził we mnie z drugiego; nienawidzili się zadając sobie głupstwa wzajemnie i żyć z sobą musieli. A rośli tak oba do końca, że gdy pierwszy nabierał sił do błędu, drugi je pozyskiwał do jasnego widzenia prawdy...

Życie w ten sposób składało się z dwóch równoległych linii niespojonych z sobą, które się nigdy zejść nie mogły; z dwóch prądów biegnących w strony przeciwne.

Z tem jasnowidzeniem prawdy byłem podwójnie nieszczęśliwy; bo zabiegi moje o majątek nie wiodły się, spodlałem się i spadałem coraz niżej, a upodlenie moje mocniej może czuć umiałem niż ci co na mnie patrzali z daleka.

Zawiedziony na ożenieniu, które zwichnęło mi życie, musiałem jeszcze walczyć z kobietą, której czoło nosiło płamę niestartą, serce było na wieki zepsute, a namiętności wzburzone jak morskie otchłanie.

Dnie schodziły piółunem zaprawne, na kłótni próżnej, na sporach, w których końcu zawszem winnym być musiał, na daremnej straży niewiasty, której nic upilnować nie mogło, bo aniola wstydu przy niej nie było.

Zamykała mi usta zawsze, pytaniem: Na co mnie wzięłeś? a krew oblewała mi czoło choć dawno wytarte, ale czułem jeszcze na wspomnienie hańby, którą znosić musiałem. Nareszeie przyszła chwila wyzwolenia, śmierć jej oswobodziła mnie od wojny domowej, ale na progu domu pozostało piętno przeszłości. Zamknąłem się sam sknerzyć, zbierać, spekulować... niekiedy powodzić mi się zdawało, już, już myślałem że początek fortuny zakładam, gdy nagle jedna z tych nieprzewidzianych okoliczności, których człek nigdy nie widzi naprzód, wywracała com z taką zbudował pracą... gmach runął, a jam musiał rozpoczynać go na nowo.

Do jakiegoś czasu resztkami tych strat dźwigając się, zbierałem jeszcze, lub zdało mi się żem pomnażał mienie, ale pod starość przechyliła się szala i z dnia na dzień ubożałem coraz bardziej, coraz zapaścialszym stając się skąpcem, i codzień schodząc niżej aż do torby, kija, lepianki, aż do szynku we wsi, którą myślałem był kupić przed laty.

Sumienie wskazywało mi jasno, że mienie jest jak wszelki inny dar Boży, nie rozumu ludzkiego i zabiegów owocem, nie produktem przemysłu, ale prostym darem Opatrzności; upierałem się wszakże przeciwko woli widocznej, z coraz zajadlejszą wściekłością. Widziałem na świecie tych co zbierali najskrzętniej, skąpili najdziwniej, a do niczego nigdy dojść nie mogli, choć ani rozumu im brakło, ani ich rachuby myliły; widziałem innych, którzy szli omackiem, modlili się i znajdowali pod poduszką to, co Bóg im dać chciał; a nie nauczyłem się ani rezygnacji, ani modlitwy...

Ze złota, którem zbierałem daremnie, zszedłem na srebro, ze srebra na miedziaki, i na szynku gdzie jeszcze osiąść musiałem, chwyciłem grosze do kufra, sądząc, że niemi coś odrobuję... Pojechałem do miasteczka, a żydzi okradli karczmę, i tak skończyły się zbiory moje i męczarnie... W pierwszym uniesieniu żalu, chwyciłem pas, zarzuciłem go na bant i obwiesiłem się na nim.

— Historia pana Nieklaszewicza i historia wisielca, odezwał się podkomorzy z uśmiechem sarkastycznym, do pary.

— Jakto historia moja? zapytał naiwnie rezydent...

Spojrzeli na niego płomienistemi oczyma wszyscy, ale nikt nie ośmielił się wybuchnąć, znać było tylko na każdej twarzy inaczej wyrażające się uczucia gniewu, niechęci, żalu, oburzenia.

— Potem o tem przerwał pan Henryk, korzystajmy póki pora... potrzeba się spytać duchów stolika... o przyszłość...

Choć obcy, widząc że się na jedną z najniedorzeczniejszych robót zanosi, ośmieliłem się otworzyć usta, dodam jednak, że po ludzku, nimem się na tę zdobył odwagę, obejrzałem się wprzód czy burza przeszła i czy w przypadku złego mojej rady przyjęcia, mogłem jechać dalej... Szczęściem niebo się rozjaśniało coraz, a wieczór obiecywał być pogodnym; zebrawszy się więc na cywilne męstwo wyrzeczenia prawdy; rzekłem z uśmiechem:

— Pozwolicie mi państwo przerwać na chwilę zajęcie?

Pan Henryk dosyć niechętnie głowę odwrócił.

— Po co mamy w przyszłość zaglądać? Nie jest li to prawdziwie opatrzniem zrządzeniem właśnie że jej przed nami nie widać? Któż zyszcze na jasnowidzeniu jutra? Życiu odejmie to wszelkie zajęcie, siły, nadzieje... Co do mnie, gdyby mi chciano wróżyć, gdybym mógł zajrzeć za zasłonę tajemnic nieradbym jej nigdy podnosić. Zyskał kto na prorocत्वie przyszłości? Każdego ona napełnia strachem, drżeniem i łzami, bo na dnie każdego żywota musi być zaród nieszczęścia jak jest zaród grzechu! Po co spieszyć z pożarciem tego co nam przeznaczone, gdy życie i tak jest krótkie!

— Ależ panie dobrodzieju, przerwał Nieklaszewicz... co to panu szkodzi, że drudzy się poradzą?... właśnie można się pokierować.

— Jestli nieunikniona przyszłość której się dowiedzieć chcecie? cóż na nią poradzicie, odpowiedziałem, a jeśli uniknąć jej nie można, cóż to za wieszczba? jaka prawda?

— Ale zawsze dobrzeby... a to rzecz tak ciekawa, mruknęła panna Celestyna widocznie z moich argumentacji nie rada, zresztą co to panu szkodzi?

— A co to państwu pomoże?

— My w to nie wierzym, to tylko igraszka!

— Igraszka! z czem? z losem? z przyszłością, z wielkim nieznanym??

— Panu się to niepodoba, rozciął zwycięzko pan Henryk, nic nie mamy przeciwko temu, nam się podoba, cóż na to poradzić? ustąpmy sobie wzajemnie.

Skłoniłem się i zamilkłem a pan Henryk pierwszy, najwięcej mając nadziei przed sobą, zapytał stołu...

— Powiedz mi, co mnie czeka?

Milczenie trwało dość długo.

— Daj mi waćpan pokój, odpowiedział duch pierwszy: co mnie to obchodzi, co waści czekać może, żeby tam dla niego po ciemnościach plądrował?

— To ktoś niegrzeczny, przerwała panna Celestyna, jestże ich siedmiu, dopytasz się u któregokolwiek innego... pour suivez.

Pan Henryk powtórzył pytanie, a ktoś grzeczniejszy rzekł ze stolika:

— Chcesz wiedzieć przyszłość, zajrzyj w przeszłość swoją, są to dwa liście jednej lodygi, jak liście podobne do siebie... Nic innego wyrosnąć nie może na roślinie prócz jej własnego liścia i kwiatu... czasem go robak stoczy i wykrzywi, czasem go burza załamie, lecz rozwiń, a w środku znajdziesz zawsze to co z niej wystrzelić musiało... Spojrzyj więc na przeszłość swoją: Próżność, duma, chętka błyszczenia wszystkim co tylko połyskiwać może, ot co znajdziesz w niej, a to samo z owocem leży w przyszłości twojej; jeszcze więcej próżności i śmieszności którą ona ściąga niechybnie, jeszcze więcej dumy i upokorzenia, i żądry błyszczenia której wkrótce nie będzie czem świecić, bo oleju nie dolewasz do lampy...

— Mów mi czy się bogato ożenię, dosyć rozgniewany przerwał pan Henryk obejrzawszy się czy ja słucham — czy się ożenię bogato...

— Ożenisz się bardzo bogato, odpowiedział stolik... tak bogato, że ci ludzie będą zazdrościć, ale ty... będziesz przeklinać...

— Byle bogato! wykrzyknął wesoło pan Henryk, czego mi nie stanie, to sobie dokupię.

— Czy wszystko się u was sprzedaje? spytał duch.

— Mniej więcej, wesoło rzekł pan Henryk, piękność, dowcip, zdrowie, rozum, wygody, swoboda.... poszanowanie.

— Tak! prócz szczęścia! smutnie wyjąknął stolik, tego jednego kupić nie można, zrobić go sobie potrzeba samemu.

— To potrafię....

— Nie! nie! nie! trzy razy dał się głos słyszeć, zrobisz sobie bałwana którego mieć będziesz za bóstwo jak poganie czcili kłoce i kamienie, ale to nie będzie szczęście! Skruszysz jedno, zrobisz drugie i trzecie.... a wszystkie będą zimnemi bałwanami, a żadnego nie potrafisz uznać szczęściem swoim, któreś marzył.

— Byle bym był bogaty! rozśmiał się pytający, no! a żonę będę miał piękną?

— Cudnie piękną przez pół roku, śliczną jeszcze przez rok cały, wcale ładną dwa lata, nieszpętną do trzeciego, w czwartym pospolitą i nieznośną....

— Spytałeś bo się jakiegoś takiego ducha, zawołała panna Celestyna, który ci Bóg wie co plecie i mistyfikuje wyraźnie: a d'autres.

— Mnie się to podoba! oryginalny! il a un faux air d'oracle de Delphes, rzekł pan Henryk.... Cóż więcej mój duchu?

— Umrzesz jak żyłeś drapując się w prześcieradło na łożu śmiertelnem: myśląc nie o Bogu, ale o tem co masz konając powiedzieć, aby zrobić efekt na słuchaczach....

— Brutal! szepnął podkomorzy oburzony, dosyćże już tego Henryku....

— No! a papa, a mama?

— Ja, rzekł pospiesznie podkomorzy, spytaj odemnie o skarby?

Znów dosyć długo czekano na odpowiedź.

— Czy są skarby w zamczysku starem w Berbeciach? poddał niespokojny podkomorzy zacierając czuprynę.

— Są, odpowiedział głos wyraźnie.

— A co? nie mówiłem, zawołał stary podskoczywszy, są... teraz cicho! Gdzie?

— Na prawym rogu....

— Tam stoi kaplica?

— Tak jest.

— Gdzie są?

— W kaplicy...

— Jakimże sposobem? to część zamku nowa?

Głos zamilkł.

— Trzeba kopać?

— Nie! trzeba się modlić.

Podkomorzy jakoś tego dobrze nie zrozumiał.

— No i cóż? spytał.

— I będą skarby....

— A posłę choć do Tarnorudy! krzyknął stary... do Częstochowy... A wiele tam jest? co tam jest? mówił żywo... jakie skarby?

— Skarby nieprzeliczone!

— Złoto czy brylanty?

— Coś lepszego od brylantów i złota....

— Emigmatyczny, rzekł podkomorzy, ale cóż przecie?

— Skarby... odparł głos.

— To jasno! są skarby, jutro wywracam kaplicę i kopię... Ale jeszcze no jaśniej, niech nam powie, gdzie? jak? w rogu? w środku?

Głos zamilkł i milczał uparcie; ani go już wywołać było można.

— Spytamy drugą razą, przerwała podkomorzyna, pozwólcieź mnie się zapytać, tyłem się namęczyła....

— Zaraz, zaraz, chwilę jeszcze, rzekł mąż. Czy te skarby wykopiemy?

Henryk jako medium i przewodnik powtórzył pytanie, ale krótki śmiech suchy odpowiedział, a po nim tylko:

— To od was zależy. Kopcie a wykopiecie, szukajcie a znajdziecie, kołaczcie a będzie wam otworzono....

Podkomorzy zatarł ręce wesoło, znać było po nim że miał wielką ochotę jeszcze się o coś pytać więcej, ale mu przeszkadzała przytomność i swoich i obcego człowieka; łamał sobie głowę jak pytanie obrócić żeby ono tylko dla niego i dla ducha zrozumiała dało odpowiedź; nareszcie przysunął się do stolika.

— Duchu, zapytał nieśmiało, jak się to skończy o czem myślę?....

— Dosyć śmiesznie, odparł zagadniony...

— Nie tragicznie!

— W życiu twojem nie było i nie będzie tragedji, osnułeś jego przedzę na farsę Shakspearowską i los ci dotka do końca coś mu naznaczył...

— Każde życie jest farsą, zawołał podkomorzy trochę zmieszany, usiłując sens odpowiedzi odmienić.

— Tak, każde życie jak twoje.... odparł duch.... Na śmiech byłeś obywatelem, synem, mężem i ojcem... bawiłeś się urzędem, dziećmi, żoną, póki była młoda, bawisz się...

— Ale niechże nie plecie!

— Cicho! cicho! poczęli wszyscy.

— Ale to okropności!...

Wrzawa którą usiłowano zagłuszyć głos ducha, na nic się nie przydała, podkomorzy tupał nogami, żona kaszłała, dzieci szamotały, ale głos wyroczeni podnosił się coraz wyraźniejszy i dobitniejszy.

— Bawisz się dziś w miłości, w kartki, w gawędkę i zbierasz smutne owoce próżniaczego życia, których gorycz oparzonemu podniebieniu twojemu czuć się nie daje.... Jakiegoż chcesz końca życia? — Będiesz się bawił do śmierci z tą lub z drugą.... i umrzesz niepoprawiony....

Trudno wyrazić jakie powstało zamieszanie wśród tych słów ducha, sama pani porwała się od stołu, panna Celestyna schroniła się do drugiego pokoju, ja przyznam że nie wiedząc co począć usunął się do progu, pan Henryk nawet wstał z krzesła. Jeden Nieklaszewicz siedział jak wryty, jakby nie widział i nie słyszał co się koło niego działo, z rękami rozpostartymi, ze skrzywionymi ustami, ogłuchły, oślepy, zdrętwiony.....

A głos coraz silniejszy brzmiał od opuszczonego już stolika....

— Chcieliście wiedzieć przyszłość waszą, to jej słuchajcie! Zgniliście wszyscy do serca i mózgu, i żyć musicie zepsuciem waszem. Ty stary domęczysz się szukając rozkoszy gdzie jej dla ciebie już nie ma.... ty druga.... coś lat tyle roślinnym bytem wytrwała nie potrzebując innego, jak chwast pod płotem dorosisz do jesieni i szronu.... ty trzecia coś nigdy nie miała serca nawet w dzieciństwie i młodości, bo ci je wcześniej wyjęto, musisz głową, wyobraźnią i zmysłami zaspokoić pragnienie złamanej egzystencji. Kochać nie umiesz Celestyno, i nie będziesz umiała, nikt cię też nie pokocha, bo tylko miłość płaci się miłością.... Pożąda cię nie jeden, zapagnie, weźmie nawet, ale tego uczucia które smak i woń daje życiu człowieka, nie doznasz nigdy. Wypłaczesz za niem wszystkie łzy swoje, wywdychasz piersi dziewicze, i nigdy! nigdy! nie zaświta ci ta jutrzienka.... boś na wieki wydziedziczona!

Głos ducha wstrzymał się na chwilę, i zdawało się że wyrocznia już nie pociągnie się dalej, ale po krótkim przestanku znowu podniósł się szept cichy od nóg stołu :

-- A ty? przybylcze i gościu, nie chcesz wiedzieć swej przyszłości?

Tak byłem zdumiony z razu niespodziewaną interpelacją, że nie wiedział co odpowiedzieć, ale po rozmyśle krótkim, odezwałem się że przyszłość moją złożyłem w ręca Boga i tajemnic odkrycia nie pragnę.

— Powiem ci wszakże, czego wiedzieć nie chcesz



rzekł duch ze stołu — dlaczego byś cierpieć nie miał jak wszyscy! Wiesz co cię czeka? Miałeś chwilę urojonego powodzenia, potrzeba byś za nie wypił wiele jeszcze usty twemi nietkniętych goryczy! Będiesz pracował w pocie czoła na pośmiewisko u ludzi, będziesz im dawał życie swoje i krew swoją, aby z nich wyciskali żółć którą cię poić mają: zabraknie ci przyjaciół, to mało, nieprzyjaciół ci nawet zabraknie, otoczy cisza głucha zapomnienia i śmierci jeszcze za życia. Będiesz widział tych co suknią twoją rozdarłszy, z szmat jej uszyli sobie dostatnie okrycie, podniesionych i wieńczonych; myśli twoje podawane za cudze i przyswajane na własność, pracę twoją zamurowaną obojętnością; — wreszcie nieprzyjaciół poklaskujących upadkowi twemu z rozkoszą. Wszystko coś zrobił kiedy, w niwecz obróca i oplwają, lub odrzuca i zapomną; będziesz żył pogrzebiony, martwy, zapomniany, przywalony ciężarem ksiąg twoich, które na grzbiecie twym powoli butwieć będą.... Nowy świat rozrośnie się w koło ciebie, pewien że cię już niema, a gdy spróbujesz odezwać się do niego, okrzyczy cię za upiora.... To twój los i innych wielu.... to los wszelkiego słowa, które ma chwilę jedną i w grób jak wszystko ludzkie pójść musi. Może na niem dzwignie się z nasienia nowa prawda i nowa jasność jaka, ale nim drzewo wyrośnie, nasionko zgnieć musi....

Ze spuszczoną głową słuchałem w pokorze wyroczni, która prawdę rzekłszy nową dla mnie nie była... ciche Amen wyrwało się tylko z ust moich!.... Myślałem że już przecie utrapiona ta gawęda skończy się na mnie, ale nie, głos mówił dalej.

— No! a trzebaż jeszcze verba veritatis powiedzieć i staremu Nieklaszewiczowi, co jak bałwan siedzi sam za stolikiem... Posłuchaj stary! Chcesz wiedzieć przyszłość?

— I owszem, i owszem, odparł drżącym głosem Nieklaszewicz....

— Jutro cię z Monplaisir wypędzą, nie oddawszy

kapitaliku... pójdiesz o żebranie dożywać dni twoich... Dobrze ci tak dudku! dobrze! A potrzeba ci było wdać się z panami dlatego, że u nich sztuka mięsa smaczniejsza i sos na buljonie! Dobrze ci tak! było rolę uprawiać, było pracować, nie było dworaczyć.

Zdaje mi się że tej części opowiedzi nikt nie słuchał, zamęt był wielki, gdyż proroctwa wywołane przez pana Henryka i spowiedź ducha Nieklaszewicza, oburzyły całą rodzinę. Nie wiem coby tam było, gdybym ja obcy nie stanął na przeszkodzie szczeremu wynurzeniu się podkomorzego.... Szeptano, przechadzano się, czyniono sobie wymówki, ale moja przytomność krępowała im usta, nareszcie postrzegłem że byłem zanadto, i po bardzo krótkim pożegnaniu choć wieczór był późny, a księżyc po północy dopiero wschodził, niewstrzymywany nawet dla ceremonji, wysliznąłem się do sieni; wrzawę ogromną słysząc zaraz za sobą wybuchającą z pokoju.

Ogromny hajduk który był tak grzeczny, że mi płaszcz podawał, uśmiechał się szydersko.

— Panowie się nabawili, rzekł przyjmując maleńki odemnie podarunek, z tym stołem... gotowi myśleć że doprawdy stół gadał... Ha! ha! a to ten niezdara Nieklaszewicz, to on tak jakoś skroś brzuch gada, czy co, or już tu nieraz nastraszył dobrze kuchcików i dziewczęta w praczkarni....

Spojrzałem na służącego, który się uśmiechał ciągle

— Toć panowieby wiedzieli o tem, odpowiedziałem

— A! panowie nasi... oni proszę pana o niczem nie wiedzą... a ten Nieklaszewicz...

Nie chcąc plotek słuchać, rzuciłem się do powozu i konie ruszyły na drogę, z której musiałem do Monplaisir się zawrócić....

Wieczór był jak zwykle po burzy: chłodny, wilgotny pełen wonności unoszących się w powietrzu, tęskny i śliczny w swej szarej szacie od zachodu złocistym poobszywanej pasami... Wioska odzywała się swych głosów tysiącem zmieszanych w jeden chór wielki, powietrzną pieśń stworzenia.

— A! zawołałem z głębi duszy pojąc się tym widokiem spokoju, ciszy i wypoczynku, — czemuż ludzie zamiast głosu nóg stołowych nie słuchają tej pieśni ziemi, która się o ich uszy obija, tych dźwięków wielkiej całości, od której ich odrywa zepsucie i samolubstwo, czemu nie starają się zrozumieć co do nich mówią drzewa kwitnące, biegnące wody, szumiące wiatry, malowane niebiosy i ptactwo powietrzne i zwierzęta leśne? Czemu nie usiłują przypomnieć sobie znajomego języka, którym mówili u wrót raju z całą naturą? czemu nie słuchają głosu aniołów stróżów i duchów dobrych co ich otaczają? czemu? czemu???

Pytałem długo... a za całą odpowiedź wiatr mi szumiał na równinie i w dali gdzieś zakrakotało złowrogo przelatujące kruków stado.

---

### PRZYPISEK.

W tym roku przejeżdżając przez miasteczko N.... niedaleko Monplaisir i Berbeciów, niezmiernie się zdziwiłem spotkawszy na ulicy o kiju idącą postać niezmiernie do kogoś widzianego niedawno, ale którego nazwiska przypomnieć sobie nie mogłem, podobną. Wpatruję się... łamię głowę, ów przechodzień wita mnie ukłonem, i poznaję nareszcie Nieklaszewicza.

Zatrzymałem się, a że groblą długą jechać mi trzeba było do promu, wysiadłem by ze starym pogadać.

— Jak się pan masz? co tu robisz? zacząłem zrazu; co porabiają w Monplaisir i Berbeciach?

— Co oni tam robią, nie wiem doprawdy, a ja w miasteczku sobie zamieszkałem..... odpowiedział mi chłodno.

— Jakto? rozstałeś się pan z podkomorzym?

— Przecież mi to owego pamiętnego wieczora wyprorokowano! rzekł z uśmiechem.

— I wszystko się tak ziściło?

— Nie wiem, po chwili namysłu odpowiedział stary, a naprzód to skłamał stolik, że mi kapitaliku nie zapłaci, bom go przecie odebrał. Choć procentów zaległych ustąpiłem na chwałę Bożą.

— A! i cóż pan robisz teraz?

— Nająłem domek w miasteczku i żyję powoli...

— A u podkomorzego nie bywasz?...

— Nie! krótko odparł Niekłaszewicz, jakoś rozstaliśmy się zimno... najedliśmy się siebie do syta...

— Przecież wiedzieć pan musisz co porabia podkomorzy?

— A cóż! uśmiechnął się jedną ust stroną Niekłaszewicz, gospodaruje na wspólnkę z nowym ekonomem, którego żona u niego klucznicą... Nie można powiedzieć... Wcale ładna kobiecina...

— A pani podkomorzyna?

— Je, pije i zdrowa żyje! i mocno tyje!

— A pan Henryk?...

— Ożenił się...

— Miljonowo?

— Nie tak bardzo... jest wprawdzie milion majątku, ale siedm kroć czystego długu i cukrownia w dodatku...

— A panna Celestyna?

— Zawsze dowcipna, zawsze ładna, i zawsze za mąż nie idzie...

— Ale jest nadzieja...

— Jest dwie nadzieje, z których nic nie będzie i trzecia której niechęć, a wziąć będą musieli...

— Stolik jakoś niebardzo odgadł przyszłość.

— A pannę? spytał uśmiechając się znowu i spoglądając na mnie z ukosa mój towarzysz.

— Jeszcze nie ze wszystkim.

— Nie frasuj się pan, przyjdzie wszystko powoli...

— O tem nie wątpię, odpowiedziałem z westchnieniem.

Byliśmy już u promu.

— A pan przewozisz się czy nie? Zapytałem starego który się widocznie zawahał.

— Ot, nie, rzekł kłaniając się, mam do wyboru dwie wieczerze, jedna u proboszcza za rzeką... ale tam będzie krupnik z fasolką, a druga u pomocnika.... gdzie dziś powinnyby być pieczone, bo mają gości, zwróć się do niego. Krupnik ma swoją dobrą stronę, ale na noc zawsze pieczone wolę....

To mówiąc ruszył głową poważnie, zawrócił się i odszedł, a odtąd więcej go nie widziałem.

K O N I E C .





3326









